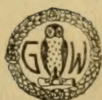
Z zagadnień ustrojowych Polski

Nowe spostrzeżenia i uwagi

Napisał

Oswald Balzer



Nakładem Gebethnera i Wolffa
Warszawa — Lublin — Łódź — Poznań
Kraków — G. Gebethner i Spółka

Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.

Upływa lat cztery od czasu, kiedy, pod koniec r. 1915, pojawiło się pierwsze wydanie mojej pracy p. t. »Z zagadnień ustrojowych Polski«, powtórzone następnie po raz wtóry bez zmiany w r. 1917; przedtem zaś, około połowy 1916 r., ogłoszony został przekład niemiecki tej publikacyi p. t. »Aus Problemen der polnischen Verfassungsgeschichte«.

Rzecz ta wzbudziła dość żywe zainteresowanie zarówno w świecie naukowym, jak i publicystyce. Zabierali o niej kolejno głos: z badaczów naukowych Estreicher, Eses (pseudonim), Brückner, Chrzanowski, Kadlec, Diveky, Zakrzewski, Mejbaum [1], oraz, o ile go do tej grupy zaliczyć wolno, Leonhard [2]; z artykułów publicystycznych, na których czele wymienić na-

[1] Estreicher, Przyczyny upadku Polski, Czas z 24 grudnia 1915 nr. 666; Eses, Zapowiedź zwrotu w historyografii polskiej, odb. z Kuryera Lwow. 1916; Brückner, Wie ging Polen zu Grunde, Poln. Blätter 1916 zesz. 13, str. 106—111; Chrzanowski, Z powodu studyum prof. Balzera, Z zagadnień ustrojowych Polski, odb. z Roku Pol. 1916; Kadlec, recenzya w Sbor. věd právnich a státnich XV. 271—278; Diveky, Prace polskie nad historyą ustroju, Történeti Szemle VII. (1918) 102—106 (artykuł napisany po węgiersku; możność poznania jego treści zawdzięczam uprzejmości kol. prof. Gawrońskiego, który przełożył go dla mojego użytku, i któremu składam za to gorące podziękowanie); Zakrzewski, Ideologia ustrojowa, odb. z Kwart. Hist. 1918; Mejbaum, Ideologia historyczna, Rok Polski 1918, 721—734, 1919, 74—90.

[2] Leonhard, Polnische Perspektiven, Schmollers Jahrb. 1917 I. 418—444.

leży rzecz, napisaną wytrawnem piórem Krechowieckiego [1], przytoczę jeszcze inne dostrzeżone, pana F. F., X. P., Kordyana, anonima ruskiego, Rzymowskiego i Dębickiego [2]. Z okazyi ogłoszonej później przez grono uczonych, przeważnie krakowskich, zbiorowej publikacyi »Przyczyny upadku Polski« (1918) [3], a częściowo też po ukazaniu się pracy Chołoniewskiego »Duch dziejów Polski«, szereg innych badaczów naukowych, więc: Kutrzeba, Tokarz, Halecki, Bogatyński i po raz wtóry Chrzanowski, wypowiedzieli także o pracy mojej, w związku z innemi spostrzeżeniami, przygodne lub obszerniejsze uwagi [4]. Do niektórych szczegółów, a przedewszystkiem do zasadniczego ujęcia kwestyi, jak ją w publikacyi mo-

[1] Krechowiecki, Z zagadnień ustrojowych Polski, Gaz. Lwow. 1916 nr. 41—45.

[2] F. F., Post scriptum, Czas 1916 nr. 20 i 22; X. P., Nowy pogląd na dzieje Polski, Gaz. kość. 1916 nr. 15. 16; Kordyan, Kto winien? Gaz. Pol. (w Dąbrowie Górniczej) 1916 nr. 26. 27; Anonim w art. wstępnym bez tytułu w Dile 1916 nr. 203; Rzymowski, Automatyzm zbawienia, Wiad. Pol. 1917 nr. 150; Dębicki, Przycz. upadku Pol., Kur. Warsz. 1918 nr. 262. Za wyczerpanie tej grupy artykułów w niniejszym spisie nie biorę odpowiedzialności.

[3] Publikacya ta zawiera następujące artykuły: Papée, Zapatrywania dotychczasowe; Romer, Warunki geograficzne. Halecki, Ekspansya i tolerancya; Bujak, Siły gospodarcze; Kutrzeba, Siły państwowe; Kallenbach, Siły moralne i umysłowe; Konopczyński, Polityka zagraniczna; Tenże, Pierwszy rozbiór; Tokarz, Dwa ostatnie rozbiory; Chrzanowski, Zakończenie.

[4] Kutrzeba, Wartości historyczne, Głos Narodu 1917 nr. 284—286; Tokarz, Z refleksyi historyka, Wiadom. Pol. (Piotrków) nr. z 25 grudnia 1917; Halecki, De consolatione historiae, Przegl. Powsz. 1918 I. 20—32; Bogatyński, Przyczyny upadku Polski w świetle naszej najnowszej historyografii, Tamże 1918 I. 84—94; Chrzanowski, Poglądy na przyczyny upadku Polski a chwila bieżąca, Rok Pol. 1918 I. 7—25 (jest to przerobione nieco powtórzenie studyum Chrzanowskiego, ogłoszonego w samem zbiorowem wydaniu »Przyczyn upadku Polski«).

jej postawiłem, można też odnieść wiele cennych uwag, zawartych w podstawowem studyum Brzeskiego [1].

W przeważnej części przytoczone prace zajęły wobec moich wywodów stanowisko krytyczne, i to tak, że albo zgłaszają do nich częściowy lub zupełny akces, przytaczając nowe argumenty na ich poparcie, albo też poddają je rozbiorowi w kierunku ujemnym, zwalczając bądź to szczegółowe twierdzenia, bądź też całość moich poglądów i zasadniczą koncepcyę zagadnienia. Wobec tego, całkiem zresztą naturalnego i najpożądańszego dla nauki objawu nie miałbym zapewne powodu zabierać osobno głosu, gdyby nie okoliczność, że w bardzo znacznej mierze nie tylko krytyka ujemna, ale częściowo nawet akcesy oparły się na mylnych założeniach i przesłankach co do istotnej treści moich wywodów, na błędnem ich wyrozumieniu i nieścisłem ujęciu, w następstwie czego zrodził się — cały szereg nieporozumień. Uwagi, jakie poniżej skreślę, mają na celu usunąć te nieporozumienia, wyłączyć cały szereg punktów spornych, które nimi nie są naprawdę, a przez to — skoro już okazała się potrzeba powrócenia raz jeszcze do tych kwestyj — oświetlić dokładniej istotę samego zagadnienia naukowego.

I.

Pobudkę do napisania wspomnianej pracy dał mi pogląd, upowszechniony od dawna, liczący szerokie koła zwolenników w dziejopisarstwie, zarówno naszem, jak i zagranicznem, że winę upadku państwowości swojej u schyłku w. XVIII ponosi Polska sama, zwłaszcza zaś, że

---

[1] Brzeski, Teorya przyczyn upadku Polski, Kwart. Hist. 1918 (XXXII) 173—240. — **Wymieniwszy w przytoczonych przypiskach całą literaturę, wiążącą się z moją pracą, poprzestanę w dalszym ciągu na samem tylko powoływaniu autorów, nie podając już osobnych cytatów miejscowych.**

szukać jej należy przedewszystkiem w wadliwej, anormalnej budowie jej stosunków ustrojowych, jak się one ustaliły w kilku ostatnich stuleciach istnienia Rzeczypospolitej. Rozbiorowi tego »zagadnienia ustrojowego« poświęcona została moja praca; żeby je zaś rozwiązać, okazała się potrzeba zastosowania metody porównawczej. Należało zapytać, czy stosunki ustrojowe dawnej Polski, jakkolwiek w wielu względach odbiegają od urządzeń dzisiejszych, i z tego punktu widzenia podlegać mogą krytyce ujemnej, chociażby najdalej sięgającej, mogły być na ogół urządzone w tym sposobie, żeby odpowiedzieć w pełni wymaganiom doby obecnej; a w związku z tem: czy stosunki owe, o ile nawet zasadniczo wadliwe, w urządzeniach innych państw tamtoczesnych, które byt swój utrzymały, nie znajdują analogij, w ślad za czem też same za przyczynę upadku naszej państwowości poczytane być nie mogą?

Z tego punktu widzenia rozpatrzyłem ważniejsze instytucye prawno-państwowe i społeczne Polski z kilku ostatnich stuleci istnienia Rzpltej; więc: istotę i charakter sejmowania polskiego, ustrój sejmikowy, urządzenie naczelnej władzy państwowej, zasadę elekcyjności, organizacyę rządu, uprzywilejowanie stanu szlacheckiego, ograniczenia miast, upośledzenie poddańcze ludności włościańskiej. Dla krytyki ujemnej, wydającej wyroki w oderwaniu, znalazło się tu pole najobszerniejsze; ale w oświetleniu porównawczem okazała się potrzeba daleko pod tym względem sięgających zastrzeżeń. Znalazł się wprawdzie pewien zasób instytucyj samorodnych, którym, w braku analogij, oceniając je same w sobie, przyznać można bądź to pewne zalety, bądź na odwrót obarczyć je surowymi zarzutami; nawet jednak najujemniejsze w tej dziedzinie zjawiska, jakie tu było można dostrzec, nie wystarczyły, żeby usprawiedliwić konieczność rozbiorów Polski. Pozatem zaś okazało się, że przeważna część innych naszych urządzeń tego czasu odpowiada przeciętnemu typowi organizacyjnemu owoczesnych państw zachodnio-europejskich, że czasem nawet stoi

wyżej odeń co do wewnętrznej swojej wartości; o ile zaś wykazuje defekty, to w każdym razie takie same, czy tego samego rodzaju, jak je spotykamy także gdzieindziej. Z tymi defektami tamte państwa przetrwały wiek XVIII i wkroczyły w nową erę reform stulecia XIX, przetwarzając dawniejsze swoje urządzenia w duchu nowożytnym, jak ich przetworzyć już nie mogła rozdzielona między rozbiorców Polska. Jeżeli tedy co do tamtych państw nie da się uzasadnić teza o konieczności ich upadku, to nie można jej stosować także do Polski w czasach rozbiorów. Wszystko to tem bardziej, że właśnie w ostatnich czasach przed upadkiem, w dobie Stanisławowskiej, jak na innych polach narodowego życia, tak też w ukształtowaniu stosunków ustrojowych przez ustawodawstwo ówczesne, zwłaszcza czteroletniego Sejmu, przedewszystkiem zaś przez wiekopomną Konstytucyę majową, przeprowadzono wielostronną, najgruntowniejszą reformę, która usunęła cały szereg niedomagań dawniejszych, a pod niejednym względem wyprzedziła nawet reformy państw zachodnich.

Taki oto jest punkt wyjścia wspomnianej pracy, i taki główny zrąb wywodów tamże przeprowadzonych. Stawiając rzecz na tem stanowisku, dotknąłem zagadnienia — winy. Pod pewnym kątem patrzenia zagadnienie to nazwać można niehistorycznem: bo zmierza ono do wyjaśnienia kwestyi, co w miejsce pewnych niepożądanych zjawisk, jakie wystąpiły w ewolucyi dziejowej, ujawnić się było powinno, i kogo pociągnąć należy do odpowiedzialności za to, że nie ujawniło się to, co byłoby lepszem czy doskonalszem. Zupełnie tak samo, jak nie jest zadaniem dziejopisarstwa dociekać, w jakim kierunku byłby się rozwinął tok wypadków dziejowych, gdyby pewne zdarzenia nie były nastąpiły. Niewątpliwie zasadnie z tego stanowiska prof. Brückner, wspomniawszy o upowszechnionym w dziejopisarstwie porozbiorowej doby zwyczaju winienia Polski o jej upadek, nazwał tę rzecz rozpatrywaniem »niehistorycznych kategoryj winy i kary«.

Cokolwiekbądź sądzić o tem — stwierdzić przecież

trzeba, że te niehistoryczne kategorye stały się codzienną strawą, którą, od długiego szeregu lat, karmi nas literatura historyczna; że nie ma prawie książki, rozpatrującej dzieje Polski z ostatniej doby jej istnienia przed rozbiorami, którąby o zagadnienie to nie otarła się przynajmniej, a jest wiele takich, które zajmują się niem szczegółowo. Poszliśmy pod tym względem, my i wielu obcych, którzy pisali o ówczesnej Polsce, prawie że w kierunku wprost przeciwnym, aniżeli dziejopisarstwo innych krajów i narodów, któremu kategorye owe nie stały się przedmiotem rozpatrywań naukowych, najczęściej nawet w tych wypadkach, kiedy chodziło o objaśnienie zjawisk ujemnych. Psychologicznie — różnicę tę wytłómaczyć łatwo. Tamte kraje nie utraciły niezawisłego bytu, jak go na jedno z górą stulecie utraciła Polska. Bezmierny ból, ogarniający cały naród z powodu upadku państwowości, parł do przeprowadzenia rachunku sumienia ze sobą samym, nasuwał mimowolne pytanie, kto tu ostatecznie winien, że upadek nastąpił, i w pracach uczonych historyków znachodził niejednokrotnie odpowiedź, że wina cięży na nas samych. Że ta odpowiedź przybierała czasem kształt moralnych nauk z kazalnicy, a najczęściej, jak trafnie zauważył Tokarz, miała na oku uzdrowienie narodu przez wskazanie mu jego wad i ułomności, czy też, jak wskazuje Mejbaum, dostosowywała pogląd na przeszłość do kierunkowych linij polityki bieżącej, o to już mniejsza. Bądź co bądź, zagadnienie winy zyskało w literaturze naszej historycznej prawo obywatelstwa — najszersze. Wobec takiego stanu rzeczy nie mam zapewne potrzeby usprawiedliwiać, dla czego i mnie, przy rozpatrzeniu stosunków ustrojowych przedrozbiorowej Polski, wypadło zwrócić na nie uwagę; dodam zaś jeszcze tylko, że wywody moje zmierzały właśnie do tego, żeby usunąć przesadny nacisk, jaki dotąd na moment winy kładziono.

Żeby wykazać zasadniczość mojej tezy, uciekłem się do metody badania porównawczego, jak ją zresztą przedtem, co do niektórych wchodzących tu w rachubę szcze-

gółów, stosowali czasem inni badacze, n. p. Rembowski. Jest rzeczą uwagi godną, jak daleko idące, zasadnicze sprzeczności ujawniły się w ocenie tego stanowiska w głosach krytyków, którym przypadło pisać o mojej pracy. Prof. Estreicher, w zupełnej ze mną co do tego szczegółu zgodzie, stwierdza, że tylko porównawcze zbadanie naszych niedomagań zdolne jest uzasadnić należyty sąd o wartości lub ujemnych stronach dawnych urządzeń Polski, że podstawą historycznej ich oceny musi być relatywność sądu. Podobnież prof. Kutrzeba w porównaniu ustroju Rzpltej z ustrojem innych państw ówczesnych widzi jedyną drogę, która prowadzi do rozwiązania zagadnienia. Pośrednie stanowisko zajmuje Brzeski, wedle którego każda próba porównywania form ustrojowych, wynachodząc podobieństwa, lekceważy momenty indywidualne, nieraz bardziej istotne od cech wspólnych; który jednak z metody tej obiecuje sobie pożytek niewątpliwy przez to, że prowadzi ona często do lepszego uchwycenia cech indywidualnych. Najskrajniejszym jest tu sąd prof. Zakrzewskiego. Jego zdaniem zestawianie analogij zagranicznych z stosunkami polskimi, opierając rzecz na szablonach i abstrakcyach, »należy raczej do porównawczej historyi prawa, aniżeli do historyi«.

Ten ostatni zarzut pragnąłbym oświetlić następującemi spostrzeżeniami. Najpierw: gdyby nawet bez zastrzeżeń stanąć na stanowisku krytyka, przecież trzeba będzie stwierdzić, że porównawcze badanie, o ile posługuje się metodą naukową, posiada, na podobieństwo jakiejkolwiek innej szczególnej gałęzi wiedzy, legitymacyę naukową samo przez się i samo dla siebie, niezależnie od tego, czy mu przyznamy znaczenie badania historycznego w ścisłem tego słowa znaczeniu. Nie ma tedy racyi, żeby podawać w wątpliwość samą jego zasadność czy potrzebę. Następnie: porównawcze badanie daje możność uwypuklenia istoty czy charakteru danej instytucyi, jak się ona ujawnia na tle rozpatrywanej epoki, a w związku z tem także ustalenia jej właściwości indywidualnych, któremi instytucya ta różni się od innych, współcześnie gdzieindziej istniejących:

problemy, od których rozpatrzenia nie wolno się uchylać historykowi. Co w tej mierze w pracy mojej zdołałem n. p. stwierdzić o właściwościach sejmowania polskiego w porównaniu z urządzeniami stanowemi na Zachodzie, niechaj tu posłuży za przykład i objaśnienie powyższej uwagi. Wreszcie: porównawcze badanie doprowadzić może czasem do wykrycia samej genezy badanego zjawiska, zatem rozwiązać pytanie w ścisłem tego słowa znaczeniu historyczne, i takie, którego objaśnienie stanowi jedno z naczelnych zadań dziejopisa. Przypomnę tu znowuż zestawienia moje porównawcze w sprawie włościańskiej i miejskiej, które pozwoliły stwierdzić, że poddaństwo chłopskie przedostało się do Polski jako gotowa, na Zachodzie przedtem wytworzona instytucya, jak niemniej, że ograniczenia miast i mieszczaństwa w Polsce wzorowały się, nieraz żywcem, na stosunkach zachodnich. Nie mówię już o tem, że praca moja założyła sobie za cel rozpatrzyć zasadność poglądu całej rzeszy historyków, którzy, podkreślając winę Polski, najczęściej uzasadniali ją właśnie tem, że poszliśmy odmienną drogą, aniżeli inne narody; jakże rozwiązać to pytanie, jeżeli nie przez zestawienie porównawcze z urządzeniami innych państw? I czy taka metoda porównawcza ma być tylko przywilejem dziejopisarstwa, obciążającego Polskę obwinieniem o jej upadek, a rzeczą niedostępną dla tych, którzy mniemają mieć podstawę do tego, żeby obwinienie to złagodzić?

Inna grupa zarzutów, jakie przeciw rzeczonej pracy skierowano, to ta, że dociekając winy upadku, rozpatrzyłem tylko momenty ustrojowe. Prof. Zakrzewski podkreśla, że jest to wyłącznie zagadnienie morfologiczne, że daleka stąd droga do objaśnienia fizyologii rozwoju dziejowego; w rozważaniu stosunków ustrojowych przeszłość staje nam przed oczami odarta do cna z tego, co nie przestanie być jej najcenniejszem znamieniem; fakt historyczny przestaje być zagadnieniem czynu, grozi mu zejście do roli mechanicznej dedukcyi z takich lub innych rysów ustrojowych. Jeszcze zaś przedtem prof. Estreicher wytknął mi, jakobym hołdował za-

patrywaniu, że forma ustroju rozstrzyga wyłącznie o żywotności państwa, gdy w rzeczywistości ustrój jest tylko zewnętrznym kształtem, który nie przesądza o wewnętrznej treści narodowego życia; ową wewnętrzną treść należy tu wciągnąć przedewszystkiem w rachubę, skoro się ma rozstrzygnąć zagadnienie upadku Polski. Wtóruje krytykowi Bogatyński, podkreślając, że nie uwzględniłem czynnika psychologicznego w życiu społecznem dawnej Polski, i że w ramach takiego samego ustroju życie to przybrać może treść rozmaitą.

Wszystkie te poglądy, w oderwaniu wzięte, są zupełnie zasadne, i nie ma może potrzeby zapewniać, że nie były mi obce w czasie pisania wspomnianej pracy; jeżeli jednak na tej podstawie skierowuje się zarzuty przeciwko jej wynikom, to tkwi w tem daleko idące nieporozumienie. Dla związku omówię tę rzecz dokładniej na dalszem miejscu; tutaj zaznaczę tylko ogólnie, że praca owa nie założyła sobie bynajmniej za cel wykazać, jakoby w braku niedomagań ustrojowych nie nasuwały się do dyskusyi inne przyczyny upadku Polski; jeno tylko, że niedomagania takie, *o ile ich szukać w stosunkach naszych ustrojowych*, upadku tego usprawiedliwić nie zdołają. Pomiędzy obu tezami leży cała przepaść pojęciowa, osobliwym zbiegiem okoliczności niedostrzeżona przez krytyków. Chodziło mi na ogół, jak trafnie dostrzegł Mejbaum, o oświetlenie *pewnej tylko części* całego zagadnienia co do przyczyn upadku Polski, i zastrzegłem się też najwyraźniej, że uwagi moje dotyczyły »jednej tylko z przesłanek całego poglądu«. Nie sądzę zaś, żeby zachodziła potrzeba usprawiedliwiania takiego właśnie zacieśnienia tematu, tem mniej zaś wykazywania, że w zacieśnieniu owem rzecz sama posiada wystarczającą legitymacyę naukową. Anatomia człowieka, rozpatrująca jego ustrój fizyczny, nie traci ani krzty na swem znaczeniu jako nauka ścisła, mimo, że zagadnieniami fizyologii czy psychologii nie zajmuje się wcale. Przy dzisiejszej specyalizacyi nauk dobrze jest, jeżeli zagadnienie złożone rozdzielone zostanie na odpowiednie części składowe, z któ-

rych każdą rozpatrzy zawodowy znawca. Z takiego właśnie wychodząc stanowiska, podjąłem się oświetlenia jednej strony całej kwestyi, o której mniemałem mieć prawo wypowiedzieć sąd kompetentny. Skoro takie zacieśnienie badań jest naukowo nie tylko dopuszczalne, ale nawet pożądane, to nie rozumiem, jak można żądać, żebym koniecznie był ogarnął całość zagadnienia.

Dodam jeszcze do tego, że właśnie w chwili spisywania mojej pracy, w nauce naszej na całej linii panował pogląd, jakoby wadliwości ustroju Polski były, jeżeli nie wyłączną, to przynajmniej główną przyczyną jej upadku. Wszak jeszcze prof. Chrzanowskiemu, który zajął się rozpatrzeniem stanu nauki w tym czasie, przyszło stwierdzić, że ciemnych stron przeszłości naszej dopatrywano się wtedy »w płynących z braku rozumu politycznego i dobrej woli potwornych wadach ustroju państwa i rządu, oraz w płynącej z jakiejś organicznej choroby mózgu czy serca polskiego anarchii«. Przeciwko temu, najbardziej wtedy upowszechnionemu poglądowi zwróciły się moje wywody; kiedy zaś pogląd ten zaczepiłem, podnoszą się oto zarzuty, że nie uwzględniłem innych momentów, na które podówczas osobnego, czy szczególnego nie kładziono nacisku. I rzecz znamienna: dopokąd sam tylko ustrój Polski był pod oskarżeniem, nie zaprzątano sobie zbytnio głowy zagadnieniami fizyologii i psychologii społecznej; kiedy jednak podjęta została próba wykazania, że w momentach ustrojowych właściwej przyczyny upadku Polski doszukać się nie można, zagadnienia te wysunięto zaraz na czoło i zaczęto podkreślać ich znaczenie górujące.

Nie mam zamiaru obniżać w czemkolwiek daleko sięgającego znaczenia wszystkich tych pozaustrojowych czynników; piszę się w pełni na pogląd Brzeskiego, że przy rozpatrywaniu całości zagadnienia należy — prócz momentów organizacyi społeczno-państwowej — uwzględnić wydatnie także »fakty bieżącej polityki« i całą psychologię społeczną. Ale sądzę, że nie od rzeczy będzie przestrzec przed zbytniem znowuż podkre-

ślaniem wyłącznego ich pod tym względem znaczenia, w zgodzie z spostrzeżeniem, wypowiedzianem już poprzednio w pracy mojej: że stosunki ustrojowe są jednym z najistotniejszych warunków żywotności państwa, że muszą najpoważniej zaciężyć na szali, kiedy chodzi o rozwiązanie zagadnienia rozwoju czy upadku państwowości. Bo ustrój tworzy ramy zewnętrzne, w obrębie których rozwija się samo życie publiczne narodu; od kształtu i przestrzenności tych ram zależą też w szerokiej mierze warunki owego życia. Trafnie uchwycił tę rzecz Brzeski, który, nie zapoznając tu wpływów psychologii społecznej, podkreśla przecież, że zagadnienie upadku naszej państwowości ociera się najbliżej o ustrój owego mechanizmu, który wprost wydaje ze siebie wolę polityczną narodu, i że najdonioślejsze pytania, dotyczące przyczyn upadku Polski, zbiegają się właśnie w jej ówczesnej organizacyi ustrojowej.

II.

Po tych kilku uwagach wstępnych zwracam się do omówienia szczegółów. Stwierdzę przedewszystkiem, że wywody moje, czy to w całości, czy przynajmniej co do poszczególnych punktów, znalazły pewne koło zwolenników w gronie przedstawicieli nauki. Brückner przyznaje słuszność twierdzeniu, że niemal wszystko, co w urządzeniach dawnej Polski poddawano dotąd krytyce, istniało w takim samym, albo nawet gorszym jeszcze kształcie także i gdzieindziej, że więc potępianie samych tylko urządzeń polskich sprzeciwia się elementarnym wymogom historycznego sposobu myślenia. Zgadza się też Kutrzeba z główną tezą mojej pracy, że nie ustrojowe zgubiły nas niedomagania, występujące współcześnie także gdzieindziej; tylko w sformułowaniu charakteru tych wadliwości przeprowadza pewne zmiany. Również Kadlec przychyla się w całości do poglądu, że wady ustrojowe nie były przyczyną upadku Polski, a osobno jeszcze zgłasza akces do

wywodu mojego, dla czego społeczeństwo polskie zachowywać się musiało wrogo wobec idei »absolutum dominium«. Tokarz przytakuje mi, że uprzywilejowanie szlachty w życiu społecznem i politycznem, to zjawisko właściwe także innym państwom ówczesnym, że dla mieszczaństwa zrobiono u nas więcej, aniżeli gdzieindziej, że chłop w trzech sąsiadujących państwach rozbiorowych w nielepszem aniżeli w Polsce, a częściowo nawet gorszem znachodził się położeniu, a ponadto stan sprawy włościańskiej nie miał u nas żadnego wpływu na upadek Rzpltej; wreszcie zaś na ogół, że przyczyn upadku tego nie należy szukać w jakichś szczególnych brakach naszego ustroju państwowego czy społecznego. Podobnież o ucisku włościan poza Polską, niemniejszym, a czasem dotkliwszym, aniżeli u nas, z osobna mówi Bujak. Nawet pośród tych krytyków, którzy polemizują ze mną o samo zagadnienie zasadnicze, znajdą się tacy, którzy zgadzają się na niektóre poglądy szczegółowe, czy nawet na całość zestawionego przezemnie aparatu dowodowego. Diveky wyraża zdziwienie, że bronię niektórych urządzeń, których obrona jest zbyteczna, gdyż istniały współcześnie także w innych państwach europejskich; i przez to stwierdza pośrednio, że wady, jakich możnaby się w nich dopatrzyć, jak tam, tak też w odniesieniu do Polski nie wystarczają do usprawiedliwienia jej upadku; osobno też jeszcze wyraża zgodę na wywody moje o charakterze i znaczeniu sejmowania polskiego. A znowuż prof. Estreicher, w ogólnem ujęciu zagadnienia winy biegunowo mi przeciwny, wyraża przecież znamienny pogląd: »Musi budzić krytykę nie sama forma (t. j. ustrój) — rzecz jasna«.

Znalazł się przecież najpierw szereg zarzutów szczegółowych. Jedna ich grupa dotyczy pewnych luk czy pominięć, jakie wykazuje moja praca. Nie mam zamiaru bronić się przeciwko tym zarzutom, przyjmując z wdzięcznością uzupełnienia; ogólnie tylko usprawiedliwię braki powołaniem się na okoliczność, że mając na celu zasadnicze ujęcie zagadnienia bardzo obszernego, nie mogłem myśleć o wyczerpaniu

wszystkich punktów szczegółowych. Żeby przecież uczynić zadość wyrażonym życzeniom, określę tu dodatkowo moje stanowisko wobec poruszonych szczegółów. Bogatyński zarzuca mi, że nie omówiłem artykułów Henrykowych ani paktów konwentów, że pominąłem milczeniem konfederacye i rokosz, że nie rozpatrzyłem organizacyi skarbu i wojskowości dawnej Polski, wszystko rzeczy, co do których ujawnia się w przeważnej mierze przeciwieństwo do stosunków zachodnich. Podobnież zaznacza Diveky, że nie zwróciłem uwagi na niektóre urządzenia, które tylko zganić i najsilniej potępić można, a wymienia pośród nich z osobna rokosz. Zaznaczę wobec tych zarzutów, co następuje:

Kwestya a r t y k u ł ó w H e n r y k o w y c h, jako osobnego kształtu zobowiązań królewskich wobec narodu, jest, przy dochodzeniu przyczyn upadku Polski w końcu XVIII w., bez znaczenia; jest to rzecz, która zjawiła się w Polsce tylko jednorazowo, tuż po wygaśnięciu Jagiellonów, i nie urobiła podstawy do wytworzenia się instytucyi stałej, w krytycznym czasie na losy Polski wpływać mogącej. O ile znowuż chodzi o samą wewnętrzną treść postanowień, artykułami tymi objętych, wchodzą one bądź to indywidualnie, bądź przynajmniej należą rodzajowo do kompleksu norm, ujmowanych później w pakta konwenta. Bliższego rozpatrzenia domagają się zatem tylko p a k t a k o n w e n t a, przetworzone w instytucyę stałą, od 1573 aż do upadku Rzpltej ponawiane za każdą zmianą tronu. Ale ogólnik, że pakta te, j a k o t a k i e, wpłynęły na upadek Polski, niczego jeszcze nie objaśni rzeczowo. Można je — ze stanowiska tezy, o którą chodzi — ocenić z dwojakiego punktu widzenia. Najpierw ze względu na treść, jaką zawierały. Co do tego szczegółu przypomnę, że wskazywałem już dawniej na niektóre ujemne ich pod tym względem strony, n. p. na okoliczność, że szlachta, spożytkowując aspiracye kandydata do tronu, przerzucała nań obowiązek dopełnienia pewnych świadczeń materyalnych, które właściwie cię-

żyły na społeczności państwowej [1]. Ze stanowiska etyki politycznej była to rzecz potępienia godna; nie potrzeba jednak wykazywać osobno, że nie stoi ona w istotnym związku z samym upadkiem Polski. Pozatem pakta konwenta zawierają cały szereg postanowień zasadniczych o stanowisku królewskości w Polsce, o stosunku monarchy do rządu i t. p., i to w tym sposobie, że w kolei czasu sięgają one do szczegółów coraz drobniejszych, n. p. do takich nawet postanowień: według jakiego porządku regestrów odbywać się ma sądownictwo królewskie. Odliczając tego rodzaju rzeczy podrzędniejsze, możnaby nazwać pakta jakoby ustaleniem i przypomnieniem lub zatwierdzeniem pewnego zasobu ustaw zasadniczych państwa, jak je, w kształcie zobowiązania ogólnego, zatwierdzała wydawana równocześnie z niemi generalis confirmatio iurium. Że niektóre z zawartych tamże postanowień, zwłaszcza te, które ograniczały zbytnio władzę królewską, podlegać mogą daleko sięgającej krytyce, jest rzeczą jasną; sprawę tę omówiłem jednak w uwagach o organizacyi władzy rządowej, i dla tego nie było potrzeby rozpatrywać jej ponadto w osobnym ustępie o paktach.

Inna znowuż rzecz: zasadnicze znaczenie paktów jako instytucyi prawnej; stwarzały one stosunek kontraktowy między narodem a królem, a przez to stawały się źródłem osłabienia władzy królewskiej. Znowuż jednak przypomnieć trzeba, że to nie instytucya wyłącznie polska. Już w końcowych stuleciach średniowiecza ustalił się zwyczaj, że kolegium kardynalskie, wybierając papieża, przedkładało mu do zatwierdzenia osobne, władzę jego ograniczające »kapitulacye«, odpowiadające, co do zasadniczej koncepcyi, naszym paktom konwentom. W Niemczech zaś, rychlej aniżeli w Polsce, bo już od r. 1519, przy każdym wyborze cesarskim, przedkładano elektowi do zatwierdzenia osobne »kapitulacye elekcyjne«, przedstawiające takież samo znaczenie zasadnicze. Nie można

[1] Balzer, Konst. Trzec. Maja 37.

też chyba wątpić, że, jak wiele innych instytucyj naszych, tak też i niniejsza da się odnieść genetycznie do tego wcześniejszego wzoru zachodniego. A trzeba dodać, że w Niemczech utrzymała się ona przez szereg stuleci następnych, na całej przestrzeni czasu, kiedy istniała przedrozbiorowa Polska; zaprzysięgali kapitulacye elekcyjne, od Karola V począwszy, wszyscy po kolei dalsi jego następcy na dawnym tronie cesarskim, licząc tu aż do ostatniego, Franciszka II, wybranego 1792 r. Nie należy też przepomnieć, że z postępem czasu, na zasadzie t. z. prawa przydawania nowych artykułów (ius adcapitulandi) władza cesarska stopniowo coraz bardziej była ograniczana; nawet przedsięwzięta dwukrotnie próba (1648, 1711) położenia pewnej tamy owej praktyce nie odniosła pożądanego skutku, gdyż ius adcapitulandi, odliczając pewne, nie dla wzmocnienia władzy cesarskiej przeprowadzone ograniczenia, utrzymało się nadal, aż do końca istnienia dawnej Rzeszy niemieckiej.

Że wypływające z kontraktowego stosunku paktów prawo narodu wypowiedzenia królowi posłuszeństwa na wypadek, gdyby nie dopełnił przyjętych zobowiązań, było zasadą wysoce szkodliwą, że mogło się stać źródłem rozstroju politycznego, nie można zaprzeczyć. Znowuż jednak przypomnieć trzeba, że takiż sam artykuł de non praestanda obedientia istniał w konstytucyi węgierskiej jeszcze od początków wieku XIII pod nazwą: ius resistendi, i że zapewne w nim dopatrzyć się należy wzoru, na którym oparło się analogiczne urządzenie polskie. A dodam jeszcze, że to węgierskie ius resistendi utrzymało się nienaruszone aż do skłonu wieku XVII (1687), jeszcze przez dwa bezmała stulecia pod rządem Habsburgów. Że wobec silnego militarnego oparcia, jakie Habsburgowie zdołali sobie stworzyć, stawało się mniej dla nich niebezpiecznem, to rzecz pewna; ale to już kwestya polityczna, wychodząca poza ramy zagadnień ustrojowych.

Zresztą i na Węgrzech, nawet wobec przemożnych Habsburgów, w w. XVII i XVIII, żeby nie mówić o wypadkach

stulecia XIX, naród zrywał się niejednokrotnie do potężnych rokoszów, które wprowadzały zawichrzenie w tamtejsze życie państwowe, a których teoretyczne uzasadnienie tkwiło właśnie w ius resistendi, w prawie narodu do sprzeciwienia się królowi, naruszającemu zaprzysiężone zasady węgierskiej konstytucyi. O tyle można też mówić — w odniesieniu do Węgier — o rokoszu, jako instytucyi prawnie uznanej, przynajmniej aż do formalnego usunięcia iuris resistendi w r. 1687. Ani o jotę dalej nie można się posunąć, oceniając znaczenie rokoszu, jako instytucyi prawnej w Polsce. I tutaj, w ramach ustrojowych, da się on pojąć tylko jako wykonanie zapewnionego narodowi w paktach prawa wypowiedzenia posłuszeństwa z powodu naruszenia konstytucyi przez króla. W jakimkolwiek innym wypadku rokosz trzeba będzie uznać za rzecz, wyjętą poza nawias stosunków ustrojowych. Znamiennem jest stanowisko, jakie co do tej sprawy zajmuje autor podręcznika o państwowem prawie polskiem z ostatniej doby istnienia Rzpltej, Skrzetuski. W kompendyum swojem wspomina on wprawdzie o rokoszu, ale poprzestaje na samem tylko wytłómaczeniu pochodzenia nazwy oraz zestawieniu kilku przykładów rokoszowej akcyi w kolei dziejów naszych. Nie znaleźć tu ani słowa, któreby rokosz uznawało jako instytucyę prawną; wszystko zaś, co ze stanowiska krytycznego miał o nim do zaznaczenia, zamyka się w wzmiance o »spiknieniu się« Zebrzydowskiego przeciw Zygmuntowi III, oraz w stwierdzeniu, że »późniejsze lata aż nadto płodne były w takie prywatne związki, które pod hasłem ocalenia praw i obrony wolności za każdym razem pamiętne ciosy rządowi i bezpieczeństwu obywatelskiemu zadały«[1]. Jeszcze ściślej określa tę rzecz ostatni badacz zagadnienia rokoszowego, Rembowski. Jego zdaniem typowy rokosz rozwinął się w nadzwyczajną instytucyę polityczną tylko jako sąd najwyższy szlachecki nad królem, zawiązany w celu obrony kon-

[1] Skrzetuski, Prawo polit. narodu pol. I. 318. 319.

stytucyi Rzpltej i ustalonych dawniejszem prawem swobód rycerskich od krzywd i zamachów wszelakiego rodzaju [1].

Jest tedy rzeczą niezrozumiałą, jeżeli właśnie historyk węgierski, jak Diveky, przeciwstawiając rzecz stosunkom węgierskim, podkreśla z szczególnym naciskiem ujemne strony rokoszu jako instytucyi polskiego prawa państwowego; ustrojowo ma ona w Polsce taką samą tylko zastosowalność i takie samo znaczenie, jak w Węgrzech. Różnica tkwi tylko w tem, że ius resistendi zniesione zostało na Węgrzech wcześniej, aniżeli polski artykuł de non praestanda obedientia, który to defekt uważam sobie za obowiązek podkreślić tu sumiennie. Rzucę jeszcze tylko pytanie, czy rokosz, w ramach tego artykułu prawnie dopuszczalny, da się praktycznie pojąć jako przyczyna upadku państwowości polskiej? Na Węgrzech, nawet po ustawie z 1687, wybuchały potężne rokosze, które głęboko wstrząsały krajem, ale utraty państwowego bytu nie sprowadziły; w Polsce, w wieku XVIII, odliczając akcye, związane z dwoistym wyborem królewskim — o czem niżej — nie znaleść zakrojonych na tak szerokie rozmiary rokoszów, jak je n. p. widzimy jeszcze wtedy na Węgrzech w buncie Rakoczego, albo, jak je w rokoszach Zebrzydowskiego czy Lubomirskiego wykazać może sama Polska w XVII jeszcze wieku. Rozbiory przyszły w czasie, w którym nasilenie rokoszowe właśnie bardzo znacznie zmalało. Wiadomo też, że akcya konfederacyi barskiej, połączona z orzeczoną detronizacyą Stanisława Augusta, była dla mocarstw rozbiorowych tylko płaszczykiem do przeprowadzenia dawno powziętych zamiarów rabunku ziem polskich, i że pobudką, chociażby pośrednią, do dokonania dwu ostatnich rozbiorów, nie był jakikolwiek rokosz skierowany przeciw królowi.

O ujemnych stronach konfederacyi miałem sposobność rozwieść się obszerniej w jednej z dawniejszych prac [2];

[1] Rembowski, Konfed. i rokosz, wyd. 2, 436.
[2] Balzer, Konst. Trzec. Maja 33 n.

co pod tym względem także stwierdziłem, mogę utrzymać częściowo także i obecnie, z korekturami, o których zaraz niżej. Że tkwiąca w koncepcyi tego urządzenia możność zrzeszenia się społeczeństwa, czy przedniejszych jego odłamów, w samoistny czynnik władzy, działający obok organów państwowych, groziła niebezpieczeństwem rostroju, że, staczając się po równi pochyłej, mogła zwrócić się także przeciw władzy państwowej, jak się to nieraz zdarzało, zaprzeczyć oczywiście nie można. Zwłaszcza przez samowolną wykładnię artykułu de non praestanda obedientia mogła doprowadzić i rzeczywiście wiodła nieraz do rokoszu. Co o tej stronie ujemnej konfederacyi sądzić należy, niechaj objaśnią wypowiedziane co dopiero uwagi o artykule de non praestanda obedientia i o rokoszu samym. Nie zdołałoby jej zapewne zrównoważyć powołanie się na okoliczność, że konfederacya polska, to znowuż rzecz, urobiona na wcześniejszych wzorach zachodnich; na Zachodzie bowiem ten kształt zrzeszania się społeczeństwa został stosunkowo rychło przez ukrzepioną władzę państwową usunięty, gdy przeciwnie w Polsce utrzymał się jeszcze przez kilka stuleci dalszych. Nie zrównoważyłaby jej pewno także i ta, niezaprzeczalna chyba zaleta konfederacyi, że w dostosowaniu do obrad sejmowych, stawiając zasadę większości głosów, usuwała szkodliwe następstwa liberi veto. Za to nie od rzeczy będzie zwrócić teraz uwagę na zagadnienie pierwszorzędnie doniosłe, którego przedtem nie zdołałem uchwycić: w jakim zakresie i do jakich granic przyznać można konfederącyi walor instytucyi prawnej w Polsce?

Niechajże znowuż rzecz tę oświetlą spostrzeżenia pisarza, któremu zawdzięczamy wykład prawa państwowego polskiego z ostatniej doby istnienia Rzpltej. Oto, jaką charakterystykę prawną konfederacyi podaje Skrzetuski: »związek skojarzony czyli na obronę własną, czyli na utrzymanie w kraju bezpieczeństwa domowego i zewnętrznego, czyli na zachowanie całości praw i swobód narodowych, czyli na ocalenie dostojeństwa królewskiego, czyli na ostatek w innych jakich krytycznych

dla narodu okolicznościach«. A na innem miejscu, w ściślejszem jeszcze sformułowaniu tej myśli przez określenia ujemne, przydaje Skrzetuski: »Nie wspominam o innych konfederacyach, które nie były sprzymierzeniem się całego narodu z królem, i które... jako bezprawne, potępione lub tylko amnistyą powszechną przy uspokojeniu Rzpltej pokryte były«[1]. Poza zwykłemi konfederacyami z czasów bezkrólewia, przyznano tu zatem konfederacyi znaczenie prawne tylko o tyle, o ile ona polega na sprzymierzeniu się narodu z królem, przedstawicielem prawidłowej naczelnej władzy państwowej, i zmierza do przeprowadzenia zbawiennych dla państwa celów, do zaspokojenia istotnych i rzeczywistych jego potrzeb. Nie znaleść też w całem naszem ustawodawstwie jakichkolwiek postanowień, któreby zadawały kłam temu poglądowi teoretyka. W takiem ujęciu rzeczy konfederacya, jako instytucya prawna, ujawni to, co od początku tkwiło w jej założeniu i charakterze: żeby wobec nierozwiniętej jeszcze wszechstronnie, czy w pewnych wypadkach niewystarczającej prawidłowej władzy rządowej, powołać obok niej nadto także i społeczeństwo samo, w pewnej części czy całości, do urzeczywistnienia ważniejszych zadań państwowych. W świetle tej koncepcyi konfederacya, wychodząca poza wskazane tu granice, zwłaszcza taka, która skierowywała się przeciw władzy państwowej, to rzecz bezprawna, leżąca poza ramami ustrojowemi. Nie innym jest też sąd o tej sprawie, wypowiedziany przez badacza, który z osobna, na podstawie najobfitszego materyału źródłowego, zajął się szczegółowem wyświetleniem istoty konfederacyi. Zdaniem Rembowskiego »konfederacye ...przeciw królowi, t. j. pociągające go do odpowiedzialności i grożące mu degradowaniem ...nie zdołały pozyskać nawet skromnych znamion legalności i napiętnowane zostały nazwą spisku, buntu«[2]. W czemkolwiek tedy w następstwie wypaczenia

[1] Skrzetuski, Prawo polit. nar. pol. I. 309. 317.
[2] Rembowski, Konfed. i rokosz, wyd. 2, 441.

zasadniczej myśli, jaka tkwiła w instytucyi prawnej, zamącone zostało nasze życie publiczne przez związki konfederacyjne, tego wprawdzie nie zamilczymy; trzeba będzie tylko dodać zastrzeżenie, że nie było to następstwo ułomności, tkwiących w samej organizacyi państwowości polskiej. Przypomnieć ponadto trzeba, że w trafnem docenieniu niebezpieczeństw takiego wypaczenia nie brakło usiłowań zupełnego usunięcia konfederacyi z zakresu uznanych w naszem prawie instytucyj ustrojowych: zakazały ich zawiązywania nie tylko konstytucya Trzeciego Maja, ale na jedno bezmała przedtem stulecie zatwierdzony przez sejm z 1717 traktat warszawski 1716 r.

Co do skarbowości i wojskowości polskiej, na których niedomagania kładzie się nacisk szczególny, należy znowuż zauważyć co następuje: Uwzględnia się tu całość przejawów w obu tych dziedzinach życia publicznego, zapominając, że nie wszystkie noszą na sobie charakter ustrojowy. Urządzenia prawa państwowego stwarzają tylko pewne ramy dla akcyi skarbowej i wojskowej; jaką treścią wypełni je rzeczywistość, to rzecz, zależna od działania innych czynników, n. p. w dziedzinie skarbowej w szerokiej mierze od ukształtowania się stosunków gospodarczych, stanu bogactwa krajowego i t. p., pozatem także od samej indywidualnej sprawności organów, prowadzących gospodarkę skarbową i innych tego rodzaju momentów. Mogą w tych właśnie kierunkach ujawnić się niedomagania, chociażby daleko sięgające, mimo że same ramy ustrojowe przybrały kształt odpowiedni i celowy. Jak trafnie zauważył Brzeski, w obrębie tych samych ram ustrojowych wystąpić mogą różne objawy psychicznego życia społeczeństwa; ewolucya kształtów ustrojowych i psychologii społecznej niekoniecznie muszą się tu pokrywać ze sobą, obie mogą się rozwijać z różną szybkością i w różnych posuwać się kierunkach. Potępienie ustroju samego, a w ślad za tem przyczynowe związanie z nim upadku Polski okaże się zasadnem w takim tylko razie, jeżeli się uda wykazać, że stworzył

on takie ramy organizacyjne, w obrębie których skarbowość czy wojskowość polska nie mogły rozwinąć się pomyślnie. Pozatem zaś rozważyć trzeba będzie jeszcze pytanie dalsze: czy dla niedomagań, jakieby tu wykazać się dały, nie znajdą się analogie w współczesnych urządzeniach innych państw europejskich, które mimo to utrzymały żywotność i sam byt państwowy. Zadaniem krytyków, którzy w tym właśnie kierunku szukają przyczyn upadku, będzie wykazać tego właśnie rodzaju niedomagania w samym ustroju skarbowym czy wojskowym; ze stanowiska tezy, o której rozwiązanie chodzi, i w interesie ścisłości naukowej jest to rzecz nieodzowna. Dopokąd to nie nastąpi, wszystko, o czem się na ten temat prawi, nie wyjdzie poza sferę nieścisłych ogólników.

Żeby nawiązać do niektórych należących tu szczegółów, jakie okolicznościowo podniesiono, zwrócimy tymczasem uwagę na dwie rzeczy. W dziedzinie skarbowości: na zarzut, że szlachta opatrzona była przywilejem wolności podatkowej. Tu jednak przypomnieć trzeba, że taka sama wolność szlacheckiej warstwy uznawana była współcześnie także i gdzieindziej, n. p. we Francyi aż do wielkiej rewolucyi, zatem aż do rozbiorów Polski, nie przesądzając ujemnie o żywotności tamtejszego państwa. I znowuż w dziedzinie wojskowości: zarzut, że w czasie, kiedy inne państwa zwiększały statecznie swoje armie, w Polsce na znacznej przestrzeni XVIII w. komput wojska wyraźnem postanowieniem ustawowem ograniczony został do niezwykle niskiego stanu 24000 ludzi. Że oczywiście ta dysproporcya wydawała Polskę na łup militarnie potężnych sąsiadów, jest rzeczą jasną. Ale przypomnieć trzeba, że konstytucya z 1717, która to ograniczenie wprowadziła, doszła do skutku pod naciskiem Rosyi, jak niemniej, że podejmowane później wielokrotnie przez długi czas próby aukcyi wojska paraliżowane były statecznie przez mocarstwa sąsiednie, i że, wobec ugruntowanego już wtedy rozstrzygającego ich wpływu na tok spraw polskich, nie mogły być przeprowadzone. Rodzi się

wobec tego pytanie, czy można tu wysuwać zagadnienie w i n y, skoro się uwzględni ów stan ubezwładnienia Polski przez sąsiadów? Żeby na nie odpowiedzieć twierdząco, trzeba będzie chyba sięgnąć do wysuwanego pospolicie w podobnych wypadkach argumentu, że Polska nie powinna była dać się osłabić do tyla, żeby stracić wolność samodzielnego rozstrzygnięcia tej sprawy. Co o wartości tego rodzaju zarzutów sądzić należy, objaśni końcowa część niniejszych uwag. Z chwilą, w której podjęto próbę zrzucenia ciążącego jarzma wpływów obcych, w samych zaraz początkach czteroletniego sejmu, stanęła uchwała o stutysięcznej armii; dociekania Korzona wyjaśniły, że w istocie, w chwili upadku państwa, stan liczebny wojska polskiego zbliżał się bardzo do tej cyfry. A inny badacz (Tokarz), rozpatrując ostatnio zagadnienie przyczyn naszego upadku, posuwa się nawet do twierdzenia, że na ogół w organizacyi wojskowości doby Stanisławowskiej przyczyn tych szukać nie należy.

Dotknę tu jeszcze jednego zarzutu pominięcia, jaki, w zgodzie zresztą z zasadniczym poglądem wielu dawniejszych badaczy rosyjskich, uczynił mi Kadlec, wskazując na nieomówienie ujemnych stron s p r a w y d y s s y d e n c k i e j w P o l s c e. Zaznaczę tedy z góry ogólnie, że jeżeli która sprawa, to dyssydencka, rozważona na tle współczesnych stosunków europejskich, nadaje się najmniej do obciążenia Polski jakiemkolwiek obwinieniem o wywołanie upadku państwowości. Odliczając pewne, dalej sięgające ograniczenia (wygnanie), stosowane wobec niektórych sekt, jak Aryanów, Kwakrów, Menonitów i Anababtystów, jakie z zwycięstwem reakcyi katolickiej orzeczono w konstytucyach XVII i pierwszej połowy XVIII w., a które, cokolwiek przyszłoby sądzić o ich wartości, wobec stosunkowo mniej znacznej cyfry wyznawców nie mogą być poważniej brane w rachubę przy dochodzeniu przyczyn upadku Polski, i ograniczając się do obu głównych wyznań dyssydenckich, luterańskiego i dyzunickiego, stwierdzić trzeba, że w czasach, kiedy gdzieindziej innowiercom nie tylko żadnych poli-

tycznych praw nie przyznawano, nie tylko publicznych, ale i prywatnych nabożeństw im zabraniano, a ponadto karano wygnaniem, konfiskatą, nawet śmiercią, w Polsce przeprowadzono tylko pewne ograniczenia w zakresie praw politycznych (brak udziału w senacie, niezdolność sprawowania funkcyi poselskiej, z biegiem czasu także niezdolność pozyskania urzędów). Za to nie tylko nabożeństwo prywatne było im dozwolone, ale także i publiczne w tych miejscowościach, w których posiadali zbudowane dawniej zbory (1632, 1648, 1668, 1674, 1717). Pokój i nietykalność dóbr zabezpieczano im w pełni (1733, 1736), dyzunitom poręczano dochowanie ich praw (1641, 1647, 1648, 1668), cerkwie ich, na równi z unickiemi, opatrywano przywilejem wolności podatkowej (1667). Osobnemi postanowieniami brano ich nawet w opiekę przeciw możliwym uciążeniom wyznawców religii katolickiej; orzekano, że unici nieunitów nie mają »ciążyć« (1609, 1666), a co do podsądności ministrów dysydenckich stanowiono, usuwając możliwą stronniczość sądów duchownych, że odpowiadać mają wyłącznie przed trybunałem świeckim (1632, 1648, 1668, 1674). W niektórych ziemiach, jak mianowicie w Prusiech, podobnież w Inflantach i Kurlandyi, luterański żywioł żadnym nie podlegał ograniczeniom, używając pełni praw, nie tylko wyznaniowych, ale i politycznych; do jakiego zaś doszedł tu znaczenia, dowodzi okoliczność, że znowuż przeciwko uciążeniom z jego strony, osobnemi postanowieniami ustawowemi trzeba tu było brać w obronę wyznawców panującej religii katolickiej (1638, 1678).

Ciekawe spostrzeżenia pod tym względem nasunąć może porównanie tych stosunków z współczesnemi urządzeniami zachodniemi, n. p. w krajach habsburskich[1]; z porównania tego Polska wyjdzie w pełni obronną ręką. Na tolerancyjny patent habsburskie kraje czekać musiały aż do czasów Józefa II, a i on w dziedzinie swobód religijnych nie zdobył się na nic

[1] Szczegóły por. Balzer, Hist. ustr. Austr. wyd. 2, 219 n. 314 n.

więcej, jak na przyznanie prawa nabożeństwa prywatnego; takiż »patent«, o wiele obszerniejszy co do treści, Polska uzyskała już w uchwale konfederacyi generalnej z 1573. Od dalszych co do tego przedmiotu uwag zwalniają mnie dawniejsze prace szczegółowe innych badaczy, i chociażby ostatni, cenny szkic Haleckiego o tolerancyi polskiej. Przypomnę jeszcze tylko sąd Konopczyńskiego, że »nietolerancya« nasza była szczytem wyrozumienia wobec tego, co istniało w Hiszpanii, Francyi, Włoszech i Austryi, a zarazem zwrócę uwagę na wynik dawno już ogłoszonej pracy bezstronnego chyba, bo niemieckiego historyka, że wyolbrzymiana przez mocarstwa rozbiorowe, zwłaszcza przez Rosyę w dobie rozbiorów, sprawa rzekomego ucisku dysydentów w Polsce, była tylko dogodnym pozorem do urzeczywistnienia ich planów zaborczych [1].

Druga grupa zarzutów, jakie mi poczyniła krytyka, obejmuje te zagadnienia, które w pracy mojej wprawdzie omówiłem, które jednak tamci autorowie o ś w i e t l a j ą o d m i e n n y m i p o g l ą d a m i. Zwracają się one prawie że wyłącznie przeciwko mojemu zestawieniu e l e k c y j n o ś c i p o l s k i e j z zasadą wybieralności tronu, uznaną współcześnie w innych państwach, więc: do XVII w. w Czechach i na Węgrzech, do początków XIX stulecia w Niemczech. Brzeski przyznaje tym analogiom tylko względną i przybliżoną wartość, Bogatyński zaś podkreśla z osobna, że elekcya polska dokonywana była viritim, czego nie było gdzieindziej. Przypuszczam, że ten nacisk, położony na elekcyę viritim, ma na celu zaznaczyć niebezpieczeństwo polityczne, jakie wobec tak obszernego koła wyborców groziło Polsce, zwłaszcza także możliwość wyborów dwoistych, które w istocie nieraz dochodziły do skutku, i przez krótszy czy dłuższy czas całem państwem doszczętnie wstrząsały. Że w istocie ramy ustrojowe elekcyi viritim otwierały taką możliwość, nie uszło mojej uwagi; wszak zaznaczyłem wyraźnie, że elekcya sama w sobie była żywiołem rozstroju życia

[1] J a n s s e n, Zur Genesis d. ersten Theil. Polens, 1865.

politycznego. Nadmienię tylko, że także ustrój elekcyjny, zacieśniający prawo wyborcze do jakiegoś szczuplejszego koła elektorów, nie jest lekarstwem niezawodnem przeciw tego rodzaju następstwom. Czy mam przypominać długotrwałe schizmy papieskie w XIV i XV w., a od czasu do czasu zdarzające się także i dawniej, mimo że wybór papieża dokonywał się w kolegium kardynałów? Albo kilkunastoletnią schizmę królewską w Niemczech w początkach XIV stulecia, przy prawie wyborczem, ograniczonem do siedmiu tylko elektorów? Zasadność porównywania obu rzeczy pod tym kątem patrzenia nie da się zatem wykluczyć.

Zwrócę przytem uwagę na okoliczność, że podkreśliwszy w przypomnianym co dopiero ustępie poprzedniej mojej pracy ujemne strony elekcyjności polskiej pod względem politycznym, rozpatrywałem jej znaczenie w zgoła innym związku, a mianowicie stosunek królewskości, opartej na wyborze, do zagadnienia siły i wewnętrznej spoistości samej władzy monarszej. Z tego zaś punktu widzenia jest rzeczą obojętną, czy elekcya dokonywała się w jakiemś szczuplejszem gronie wyborców, czy też viritim przez ogół szlachty. Okoliczność, że władca nie jest dziedzicznym, naprawdę »z łaski Bożej«, jeno zawdzięcza tron woli narodu czy jakichkolwiek jego przedstawicieli, wpływa z istoty rzeczy ograniczająco na pełnię jego praw monarszych, rodzi jakoby stosunek umowny między nim a narodem. Taki stosunek da się otóż stwierdzić wszędzie, gdziekolwiek ustali się zasada elekcyjności, niezależnie od tego, w jakie co do koła uprawnionych wyborców ujęto ją ramy ustrojowe: zatem — nie w samej tylko Polsce. Nawet to, co tu jako argument przeciwny przytoczył Kadlec, że gdzieindziej, jak mianowicie w Czechach i Węgrzech, elekcyjność była tylko względną, t. j. trzymała się dynastyi, i przez to w praktyce zapewniała jej jakoby dziedziczną kolejność, a sejm »współdziałał« tylko przy akcie następstwa, nie wiele zmieni co do istoty rzeczy. Bo przecież i w Polsce, żeby nawet pominąć elekcyjność wcześniejszej doby jagiellońskiej, trzymającą się stale jednej

dynastyi aż do jej wygaśnięcia, także i później, jak zresztą zaznaczyłem już w mojej pracy, elekcye kilkakrotnie nie wychodziły poza obręb tego samego rodu panującego: wybierano dwu po kolei Sasów, a przedtem jeszcze wszystkich trzech przedstawicieli polskiej linii Wazów aż do jej przerwania się. Na dziesięć, względnie jedenaście zmian tronu, jakie od zgonu Zygmunta Augusta aż do rozbiorów nastąpiły, w dwu tylko wypadkach zdarzyło się, że wybór nie padł na pozostałe potomstwo poprzednika. Zresztą także i »względna elekcyjność« czeska czy węgierska nie usuwała w zasadzie umownego stosunku między władcą a narodem; wszakże sam Kadlec, w związku ze swojem spostrzeżeniem, stwierdza, że wybrani tamże królowie nie tylko przysięgę koronacyjną składać, ale także podpisywać musieli osobne wobec narodu zobowiązania w postaci listów majestatu czy dyplomów inauguracyjnych. O kapitulacyach elekcyjnych wybieralnych królów niemieckich, sobowtórze polskich paktów konwentów, była już wyżej mowa.

Z innych, w grupie niniejszej przytoczonych argumentów krytycznych, wątpię, żeby dosadniej zaciężyć mogło na szali spostrzeżenie prof. Estreichera, który, zestawiając stosunki polskie z zachodniemi, podkreśla, w przeciwieństwie do urządzeń naszych, znaczenie ukształcenia się naczelnych organów zarządu w krajach habsburskich i we Francyi. Ma tu niewątpliwie na myśli nie sam fakt istnienia tych urzędów, bo przecież i u nas, jeszcze w wiekach średnich, wytworzyły się takież organy zarządu centralnego, jeno zapewne większe ich w tamtych krajach zróżnicowanie pod względem organizacyjnym i doskonalsze urządzenie, aniżeli w Polsce. Tej różnicy zaprzeczyć oczywiście nie można; przypomnieć jednak trzeba, że nawet względnie mniej doskonała organizacya władz naczelnych niekoniecznie musi być złą, a bardziej jeszcze, że nie musi być do tyla szkodliwą, żeby nią wytłómaczyć czy usprawiedliwić upadek państwowości. Wniosek taki możnaby nazwać ścisłym, naprawdę naukowym, dopiero wtedy, gdyby się udało wykazać konieczną przyczynowość między

tego rodzaju defektem a brakiem żywotności samego organizmu państwowego.

Z ściślej określonymi zarzutami występują krytycy odnośnie do sprawy liberum veto. Prawda, że i tu zdarzą się nieporozumienia. Na nieporozumieniu, i to daleko sięgającem, polega zarzut Diveky'ego, jakobym — bronił liberum veto, z przydanem spostrzeżeniem, że na ogół nie da się ono obronić. Przypomnę tedy, że zgoła nie kruszyłem kopii w jego obronie; owszem, stwierdziłem wyraźnie, że »było niewątpliwie zjawiskiem poważnie ujemnem«, a na innem miejscu określiłem je jako »najboleśniejszy wrzód naszego sejmowania, którego ujemny wpływ na rozwój życia publicznego w Polsce dostatecznie jest znany«. Z całego zarzutu krytyka pozostaje właściwie do rozpatrzenia tylko spostrzeżenie końcowe: że reforma, dokonana w Polsce odnośnie do liberum veto, przyszła — za późno. Ten sam pogląd wygłasza także Bogatyński, określając myśl tę jeszcze dokładniej. Stwierdza on, że liberum veto usunięto dopiero 1791, na cztery zaledwie lata przed ostatnim rozbiorem, że więc brakło już czasu, żeby reformę tę przeprowadzić w praktyce; częściowe ograniczenie jego zastosowalności, przeprowadzone r. 1768, uważa za niewystarczające, ile że utrzymano je właśnie co do spraw najważniejszych, t. z. materiae status. Zauważę wobec tego, że krytyk zanadto trzyma się tu czysto zewnętrznej sprawy nomenklatury; znaczenie reformy z 1768, mimo utrzymane wtedy jeszcze częściowo liberum veto, sięga o wiele głębiej. Co w instytucyi tej było najgroźniejszego, to nie tyle okoliczność, że sprzeciw jednego posła unicestwiał uchwałę, o którą chodziło, ile raczej okoliczność, że liberum veto zrywało cały sejm, unicestwiało takie nawet uchwały, na które oświadczona już była lub oświadczoną być mogła jednomyślna zgoda (sistere activitatem). Paraliżowane były funkcye naczelnego organu życia państwowego; zamierało tętno, które doprowadzać miało krew do całego organizmu narodowego. Toż ilekroć mówimy o zgubnych skutkach liberi veto, wysuwamy zawsze na czoło owo zrywanie sejmów,

jak się ta rzecz częściowo już w w. XVII, a przedewszystkiem w dobie saskiej ujawniła w całej potworności, kiedy po kilkadziesiąt lat z kolei żaden sejm nie mógł dojść do skutku. Otóż reforma z 1768, choć utrzymała liberum veto co do materyj status, usunęła tamtą anormalność w całości; orzekła bowiem, że liberum veto, w tym ograniczonym zakresie uznane, nie ubliża innym uchwałom zapadłym na sejmie, i sejmu na ogół zerwać nie może. W najgorszym razie opór jednostki mógł tedy unicestwić tę lub ową uchwałę, choćby w sprawie ważniejszej, ale nie mógł przeszkodzić prawidłowej działalności sejmu, zwłaszcza że we wszystkich innych sprawach obowiązywała zasada większości głosów. Już zatem wtedy prawodawczy organ Rzpltej odzyskał warunki żywotności. Jakoż widzimy, że przez cały dalszy ciąg panowania Stanisława Augusta — w rażącem przeciwieństwie do stosunków z doby saskiej — cały szereg sejmów walnych, ordynaryjnych co dwa lata, a prócz tego niektórych ekstraordynaryjnych, nie tylko dochodzi do skutku, ale ponadto żywą, wszechstronną rozwija działalność prawodawczą. Już odtąd uzdrowiony jest w najważniejszym szczególe mechanizm życia państwowego. Zmiana dokonała się zatem nie na kilka dopiero lat przed ostatnim rozbiorem, ale na lat bezmała trzydzieści przedtem: okres czasu, wystarczający w pełni, żeby reformę urzeczywistnić w praktyce, jak się to okazało właśnie w sejmowaniu doby Stanisławowskiej. Reforma z 1791 była tylko ostatnim ciosem, wymierzonym instytucyi, której główne korzenie zostały podcięte — przedtem.

Na ogół, wołanie: »za późno, katastrofa, przez nas samych zawiniona, nie dała się już odwrócić« — odzywa się teraz ciągle powrotnem echem, w toku polemiki o moją pracę o wiele częściej i z większą siłą, aniżeli kiedykolwiek dawniej; choć i dawniejsi badacze, że tu przypomnę Korzona, nieraz dosadnie podkreślali gruntowny proces odrodzenia Polski za Stanisława Augusta. Nic to, że stanęła konstytucya majowa, która dawniejszy ustrój państwowy i społeczny zasadni-

czo w duchu nowożytnym przetworzyła, albo przynajmniej w pewnych kierunkach drogę do takiego przetworzenia wskazała, a częściowo nawet reformami swemi zachodnie państwa wyprzedziła. Nic, że nawet przed konstytucyą, przez szereg lat od ustąpienia Sasów, zwłaszcza po pierwszym rozbiorze, reformowano niejedno, i to znowuż gruntownie, w dziedzinie stosunków ustrojowych, że ulepszono i sprężystszą uczyniono naczelną administracyę państwa, że ukrzepiono działalność zarządu skarbowego, zwiększając w trójnasób dochody państwowe, a i o ulepszeniu organizacyi i sprawności wojska nie przepomniano; że zapoczątkowano nawet reformę społeczną postanowieniami o złagodzeniu losu włościan, i prywatną, szeroko zakrojoną akcyą w sprawie umniejszenia świadczeń, jakie ich przedtem uciążały. Nic to — żeby tu sięgnąć do momentów pozaustrojowych — że podniosła się uderzająco wydatność pracy rolnej, że zakwitł handel i przemysł, zwiększył się najpokaźniej zasób pieniądza i stan majątku narodowego, że podniosła się oświata i pogłębiła kulturalna praca. Mimo to wszystko, mimo »uderzające polepszenie«, jak tę rzecz określa Korzon, lub, żeby tu użyć słów Tokarza, mimo dokonany »proces poważnego przyrostu sił narodowych« na przestrzeni czasu, odpowiadającej życiu całego jednego pokolenia — przecież, jak chcą Diveky czy Bogatyński, miało już być za późno; i to tak, że mimo najwidoczniejsze odrodzenie winę rozbiorów przypisać należy Polsce samej, że trzeba stwierdzić jej brak żywotności w tym czasie, a rozbiory same usunąć z rzędu przyczyn, które wpłynęły rozstrzygająco, jako causa efficiens, na sam upadek naszej państwowości. Dla czego za późno? Czy państwo, jeżeli nawet popadło w stan odrętwienia czy upadku, jak Polska ostatecznie za Sasów, nie ma już możności odrodzenia się w tym sposobie, żeby przecież wykazać zdolność do dalszego życia, i przez to zrzucić z siebie odpowiedzialność za wyrządzony mu później gwałt rozbiorowy? A jeżeli ją ma, to dla czego praca całego pokolenia doby Stanisławowskiej nie miała tu wystarczyć; i ileż wreszcie pokoleń miało tę pracę

spełniać, żeby odrodzenie przyszło w c z a s, żeby zażegnało przygniatający bezmiarem potępienia wyrok: za późno? Czy tedy ostatecznie rozpatrujemy tu kwestyę w sposób naukowy, czy też dajemy folgę osobistym, nieokreślonym wrażeniom czy poglądom? O ile chcemy ją ująć naukowo, ustalmyż najpierw ściśle rzeczowe kryterya tezy: »za późno«; a jeśli ta rzecz naukowo ustalić się nie da, to raczej nie rzucajmy pustych słów, którym niedostaje przekonywującej siły.

III.

Wyczerpałem szereg kwestyj, jakie się nasunęły do omówienia skutkiem zarzutów krytyki co do rozpatrzonych czy pominiętych przezemnie szczegółów ustrojowych. Jakiekolwiek wobec nich przyszło mi zająć stanowisko, o jednem nie mam chyba potrzeby zapewniać, że rozpatrywałem je jako zarzuty poważne i uczciwe. Jeżeli przecież rzecz tę osobno tu podkreślam, to tylko dla tego, żeby wyrazić żal, iż obok nich rozprawić się muszę z innym jeszcze elaboratem, poświęconym mojej pracy przez »uczonego« niemieckiego, p. Rudolfa Leonharda, profesora uniwersytetu monachijskiego [1], w którym niewiadomo, co bardziej podziwiać: rozpaczliwą nieznajomość źródeł i literatury historycznej polskiej, a częściowo nawet ignorancyę w zakresie historyi Zachodu, czy pewność siebie, z jaką autor na podstawie tak niewystarczającego materyału rozstrzyga stanowczo najzawilsze zagadnienia dziejowe; powierzchowność sądów, czy metodę dowodzenia bez dowodów lub rabulistyczną argumentacyę; żywiołową nienawiść do wszystkiego, co polskie, czy brutalność i niekulturalność rdzennie pruską w sposobie omawiania dawnych naszych stosunków; cynizm w podnoszeniu niepopartych niczem oskarżeń, czy naiwność, z jaką autor wierzy, iż przekonać zdoła nieuprzedzo-

[1] L e o n h a r d, Polnische Perspektiven, Schmollers Jahrb. 1917 I. 418—444; por. str. 1 przyp. 2.

nego czytelnika. P. Leonhardowi, choć dla nieznajomości języka polskiego nie ma nawet przeczucia o tem wszystkiem, co wiedzieć można o przeszłości naszej, a opierać się musi na urywkowych wiadomościach opracowań niemieckich czy innych zachodnich, przeważnie mało wartościowych, albo zgoła przestarzałych, nie nowina pisać o rzeczach polskich; zanim jeszcze pracę moją zaszczycił osobnym rozbiorem, ogłosił »studyum«, poświęcone rozpatrzeniu stosunków gospodarczych dawnej Polski, głównie w ostatniej dobie przed rozbiorami [1]. Wszystkie zaznaczone co dopiero właściwości jego metody badawczej i pisarskiej ujawniły się tu już w całej pełni [2]; nie dziw, że

[1] Leonhard, Zur poln. Kultur- und Wirtschaftsgeschichte, Schmollers Jahrb. 1916 III. 155—209.

[2] Z ogłoszonego przy końcu owej pracy wykazu zużytkowanej literatury, zresztą także i z samej treści wywodów, okazuje się, na czem autor opierał swoje informacye. Dzieł, posiadających rzeczywistą wartość naukową, jest tu poczet stosunkowo niewielki; pozatem trochę pamiętników, n. p. Coxe'a, nieraz rzeczy zupełnie przestarzałe, jak Jekel, od czasu do czasu politycznie tendencyjne, jak Cleinow, w przeważnej zaś części spisane przez Niemców czy Polaków, studyujących na uniwersytetach niemieckich, dysertacye doktorskie, których nizki poziom naukowy — odliczając chlubne wyjątki — jest publiczną tajemnicą w Niemczech samych. Wobec tak niewystarczających podstaw nie dziw, że kiedy autorowi przyjdzie mówić o bilansie handlowym Polski, oprze się na Jeklu (1809), zamiast zużytkować ścisłe daty Korzona; z wynikami prac statystycznych czy ekonomicznych Stawiskiego, Lubomirskiego, Pawińskiego i in. nie liczy się nigdzie; pomija je także spis zestawionej przezeń literatury. Czy zaś chociażby tylko z pracami, zestawionemi w spisie, p. Leonhard zapoznał się bez wyjątku, o tem, jak okaże się niżej, można mieć zasadne wątpliwości. Że gruntowna nieznajomość literatury historycznej polskiej pociągnęła za sobą szereg spostrzeżeń rzeczowo błędnych, osobno podkreślać nie potrzeba. Tak n. p. twierdzenie, że w pierwotnej Polsce Bolesławów człowiek nie jest »Feldmensch«, jeno »Wald- und Wassermensch«, i że dopiero kolonizacyi niemieckiej Polska zawdzięcza ustalenie się rolnictwa oraz stałe osiedlenie się ludności i ugruntowanie stosunków własności ziemskiej, z przejrzystym celem wykazania, że dopiero Niemcy wnieśli do nas właściwe elementy rozwoju gospodarczego i kulturalnego, rozmija się

odnajdziemy je także w ogłoszonym wnet potem artykule, w którym autor zajął się moją, w tłómaczeniu niemieckiem dostępną sobie pracą.

Że u pisarza tego pokroju, co p. Leonhard, książka, poświęcona wykazaniu, iż ustrojowe stosunki nię usprawiedliwiają rozbiorów, nie mogła wywołać życzliwego oddźwięku, jest rzeczą jasną. To też nie można się dziwić, jeżeli artykuł

jaskrawo z tem, co w studyach swoich nad pierwotnem osadnictwem Polski ustalił Bujak — na podstawie źródeł. Samo też twierdzenie, że kolonizacya niemiecka w Polsce rozpoczęła się już w początkach XII stulecia, jest gruntownie błędne. Nie brak także niedokładności i błędów w traktowaniu zagadnień z historyi prawa, na które autor od czasu do czasu natyka. Wójta miejskiego, powołując się na niemieckie tłómaczenie podręcznika Kutrzeby, mieni Burgvogtem, co nie odpowiada rzeczywistości, gdyż określnik ten oznacza zgoła co innego. Sejmowi z 1496 przypisuje ustawę, upoważniającą każdą ziemię (województwo) do wydawania na przyszłość samoistnych postanowień o wychodzie chłopów, gdy w rzeczywistości sejm ten zarządził rzecz wręcz przeciwną: że dawne pod tym względem zwyczaje mają być na przyszłość utrzymane jako nienaruszone. Zdanie, jakoby zwyciężająca w procesie strona mogła przeprowadzić egzekucyę tylko w drodze pomocy własnej, polega na zupełnem niezrozumieniu istoty »zajazdu«, który w prawnym swoim kształcie nie był pomocą własną, jeno wykonaniem wyroku przez organ publiczny (starostę) z przybraniem szlachty powiatowej. Twierdzenie, że Kazimierz W. musiał radzić chłopom »sich mit Knüppeln und Steinen gegen den Adel zu verteidigen«, opiera się na ustępie Długosza, podanym w charakterystyce tego króla, tylko że tłómaczenie jest tu zgoła błędne, gdyż rada Kazimierza — o ile tu zawierzyć późnemu Długoszowi — opiewała, żeby chłop poszukał krzesiwa i skałki i zemścił się na szlachcicu podpaleniem, gdy innej nie było rady. Zresztą nawet u Długosza chodzi tylko o wypadki szczególne, które w ujęciu autora zostają zgeneralizowane. O Kościuszce nie ma p. Leonhard nic innego do powiedzenia, jak tylko, że był najradykalniejszym przedstawicielem szlacheckiej warstwy w Polsce, która ani na jotę nie chciała odstąpić od swych interesów klasowych; opiera zaś swój sąd na tej zasadzie, że Kościuszko w uniwersale połanieckim przykazał księżom pouczać lud wiejski, że winien panu pańszczyznę. Przypomnę wobec tego, że już w odezwie bosutowskiej z 19 kwietnia 1794 Kościuszko wydał zakaz uciemiężania chłopów oraz zalecenie »aby od pańszczyzn wolni byli«;

jego roi się od powrotnych ciągle zarzutów, że praca moja ucieka się do retorycznych sztuczek i dyalektycznych wybiegów, czy sofistyki wnioskowania, że trzyma się tylko objawów zewnętrznych, które przy głębszem wejrzeniu w rzecz w zgoła innem występują świetle, że jest tendencyjną obroną dawnych złowróżbnych błędów Polski, a zarazem zmierza do wytkniętego z góry politycznego celu, żeby, wobec nowych widnokrę-

a w uniwersale połanieckim z 7 maja t. r. stwierdził, zgodnie z konstytucyą 3 maja, że chłop zostaje pod opieką prawa i posiada pełną wolność osobistą wraz z prawem swobodnego przenoszenia się z gruntu, przyznał mu nienaruszalność jego praw do ziemi, a urzędnikom i panom, którzyby tych praw nie szanowali, zagroził surową odpowiedzialnością; co do pańszczyzn zaś, w miarę, jak się one poprzednio w praktyce ustaliły, zmniejszył je do połowy albo prawie do połowy. Dopiero po tych wszystkich postanowieniach następuje inkryminowany ustęp, jako duchowni powinni lud oświecać, iż pracując pilnie około roli swojej i dworskiej, służy ojczyźnie, że pełniąc powinność wobec dworów, zwłaszcza tak sfolgowaną, nic innego nie czyni, tylko winny dług wypłaca dziedzicom, od których grunty trzyma. P. Leonhard, jeśli tu nie zachodzi ignorancya całkowitej treści uniwersału, wyrywa mala fide jeden jego ustęp, bez wskazania związku z innemi postanowieniami, byleby akt ten, który jest jednym z najpiękniejszych pomników działalności Kościuszki, przedstawić jako dokument jego zacofania. Że Kościuszko jako naczelnik wojsk nie był prawodawcą, że tedy w urządzeniach państwa nie mógł przeprowadzać reform zasadniczych, w tym wypadku znosić pańszczyzny w zupełności, nieusuniętej jeszcze przez prawodawstwo, jest rzeczą jasną; wszak zresztą obowiązujący go art. 11 aktu krakowskiego z 24 marca 1794 wzbronił wyraźnie zmieniać dawniejsze urządzenia prawne. Było w każdym razie wielką zasługą Kościuszki, że przynajmniej na czas insurekcyi, aż do ostatecznego urządzenia sprawy przez przyszły sejm konstytucyjny, zarządził tak wydatne zmniejszenie pańszczyzn. Nie zawadzi dodać, że nawet tyle postępowy badacz, jak Korzon, na którego powagę (w ustępach przejętych do opracowań niemieckich) wielokrotnie powołuje się sam p. Leonhard, wyraża wątpliwość, czy to umniejszenie pańszczyzn, stanowiących wtedy część wartości dóbr ziemskich, dokonane bez przyzwolenia panów, było w odniesieniu do nich sprawiedliwem. Znamiennem dla metody p. Leonharda jest także powrotne często wypowiadanie twierdzeń bez poparcia ich jakimikolwiek dowodami;

gów, jakie otworzyły się przed Polską w czasie teraźniejszej wojny światowej, nie tylko oczyścić ją z wszelkiej odpowiedzialności za przeszłość, ale zarazem wykazać, że nowe jej urządzenie winno oprzeć się na wzorach dawniejszych. Na domiar wszystkiego p. Leonhard uroił sobie, jakoby moja praca napisana została na zamówienie Naczelnego Komitetu narodowego, jaki działał w Polsce w kilku pierwszych latach wojny, i to z wytkniętym z góry celem »obrony interesów wielkiej wła-

dzieje się to zwłaszcza znowuż wtedy, kiedy chodzi o zohydzenie przeszłości Polski. Przytaczany przez historyków polskich szczegół o dobrowolnem przenoszeniu się chłopów brandenburskich do Polski, stwierdzający, iż położenie ludności włościańskiej było u nas korzystniejsze, niż w sąsiednich krajach niemieckich, odpiera autor krótką uwagą, że nie dowodzi on niczego, gdyż chłopi ci »dostawali się z deszczu pod rynnę«. Żeby tak było w istocie, trzeba mu wierzyć na słowo; myślę jednak, że chłopi brandenburscy, o których skórę bezpośrednio tu chodziło, musieli wiedzieć lepiej od autora, gdzie deszcz, a gdzie rynna. Umowy czynszowe, zawierane między dworami a poddanymi w dobie Stanisławowskiej, powodowały, zdaniem autora, pogorszenie doli chłopskiej, jakoby dla tego, że przeprowadzano tu podwyższenie świadczeń; brakuje tylko dowodu, że w istocie podwyższenie takie następowało. Gdyby autor mógł był korzystać z szczegółowych badań Korzona o tym przedmiocie, byłby się dowiedział, że przeprowadzano tu właśnie redukcyę świadczeń, a czasem nawet zupełnie od nich zwalniano. Na innem miejscu twierdzi p. Leonhard, że wymiar sprawiedliwości w Polsce przeżarty był na wskróś korrupcyą, i że na ogół można tu było »pieniądzmi dokonać wszystkiego«. Że wypadki przekupstwa zdarzały się u nas rzeczywiście, jak zresztą i gdziekolwiek indziej, rzecz oczywista; ale smutne to świadectwo dla poczucia godności badacza naukowego, jeżeli tego rodzaju krzywdzący sąd, nie podejmując nawet próby jego uzasadnienia, ośmiela się bezwzględnie generalizować. Żeby na jednym przykładzie wykazać całą anarchię moralną takiego postępowania, przytoczymy tu inny jeszcze ustęp jego pracy, w którym stwierdziwszy, że (w myśl konstytucyi z 1563) jedna czwarta dochodów ze starostw miała być oddawana do skarbu publicznego, przydaje apodyktycznie, bez żadnego poparcia, że pieniądze te »nigdy nie oglądały kasy skarbowej«. Mniejsza o to, że nie znając pracy Pawińskiego, autor, uwiedziony snać nazwą kwarty, mówi tu o czwartej, zamiast piątej części, i to dochodów ze starostw, zamiast czynszów starościńskich; na najostrzej-

sności ziemskiej w Galicyi«. Ta rzecz zabiła mnie doszczętnie w jego opinii. Bo oto, jak stwierdza otwarcie, sam Komitet naraził się jemu i na ogół Niemcom (unliebsam bemerkbar machte), kiedy tuż po zajęciu Warszawy przez wojska niemieckie rozrzucił w Austryi (Galicyi) odezwę, wyrażającą żal, że do wyzwolenia Polski doszło właśnie w taki, ideałom polskim nieodpowiadający sposób.

Wyziera z tych słów polityk i nacyonalista, skoro go na-

sze napiętnowanie zasługuje tu sformułowane — w przejrzystym celu — twierdzenie o niedochodzeniu kwarty do skarbu. Że oczywiście i tu zdarzały się nadużycia i bywały retenty, zaprzeczyć się nie da; ale jakże stąd daleko do spostrzeżenia autora! Na podstawie rachunków skarbowych wykazał Pawiński na przestrzeni lat 1576—1586, że wysokość wpłacanej w poszczególnych latach kwarty wahała się między 79000—130000 złp. (okrągło), i że retenty w tychże samych latach wahają się między 9000—19000 złp.; a cały szereg późniejszych konstytucyj, stwierdzających pokrycie znacznych potrzeb państwa z dochodów kwarty, bezlik kwitów, poświadczających ich odbiór od starostów, jakie w aktach grodzkich umieszczano, zaświadcza, jąk lekkomyślnie i niesumiennie p. Leonhard traktuje zadania swoje jako historyk. Takie rzucanie z góry krzywdzących insynuacyj, co do których nie zadano sobie nawet pytania, czy w źródłach nie znajdą się wiadomości rzecz tę oświetlające, zasługuje na napiętnowanie. Nielepszem co do wartości jest inne jego spostrzeżenie o sejmikach. Że dochodziło tu nieraz do zwad, że czasem krewki szlachcic dobył korda, a nawet zranił czy zabił adwersarza, to rzecz wiadoma; ale ileż fantazyi i złej woli trzeba, żeby nakreślić taki oto typowy obraz sejmiku: że kiedy zjechał tu magnat z klientelą, to już nie tylko przy wyborach samych dochodziło do zabójstw, ale całe to towarzystwo zachowywało się w miejscowości samej jak gdyby w zdobytem mieście, nie płaciło w skiepach za towary, szerzyło mordy i zabójstwa, tak że spokojni mieszkańcy nie ważyli się nawet ukazać w drzwiach domostwa. Wszystko to jednak drobnostki wobec niektórych innych odkryć p. Leonharda. Żeby wytłómaczyć niesłychany — jego zdaniem — ucisk chłopa polskiego przez pana, sięga on aż do objaśnienia samej genezy szlachty polskiej; z tem zaś pytaniem, któremu poświęcono tyle obszernych, nieraz bardzo subtelnych i wszechstronnych badań, a którego mimo to aż dotąd nie udało się rozwiązać stanowczo, załatwia się sumarycznie w kilku krótkich zdaniach. Wychodząc z założenia, że antropologiczny typ ludności wiej-

wet taka drobnostka wyprowadza z równowagi, zdradzający się przez to nieopatrznie, jakie momenty będą dlań rozstrzygające przy ocenie publikacyi, mającej rozpatrzyć zagadnienie naukowe upadku Polski. I nie w tym jednym tylko ustępie p. Leonhard odkrywa przyłbicę jako szermierz polityczny; jeszcze dobitniej występuje ta jego właściwość w dłuższych uwagach końcowych, któremi zamknął rozbiór mojej pracy. Stwierdza on, że dzisiejsza Polska, jak ją w czasie spisywanego prze-

skiej na ziemiach polskich jest keltycki, odmienny od typu szlachty, domniemywa się, że szlachta pochodzi ze wschodu, i bez żadnych już dalszych dociekań czy wywodów stwierdza, że była ona jakimś ludem fińsko-tatarskim, który podbił ludność miejscową; a to dla tego, że »a p r i o r i s c h ist... n a c h A n a l o g i e f ä l l e n für Polen auf F r e m d f e u d a l i s m u s zu schliessen«, skoro poddaństwo w tych stronach wykazuje taki srogi rzekomo charakter. Co o tych sprawach napisano przedtem, to oczywiście jest dla p. Leonharda księgą zamkniętą, choć okolicznościowo wspomina on o stawianych w literaturze naszej teoryach najazdu; najlepszym tego dowodem twierdzenie, jakoby w i ę k s z o ś ć historyków polskich przyznawała się do teoryi najazdu. Ważniejsza rzecz inna, na którą zwracam uwagę, opierając się na informacyach zawodowego znawcy w dziedzinie etnologii i antropologii, prof. Czekanowskiego: że według dzisiejszego stanu nauki właśnie nie ludność wiejska polska, jeno szlachta odpowiada typowi antropologicznemu keltyckiemu, typ zaś włościan w Polsce południowej jest środkowo-europejski, w północnej zaś, podobnie jak i w Niemczech północnych, »finowaty«. Nie mogę, jako niefachowy, przesądzać, czy p. Leonhard nie znalazł w jakiejś książce determinacyj antropologicznych, na których oparł swoje wnioski; świadczy to jednak o wielkiej lekkomyślności, jeżeli nie sprawdziwszy, czy determinacye te są już ustalone i przez naukę uznane, wysnuł z nich spostrzeżenia, przesądzające o jednem z najważniejszych zagadnień dziejowych pierwotnej Polski. Nawet Peisker, jedyny niefortunny zwolennik turańskiego pochodzenia szlachty u narodów słowiańskich, nie ważył się sięgnąć do tego argumentu antropologicznego. Logiczny znowuż argument, że »ucisk« chłopów apriorycznie, zgodnie z stosunkami analogicznymi, wskazuje na najazd, jest, jak wszystkie podobne aprioryczne i na analogii tylko oparte wnioski, niezmiernie ryzykowny przy rozwiązywaniu konkretnych zagadnień historycznych; dla uzasadnienia, czy chociażby uprawdopodobnienia tezy trzeba dowodów bardziej przekonywujących.

zeń artykułu powołał już był do życia manifest listopadowy, wobec gruntownego przeobrażenia społecznego, jakie się tymczasem dokonało, nie będzie oczywiście mogła być państwem szlacheckiem, jeno, prócz mieszczańskich sfer, oprze się także na szerokich, uświadomionych warstwach ludowych i robotniczych; zaznacza przecież, że, ze stanowiska interesów pruskich, nawet ze strony tak przekształconej Polski grozi niebezpieczeństwo nacyonalistycznych aspiracyj do ziem polskich pod pa-

Jeżeli tedy autor pod koniec swych uczonych wywodów z zadowoleniem stwierdza, że »ostatecznie, wie eingangs behauptet und nunmehr hoffentlich nachgewiesen ist«, przedewszystkiem momenty antropologiczno-etnograficzne i wypływający z nich układ stosunków społecznych sprowadziły upadek Polski, to jest w tem niezwykła doza optymizmu i zaufania w nieomylność własnych fantazyj. Koronę odkryć naukowych p. Leonharda stanowi spostrzeżenie, zawarte w ustępie, omawiającym znaczenie trzynastoletniej wojny Polski z Zakonem krzyżackim, zakończonej, jak wiadomo, pokojem toruńskim z 1466. Autor założył tu sobie za cel zbić zapatrywanie, jakoby pokój ten stał się punktem wyjścia świadomej celu zbożowej polityki eksportowej Polski. Zagaja zaś rzecz następującemi słowy, które przytaczam wiernie, w oryginalnym tekście, żeby nie uronić niczego i nie narazić się na zarzut, że podsunąłem mu cokolwiek, czego nie wypowiedział: »Es wird so dargestellt (w dotychczasowem dziejopisarstwie), als wäre jener ...Nationalitätenkrieg, der weniger von den Polen, als den noch gänzlich rohen, eben erst getauften Litauern ausging... aus dem Wunsche heraus in der Ostseeküste Anschluss an das Meer zu gewinnen, entstanden. Von solchen Gedanken war der Litauerfürst und spätere Polenkönig Jagiello sicher weit entfernt«. Przecieramy oczy i pytamy, czy nie zachodzi tu jaka mistyfikacya. W czasie trzynastoletniej wojny, zatem w początkach drugiej połowy XV w., nawet jeszcze w czasie samego pokoju toruńskiego, Litwini — choć naprawdę od trzech bezmała pokoleń (od 80 lat) żyli już w wierze chrześcijańskiej — są dopiero co ochrzczeni, a panuje nad nimi i nad Polską — Jagiełło! I nie jest to tylko jakieś przypadkowe pomięszanie imion Jagiełły i Kazimierza Jagiellończyka przez nieobeznanego z elementarnemi datami dziejów Polski cudzoziemca; wysunięcie Jagiełły — i jego tylko — jako pierwszego w tym dopiero czasie władcy polsko-litewskiego jest tu celowe. Autorowi chodzi o zaznaczenie, że sprawa Gdańska, i na ogół ziem zakonnych, była dla Polski samej obojętną, i że stała się

nowaniem pruskiem, ile że aspiracye te objęły całe społeczeństwo, warstwę mieszczańskiej inteligencyi silniej nawet, aniżeli teraźniejszą szlachtę. Gdyby — przewiduje autor — tego rodzaju »irredentyzm« miał tu bezpośrednio zagrażać, należałoby stwierdzić, że przez stworzenie nowej Polski, Niemcy sami »przewlekli sobie pierścień przez nos«, za który łatwo pociągnąć mogłaby Rosya, podsycając apetyty polskie na »ziemię niemiecką«. Pociesza się przecież spostrzeżeniem, że naro-

aktualną dopiero z chwilą, kiedy sprzągł się z nią interes dopiero co połączonej Litwy. Wszak już w przytoczonym ustępie autor, wbrew wszystkiemu, co zaświadczają niewątpliwie najobfitsze źródła, i czego doczytać się mógł w jakiemkolwiek opracowaniu, chociażby w powoływanej przezeń gdzieindziej książce Cara, o wojnie trzynastoletniej, par excellence polskiej, prowadzonej przedewszystkiem siłami polskiemi lub zaciągami przez Polskę najętymi, w obronie interesów przedewszystkiem polskich, wyraża się, że była raczej zapoczątkowana i potrzymywana przez Litwę, tę samą Litwę, która od czasu połączenia z Polską ani wtedy, ani kiedykolwiek później, z aspiracyami do portu gdańskiego ani do ziem pruskich nie występowała. A zaraz potem dodaje, objaśniając dokładniej myśl swoją, że gdyby Polsce samej na tym nabytku zależało naprawdę, to byłaby ona zdobyte Prusy zachodnie, przedewszystkiem Gdańsk, politycznie i gospodarczo sprzęgła o wiele silniej ze swoim organizmem państwowym, aniżeli się to stało w rzeczywistości; tymczasem Polska okazała w tej sprawie zupełną obojętność, gdyż pozostawiła Prusom osobne sejmiki, osobny zarząd i osobną organizacyę urzędniczą. Że wyszkolony na wzorach prusko-niemieckich umysł z każdym nabytkiem terytoryalnym łączy konieczność pełnego ujarzmienia tamtejszej ludności. doszczętnego usunięcia jakiejkolwiek samodzielności tegoż terytoryum, to rzecz do pewnego stopnia dająca się wyrozumieć; trudniej usprawiedliwić ją u historyka, rozpatrującego zagadnienia z dziejów Polski, która w organizacyi swojej państwowości liczyła się w szerokiej mierze z zasadą samorządu terytoryalnego, zwłaszcza w odniesieniu do ziem, które przez pewien czas przechodziły odmienne koleje dziejowe, i posiadały, chociażby napływowe, częściowo odmienne zaludnienie. Nie mówić o tem, że Polska, znowuż odmiennie tu postępując, aniżeli wiele państw niemieckich, spełniła przez to tylko zobowiązanie, przyjęte wobec stanów pruskich przy ich poddaniu się. Na wszelki wypadek wniosek, z przesłanki powyższej wysnuty, jakoby Polsce na posiadaniu Prus i Gdańska niewiele zależało,

dowe dążenia Polaków są »bezbrzeżne«, i że obejmują także wielkie obszary krajów wschodnich, do Rzeczypospolitej niegdyś należących. Te kraje wschodnie, jakąkolwiek przyszłość zgotuje im wynik wojny, zatem, czy pozostaną przy Rosyi, czy dostaną się Polsce, będą wiecznem jabłkiem niezgody między obu państwami, wyczerpując ich siły i odwracając uwagę od ziem zachodnich, przedewszystkiem od Poznańskiego. W interesie Niemiec leżałoby tedy właściwie, żeby ta ekspan-

jest gruntownie chybiony. Zastanawia przecież upór p. Leonharda, żeby koniecznie wykazać, chociażby przez wywrócenie i sfałszowanie notorycznych wypadków dziejowych, że Gdańsk dla dawnej Polski nie przedstawiał znaczenia; a potęguje zdziwienie skwapliwość, z jaką zaraz w dalszym ciągu stara się udowodnić, że nabycie tego portu nie wyszło Polsce na korzyść, że Gdańsk wyzyskiwał ją ekonomicznie, że panował nad nią całą pod względem gospodarczym. Może chwila, w której autor ogłosił swoją pracę, koniec r. 1916, kiedy wśród teraźniejszych wypadków wojennych w narodzie naszym skrystalizował się już postulat, że przez przyznanie Gdańska należy odradzającej się Polsce zapewnić dostęp do morza, objaśni tu niejedno: ze stanowiska prusko-niemieckiego nie bez pożytku mogło być wykazanie, że już nawet dla dawnej Polski port ten nie przedstawiał wielkiego znaczenia, że owszem pod pewnym względem przynosił jej szkodę. Możemy wyrozumieć patryotyczne tendencye polityczne p. Leonharda; nadmienimy tylko, że dla celów politycznych nie wolno fałszować historyi. Z tym swoim bardziej politycznym, a zarazem ściśle prusko-niemieckim, aniżeli bezstronnym, historycznym sposobem patrzenia na wypadki dziejowe nie kryje się zresztą autor. Dwa razy tylko, w w. XII—XIII, w dobie kolonizacyi niemieckiej, i po raz wtóry, w stuleciu XVI, kiedy w Polsce zaczął się szerzyć luteranizm, otwierała się jego zdaniem możliwość, że wpływy zachodnie odniosą w Polsce zwycięstwo; jednakże oddziaływanie niemieckości zostało tu usunięte jako »niebezpieczne dla narodowości polskiej, która nic równowartościowego nie mogła mu przeciwstawić«. Wyrażona tu, za pomocą formuły opisowej, myśl, która dla autora jest dogmatem, niepotrzebującym dowodu, że niemieckość, to dla innych narodów jedyne »in hoc signo vinces«. Że sam dogmant jest gruntownie błędny, tego autor nawet przypuścić nie potrafi. Rozbrajającem naiwnością jest objaśnienie pobudek, jakie kierować miały Prusami i Austryą, kiedy przystępowały do rozbiorów. Stosując wypróbowaną metodę, że zagadnienia, im mniej ogarnięte i rozumiane, z tem większą pewnością

zya Polski ku wschodowi przybrała jaknajbardziej na wydatności, a nawet, »ponieważ nadzieja na utworzenie wielkiego, południowo-rosyjskiego państwa ukraińskiego niestety nie zdaje się mieć warunków powodzenia«, żeby oddać Polsce wszystkie zdobyte już lub w dalszym ciągu wojny zdobyć się mające (przez Niemców) terytorya wschodnie, w tym mianowicie celu, żeby »nowemu państwu przysporzyć jaknajwiększych trudności w strawieniu wielkiego kęsa, i żeby się ono dla nas (Niemców) nie stało niebezpiecznem«.

i stanowczością rozstrzygane być winny, stwierdza p. Leonhard ni stąd ni zowąd, że Polaków od Rosyan nic więcej nie dzieli prócz wiary katolickiej, a opiera ten pogląd na tem tylko spostrzeżeniu, że w czasie teraźniejszej wojny światowej wielka część szlachty polskiej sympatyzowała z Rosyą (?), i że trudno było Polakom utrzymać neutralność wobec Prus; bezpośrednio na tej podstawie osnuwa kategoryczny wniosek, że jeśli oba tamte mocarstwa chciały cokolwiek uratować dla Zachodu, musiały przystąpić do rozbiorów. Dobrze tedy, że przynajmniej w wypadkach teraźniejszych znalazło się nareszcie jakieś usprawiedliwienie ich smutnej roli, jaką tu odegrały. A i jakie jeszcze niezwykle cenne: bo oba państwa wyszły z tej imprezy nie tylko jako niewinne jagnięta, ale zdobyły nawet tytuł niepomiernej zasługi wobec Zachodu! Zamykam na tem przegląd naukowych odkryć p. Leonharda w jego pracy dawniejszej; dodam jeszcze tylko, że już przedtem niektóremi jej spostrzeżeniami zajmował się prof. Brückner w osobnym artykule krytycznym w Poln. Blätter, zesz. 47 8, odnosząc się zanadto może poważnie do tej groteskowej, w gruncie rzeczy dziecinnej próby krytycznego rzekomo oświetlenia pewnych zjawisk z przeszłości dziejowej Polski. W każdym razie nie mamy powodu brać zbyt tragicznie stwierdzonego przez prof. Brücknera szczegółu, że praca ta zawiera najcięższe zarzuty, jakie kiedykolwiek na temat wyłącznie przez Polskę zawinionego upadku podniesiono. Znamienną jest odpowiedź, na jaką w drugiej z rzędu pracy swojej, o której zaraz wyżej w tekście będzie mowa, zdobył się uczony monachijski wobec tej krytyki. Poza jednem, na podstawie niemieckiego tłómaczenia podręcznika Kutrzeby opartem, trafnem sprostowaniem, że szlachta polska mogła być także nieosiadłą, zresztą przytacza on tylko dwa argumenty. Jeden, szczegółowy, w którym poucza prof. Brücknera — co za ironia, że właśnie jego! — iż nazwy miejscowości słowiańskich urabiały się w znacznej części z imion osobowych. Drugi, ogólny, osobnej uwagi godny przez to, że autor,

Pisał te słowa autor w czasie, kiedy zwycięskie wojska niemieckie posuwały się coraz dalej w głąb dawniejszej Rosyi, i nie było jeszcze rewolucyi petersburskiej ani pokoju brzeskiego, przed zmartwychwstaniem zjednoczonej, niepodległej Polski, przed ostatecznym wreszcie finałem teraźniejszej wojny światowej i — przed pokojem wersalskim. Ileż gorżkiego rozczarowania temu »Macchiavellowi w miniaturze przynieść miały rychłe potem wypadki wojenne i polityczne; jakże mało sprawnym okazał się prorokiem co do kierunku najbliższej potem ewolucyi dziejowej!

Czy z większą intuicyą uchwycił przeszłość jako badacz naukowy, o tem również wątpić można. Tak przedewszystkiem, o ile chodzi o ogólną jego koncepcyę przyczyn upadku Polski, oraz roli, jaką w sprawie tej odegrały mocarstwa rozbiorowe. Poprzestaje on tu na wypowiedzeniu dwu apodyktycznych twierdzeń. Jedno, to prawie dosłowne, z pewnemi tylko rozszerzeniami, powtórzenie tego, co orzekł już w poprzedniej swojej pracy dla usprawiedliwienia roli Prus i Austryi w rozbiorach: że, skoro Polska była słaba, a od wschodu wytworzył się silny, despotyczny organizm państwowy rosyjski, przeto musiała upaść, oba zaś niemieckie państwa rozbiorowe musiały coś zagarnąć z podziału, żeby wpływy wschodnie

zamiast wejść w meritum zarzutów i zasadność swoich twierdzeń wykazać, jak student z niższych klas poprzestaje na odmówieniu swemu przeciwnikowi kompetencyi krytyka na tej jedynie zasadzie, że brakuje mu przygotowania do zabierania głosu w sprawach, dotyczących porównawczej socyologii, historyi ustroju i gospodarstwa społecznego. Że dostało się przytem, co należy, samemu wydawnictwu »Polnische Blätter« za to, iż poważyło się umieścić krytykę prof. Brücknera, dodawać nie potrzeba. Nie uszła zarzutu nawet druga publikacya »Polen« — obie za to, że nie wyśpiewały hymnów pochwalnych na cześć Ziviera, a z pracami Kaindla, pisanemi ostrożniej od p. Leonharda, ale podszytemi tak samo polonofagią, obeszły się nie bardzo delikatnie. P. Leonhard wspomniawszy o Kaindlu, konkluduje ostatecznie, że znajduje się w dobrem towarzystwie. Trafności tego spostrzeżenia nie myślimy podawać w wątpliwość.

bezpośrednio do nich nie dotarły. O wewnętrznych zaś przyczynach upadku wyraża się krótko: »Dla nieuprzedzonego historyka upadek ...dawnego królestwa polskiego jest rzeczą przesądzoną, jak mało która inna. Nie w sensie wyłącznie moralizującym, jeno w tem znaczeniu, że nie ulegają tu żadnej wątpliwości wystarczające zupełnie powody upadku państwa«.

Owe »wystarczające powody«, to oczywiście szczegóły, jakie autor ustalił, rozpatrując polemicznie moją pracę. Przejdźmy je dokładniej po kolei.

O uwagach moich, zestawiających polski ustrój sejmowy i sejmikowy z analogicznemi urządzeniami na Zachodzie, krytyk ma stosunkowo mało do powiedzenia. Podkreśliłem był, że cokolwiek mielibyśmy sądzić o decentralizacyi naszych urządzeń, przecież stwierdzić trzeba, że Polska w sejmie walnym posiadała centralny organ ustawodawczy, jakiego współcześnie niedostawało niektórym innym krajom zachodnim, n. p. od 1614/5, po upadku stanów generalnych, Francyi, gdzie zbierały się tylko stany prowincyonalne, a przedewszystkiem krajom habsburskim, gdzie dopiero r. 1848/9 stworzono po raz pierwszy tego rodzaju centralne organy ustawodawcze, podejmując równocześnie próbę usunięcia działających przedtem w każdej prowincyi osobnych sejmów ziemskich. Wobec tego podnosi krytyk, że sejm polski w izbie niższej składał się z posłów poszczególnych sejmików, wysyłanych z ograniczonem pełnomocnictwem, że zatem był właśnie narzędziem decentralizacyi; za to austryackie kraje przez wspólny zarząd Habsburgów były spojone ze sobą ściślej, aniżeli Polska. Nadmienię odnośnie do tego spostrzeżenia, że instrukcye sejmikowe w Polsce ograniczały wprawdzie posłów; ale nie inaczej przedstawiała się rzecz współcześnie także w innych krajach kontynentu, o ile członkowie »stanów« wychodzili z wyboru. Że zaś posłów polskich wybierały poszczególne sejmiki, nie wypływa stąd, żeby sam sejm był mechanicznem tylko zespoleniem wysłańców, rodzajem kongresu delegatów sejmikowych. Owszem, było to ciało, stanowiące organiczną całość, jak niem

były n. p. stany generalne francuskie, dopokąd istniały. Poważnem tego świadectwem okoliczność, że odliczając postanowienia, wydawane w tym czy owym wypadku dla poszczególnych ziem, zresztą typowym kształtem ustawodawstwa sejmowego w Polsce są ustawy powszechne, całe państwo, względnie całą przynajmniej Koronę obowiązujące. P. Leonhardowi nieobcem zapewne będzie pierwszorzędne znaczenie, jakie w sprawie ustalenia jedności państwowej odgrywa formalna jedność prawa. Taką właśnie formalną jedność stwarzało ustawodawstwo powszechne sejmu polskiego; jakże tu mówić, że był on narzędziem decentralizacyi? Niedopisuje także i to, co krytyk, w przeciwstawieniu do Polski, miał do powiedzenia na korzyść krajów habsburskich, że były spojone ściślej przez wspólny zarząd naczelny; bo przecież i w Polsce były organy zarządu centralnego, zrazu w wielkich urzędnikach stanu, a w dobie Stanisławowskiej w komisyach wielkich, Radzie nieustającej i ostatnio w Straży. Można rozprawiać o tem, w którym z tych krajów samo urządzenie władz centralnych było bardziej celowe, czy na ogół doskonalsze; nie można jednak twierdzić, jakoby w Polsce, w przeciwstawieniu do habsburskich posiadłości, zgoła ich niedostawało.

Co do sejmików, krytyk, przyłączając się do streszczonych przezemnie wywodów Pawińskiego i Spasowicza, podkreśla ujemny ich wpływ na życie państwowe przez to, że zagarnęły w szerokiej mierze agendy zarządu miejscowego, zwłaszcza w dziedzinie wojskowości i skarbowości, wykonywując je przez własne, jak dodaje: »nieudolne« organy wybieralne. Stwierdza przytem, że w Niemczech, na jakie półtora stulecia przedtem, zaczęły się wyklówać podobne stosunki; jednakże władcy terytoryalni przeciwstawili się temu, skutkiem czego Niemcy nie zeszły na takie bezdroża, jak Polska. Występuje tu znamienny rys metody dowodowej p. Leonharda, z jakim niejednokrotnie spotkamy się jeszcze później: że wszystko winno się dostosować do szablonu niemieckiego; co zaś jest odmiennego, to zasługuje na krytykę czy potępienie. Wystarczy wobec tego przypomnieć

analogie co do innych państw, zestawione już w poprzedniej pracy mojej, które autor widocznie przeoczył, skoro w omawianych tu stosunkach polskich dopatruje się wyjątkowości. Wszakże tak samo stany prowincyonalne francuskie, aż do wielkiej rewolucyi, nie tylko, jak sejmiki polskie, wykonywały prawo miejscowego zarządu, ale nawet rozstrzygały o podatkach na potrzeby ogólno-państwowe oraz przeprowadzały ich repartycyę. Podobnież szeroki zarząd miejscowy wykonywały sejmiki komitatowe węgierskie. A i w krajach, poddanych panowaniu niemieckiemu, nie wszędzie ustały te stosunki na półtora stulecia przedtem, jak twierdzi krytyk. W krajach habsburskich dopiero r. 1748, w niecałe pięćdziesiąt lat przed ostatnim rozbiorem Polski, Marya Teresa odebrała sejmom poszczególnych ziem wykonywane przez nie aż dotąd prawo ściągania podatków i zarządu wojskiem ziemskiem. W Polsce zaś już r. 1717, przez stosowne ograniczenie atrybucyj sejmików, nastąpiło scentralizowanie zarządu wojskowego, a 1764 zarządu skarbowego, żeby nie mówić o ustawodawstwie z 1791, które znowuż podkreśliło silnie właściwość organów centralnych w sprawach skarbowości państwowej. Nie można wobec tego odnośnych stosunków poczytać za jakąś szczególną przyczynę upadku Polski, jak nie czynimy tego w odniesieniu do Austryi, Węgier czy Francyi.

Omówione co dopiero szczegóły dotknęły już po części spraw organizacyi zarządu; co autor ponadto z dziedziny tych stosunków porusza, to albo rzeczy podrzędniejsze, albo uwagi ogólnikowe, nierzadko zresztą na nieporozumieniu oparte. Spostrzeżenie moje, że Polska ówczesna, dla braku środków materyalnych, nie mogła stworzyć bardziej zróżnicowanej organizacyi urzędniczej, że nie mogła się zdobyć na całą armię urzędników, którzyby wszechstronnie wglądać mogli w sprawy niższej administracyi, odpiera p. Leonhard powołaniem się na powagę Webera i Sombata, którzy »wykazali«, że na sprawę tę nie tyle wspływają naturalne źródła dochodów państwowych, ile kierunek woli ludności samej, zwłaszcza warstwy w pań-

stwie przodującej. Cóż jednak począć z taką formułą w odniesieniu do wychwalanej wielokrotnie przez krytyka Austryi, która, mimo nawet znacznie korzystniejszy stan skarbu państwowego, dla niemożności stworzenia takiej organizacyi urzędniczej, aż do r. 1848 wielkie działy zarządu i sądownictwa niższego pozostawić musiała w ręku prywatnych dominiów? Dodaje zresztą krytyk, że argument mój o braku środków skarbowych nie wystarcza, gdyż królowie polscy z swych żup wielickich i domen królewskich, które nie przepadły, mogli pokryć wydatki, z utrzymaniem licznego zastępu urzędników połączone; jedynie tylko egoizm szlachty, która, za urojony ekwiwalent, zmuszała rząd do wydzierżawiania domen królewskich zubożałym członkom swojej warstwy, stanąć miał temu na przeszkodzie. Co tu właściwie krytyk ma na myśli, trudno dociec. Ustawy, którąby stanowiła ogólnie, że królewszczyzny mają być wydzierżawiane zubożałej szlachcie, nie ma; nie da się też takie postępowanie stwierdzić ówczesną praktyką skarbową. Nie można tu nawet podciągnąć kilku postanowień ustawowych z XVII i XVIII w. o rozdawnictwie wójtowstw i sołtystw w dobrach królewskich, bo te nakazują je rozdawać nie zubożałej szlachcie, jeno zasłużonym żołnierzom, nie wyłączając tu, aż do połowy XVII w., nawet plebejuszów; zresztą chodziło tu nie o puszczanie w dzierżawę, jeno o nieodpłatne dożywocia na rzecz weteranów. Jeżeli znowuż krytyk ma na myśli reformę emfiteutyczną królewszczyzn z 1775, to trzeba przypomnieć, że i tutaj nie zastrzeżono prawa dzierżawienia szlachcie zubożałej, jeno każdemu więcej ofiarującemu, a ekwiwalent zgoła nie był urojony; owszem, czynsz dzierżawny podniesiony został bardzo wysoko, gdyż chodziło o możliwie najwydatniejsze zasilenie wyczerpanego skarbu. Zapewne więc krytyk odnosi się do znanych stosunków, dawno przed reformą 1775 ustalonych, że — odliczając ekonomie i wielkorządztwa, których właśnie nigdy nie wydzierżawiano — pozostała część dóbr królewskich, ujętych w pewne kompleksy gospodarcze pod nazwą starostw, puszczana była w dzier-

żawę. Ale i tu nie zubożałej szlachcie, jeno najczęściej przedniejszym majątkowo jednostkom, które sprawowały urząd starościński. Że czynsz dzierżawny był tu niższy, nieraz nawet znacznie niższy, aniżeli dochód z dzierżawionych dóbr, jest rzeczą znaną; nie można jednak mówić o ekwiwalencie urojonym, gdyż nadwyżka, z różnicy tej przypadająca staroście, była jedynem wynagrodzeniem za sprawowane przezeń funkcye. W bardzo wielu wypadkach spostrzeżenie to odnieść należy także do starostw niegrodowych, bo i one dostawały się pospolicie innym dostojnikom i urzędnikom, poczynając od najwyższych, kanclerzy czy podskarbich, wojewodów czy kasztelanów i t. p., znowuż jako wynagrodzenie za wykonywany urząd. Ściśle rzecz biorąc, było tedy w Polsce przeprowadzone to, czego domaga się p. Leonhard, t. j. urzędnicy utrzymywani byli z dochodów królewszczyzn, tylko że przez bezpośrednie przekazanie im tych dochodów sama formalna strona urządzenia różniła się od modły dzisiejszej. Ale system płacenia urzędników dochodami z dóbr królewskich wystarczyć mógł naprawdę tylko potrzebom stosunkowo nieznacznie rozwiniętej organizacyi urzędniczej; gdziekolwiek nastąpiło pełniejsze jej ukształtowanie, n. p. w Prusiech, tam trzeba było sięgać do innych, obfitszych jeszcze źródeł dochodu. Jest tedy rzeczą niezrozumiałą, jeżeli krytyk, który chciałby widzieć Polskę zorganizowaną w »nowożytne państwo policyjno-militarne«, stawia równocześnie żądanie zastosowania zacofanego do tyła systemu opłacania urzędników.

Do tych ciągle powrotnych nieścisłości krytyka, rzeczowych i myślowych, dodać trzeba — nie umiem powiedzieć: umyślną czy przypadkową niedokładność w zapoznaniu się z istotną treścią moich wywodów, która, podsuwając mi pewne niewypowiedziane poglądy, sposobi go do zarzutów zgoła bezprzedmiotowych. Żeby pozostać przy zagadnieniu organizacyi władz rządowych, przytaczam jako próbkę spostrzeżenia jego, nawiązane do mojego porównania starostów polskich z czeskimi. Krytyk poucza mnie, iż porównanie takie niemożliwe,

gdyż starostowie czescy podporządkowani byli organowi monarszemu, kancelaryi nadwornej, polscy zaś, zrywając węzeł zależności z naczelnikiem rządu, przeszli pod wpływ sejmiku szlacheckiego. Pouczenie to było zbędne; zaraz bowiem w dalszym ciągu omówiłem sam obszernie ujemne strony zależności starostów polskich wobec organów szlacheckich. W miejscu, gdzie ich zestawiłem z starostami czeskimi, czy później innych krajów habsburskich, chodziło mi jedynie o podkreślenie analogii co do tego szczegółu, że zarówno w Polsce jak i w tamtych krajach organizacya zarządu niższego była niezróżnicowana i na ogół niezłożona; z tem zaś spostrzeżeniem moment, podniesiony przez krytyka, nie ma nic wspólnego, ani też zasadności jego w niczem nie zdoła podać w wątpliwość.

Jak dalece mimo tę nieścisłość, pobieżne tylko zapoznanie się z mojemi uwagami, tudzież mylne zgoła wyrozumienie ich treści, p. Leonhard uważa się za uprawnionego do ferowania bezwzględnych wyroków potępiających, dowodzi jego wykrzyknik z powodu umieszczonego w mojej pracy ustępu, że w Niemczech przez pewien czas po wojnie trzydziestoletniej prawo pięści uchodziło bezmała za instytucyę prawną. Wypróbowaną już wobec prof. Brücknera metodą krytyk sięga od razu do najcięższego kalibru broni, zarzucając mi, że okazałem tu »głęboką nieznajomość historyi ustroju Niemiec«, której podręczniki zgodnie stwierdzają, że prawo pięści usunięte zostało formalnie już z końcem XV w., a ostatki jego znikły już w ciągu w. XVI. Ten wylew gniewu byłby zupełnie zbyteczny, gdyby krytyk był zwrócił uwagę na to, co wyraźnie napisałem: że prawo pięści stało się b e z m a ł a instytucyą prawną; co przecież znaczy, że i ja sam nie uważałem go za instytucyę prawną w w. XVII, i że chciałem tu podkreślić tylko częstą powrotność faktycznego stosowania samopomocy.

Co krytyk pozatem o ujemnych stronach organizacyi rządu polskiego stwierdza, to polega już tylko na pewnych ogólnikowych przeciwstawieniach, bardzo znamiennych. Podkreśla on z naciskiem korzyści świadomej celu organizacyi.

jaką przeprowadzić może tylko centralistycznie urządzona państwowość, a zarazem zaznacza, że w czasie, kiedy Polska przetworzyła się w zdecentralizowaną Rzeczpospolitę, monarchie zachodnie w absolutyzmie władców nowożytnego państwa policyjnego, który przełamał opór stanów, otrzymały element koncentracyjny. Szczególnej uwagi godnym jest nawiązany do tych spostrzeżeń ustęp, który polecić można dokładniejszej rozwadze historyków węgierskich: że właśnie przykład Węgier uczy, jak to, n a s z c z ę ś c i e dla tegoż państwa, nawet obcy absolutyzm przezwyciężyć zdołał rodzimą rzeczpospolitę stanową; mógł tego w Węgrzech dokonać tylko obcy władca, od swojego nie byliby tego znieśli Węgrzy, jak się to stało w Polsce. Krytyk zapatrzony tu wszędzie, jak w słońce, w państwo centralistyczne i absolutne, do tego jeszcze na systemie rządów policyjnych oparte, takie samo, jakich podówczas w różnych stronach Europy znajdował się poczet spory, w ich szeregu na poczesnem miejscu utrwalające wtedy potęgę swoją Prusy, te same Prusy, które system ów zachowały i całej rzeszy krajów niemieckich narzucały aż do najnowszych czasów, mimo że inne państwa dawno go już porzuciły. Wyszkolony na tym prusko-germańskim wzorze, przepojony do cna jego duchem, umysł krytyka stracił, zdaje się, zdolność poznania, że także inne kształty organizacyi państwowej zapewnić mogą sprawność machiny rządowej. Uwagi jego nie objaśniają tedy zasadniczej przyczyny słabości rządu polskiego, okrążają tylko poniekąd całe to zagadnienie; skoro bowiem nie sam tylko absolutyzm i policyjne państwo uznać tu można za kotwicę zbawczą, to brak ich w Polsce nie tłómaczy jeszcze zjawiska, owszem, każe rozpatrzyć, czy przyczyna nie leżała gdzieindziej. Na pewne momenty, jakie tu wchodzić mogą w rachubę, zwróciłem już uwagę w poprzedniej mojej pracy.

Z dziedziny zagadnień, dotyczących ustroju społecznego Polski, sprawa przywilejów stanowych szlachty i ograniczeń mieszczaństwa nie została rozpatrzona dokładniej przez krytyka. Poświęca on jej tylko kilka luźnych uwag. Spostrzeżenie

moje, że niektóre przejawy szlacheckiej przewagi w Polsce odnieść należy do faktycznego wpływu tej warstwy na życie publiczne, zatem też wyłączyć je poza nawias rozpatrywanych stosunków ustrojowych, prostuje on w tym kierunku, że właśnie przywileje i monopole szlachty zawarowane były wobec korony co do każdego szczegółu osobnemi postanowieniami prawa państwowego. Że szlachta miała ustawowo zapewnione różne uprawnienia, to rzecz wiadoma; przypomnę jednak, że tę rzecz najwyraźniej podkreśliłem, i że w miejscu, o które krytykowi chodzi, dotknąłem tylko sprawy, o ile nawet poza sferę przywilejów prawnych przelewać się mógł faktycznie wpływ ówczesnej szlachty. Znowuż więc niedokładne ujęcie mojej myśli i podsuwanie mi spostrzeżeń niewypowiedzianych. W wyższym jeszcze stopniu ujawnia się ta rzecz w dalszym zarzucie krytyka z powodu stwierdzonej przeze mnie analogii, że także zachodni władcy owych czasów otaczali się najchętniej szlachtą i powierzali jej, jak w Polsce działo się to z prawa, kierujące, a w szerszej mierze także inne urzędy w państwie. Spostrzeżenie to nazywa on sofizmatem, a to na tej zasadzie, że na Zachodzie była to »udomowiona szlachta nadworna« (domesticierter Hofadel), która później dostarczała pożytecznego materyału do służby państwowej i wojskowej, gdy natomiast »nieokiełzana« szlachta polska interesy państwa utożsamiała w całości z swoimi interesami stanowymi, i służyła im tylko o tyle, o ile one pokrywały się z nimi. Zaznaczę wobec tego najpierw, że także i na Zachodzie fawory monarsze pod tym względem nie ograniczały się wyłącznie do »udomowionej szlachty nadwornej«, i że zapewne niełatwo przyszłoby stwierdzić w sposób ścisły i naukowy, że ona z swoich interesów klasowych robiła zawsze ofiarę patryotyczną. Ważniejsza rzecz inna, że w ustępie mojej pracy, którym zajął się krytyk, zgoła nie chodziło o to, jaki pożytek w służbie państwowej czy militarnej przynosiła szlachta, i czyim służyła interesom, jeno wyłącznie o stwierdzenie, że na Zachodzie, mimo brak odnośnych ustaw, szlachta, podobnie jak w Polsce, powoływana była przede-

wszystkiem do piastowania urzędów, zwłaszcza ważniejszych. Przytoczyłem na to osobne przykłady, których niezasadności nie wykazał krytyk; sam on zresztą w przytoczonym co dopiero ustępie szczegół ten pośrednio stwierdza.

Wobec obszerniejszego mojego wywodu, w którym wykazałem, że położenie miast i mieszczaństwa w Polsce nie było w owym czasie gorsze, aniżeli na Zachodzie, że częściowo było nawet korzystniejsze, p. Leonhard ma do zaznaczenia tylko jeden szczegół, nie umiem powiedzieć, dla czego tylko do porównania ze stosunkami czeskimi zacieśniony: że w Polsce miasta były albo własnością szlachty, albo, o ile królewskie, szlacheckim urzędnikom (starostom) podporządkowane, zatem pośrednio znowuż szlachcie poddane; natomiast w Czechach panująca dynastya (Habsburgów) wprowadziła miasta pod zarząd swój bezpośredni. Spostrzeżenie to jest niezręcznem tylko ominięciem trudności, w jakiej znalazł się krytyk wobec stwierdzonego szczegółu, że samorząd miast czeskich ograniczony był w wysokim stopniu; bo czy one podlegały urzędnikom szlacheckim, czy ściśle królewskim, nie zmieni to w niczem samego faktu ograniczeń. Znowuż tylko umysł, przepojony ideami państwa absolutno-policyjnego, może w takiej różnicy dopatrzyć się jakiejś osobliwej korzyści miast; nie dziw też, że zająwszy takie stanowisko, krytyk zgoła już nawet nie troszczy się o to, że ów »bezpośredni zarząd miast przez dynastyę« sprowadził na nie w Czechach o wiele dalej sięgające ograniczenia, aniżeli w Polsce. Jak dalece dynastya nie liczyła się z interesami samorządu miejskiego, dowodzi powołana w mojej pracy reforma Józefa II, jedna z najwsteczniejszych reform pod tym względem, o której krytyk, podobnie jak znowuż o postępowej reformie miejskiej, jaką w Polsce przeprowadził sejm czteroletni, zachowuje dyskretne milczenie.

Lwią część polemiki poświęcił p. Leonhard wywodom moim o sprawie włościańskiej. Zaczepia od razu główny wynik, jaki dał się stwierdzić na podstawie przeprowadzonych tamże zestawień, że poddaństwo chłopskie wytworzyło się na Za-

chodzie rychlej, aniżeli w Polsce, i że do Polski przedostało się przez naśladownictwo gotowego, wcześniejszego wzoru zachodniego, przedewszystkiem zaś tych urządzeń, jakie istniały w północno-wschodnich Niemczech. »Żeby zasada poddaństwa, którego gospodarczą podstawą jest stosunek t. z. władztwa nad dobrami (das gutsherrlich-bäuerliche Verhältniss) była pochodzenia zachodniego — t. j. niemieckiego — to argument dawno obalony« — oto apodyktyczny sąd, którym sprawę tę rozstrzyga. Idzie tu niewątpliwie za daleko, gdyż pogląd, że oparty na t. z. władztwie nad dobrami stosunek poddańczy istniał w Niemczech północno-wschodnich, liczy jeszcze w ostatnich czasach szerokie koła zwolenników pośród samych badaczów niemieckich [1]. Zresztą sam krytyk przyznać musi, że »zewnętrzny kształt władztwa nad dobrami (t. z. feudalność) co do swoich norm prawnych zaczerpnięty został z Zachodu«; zastrzega się tylko, że gospodarcze i społeczne uwarstwowanie, którego wyrazem prawnym jest feudalność, jest w Polsce tak samo wytworem samorodnym, jak n. p. we Francyi. Przez to stwierdza pośrednio, choć mimowoli, słuszność mojego spostrzeżenia; gdyż praca moja, rozpatrując zagadnienia ustrojowe, nie wytknęła sobie za cel rozważać szczegółowo momentów gospodarczych, jeno zdążała do uchwycenia treści prawnej danych urządzeń; sam zaś krytyk przyznaje, że owe ramy prawne poddaństwa wytworzyły się już przedtem na Zachodzie, i że mianowicie istniały także w Niemczech. Zwrócę ponadto uwagę na wyraźne zastrzeżenie mojej pracy, że nie miałem zamiaru przesądzać niezałatwionego dotąd w nauce sporu, jak zestosunkować należy pojęcie poddaństwa z zagadnieniem t. z. władztwa gruntowego (Grundherrschaft) i władztwa nad dobrami (Gutsherrschaft), i że uwzględniam to pojęcie w jego znaczeniu obszerniejszem jako »całość stosunku prawnego chłopa do pana, ujawniającą się w różnych kierunkach jako

[1] Por. ciekawe zestawienia Rozwadowskiego w Jahrb. f. Nationaloekon. u. Stat. N. F. XX. 337 n.

węzeł daleko sięgającej podwładności patrymonialnej, a zarazem jako obowiązek najróżnorodniejszych świadczeń, zarówno rzeczowych jak i osobistych, na rzecz pana«. Taka podwładność patrymonialna i tego rodzaju świadczenia wytworzyły się już dawno przedtem na Zachodzie, w najostrzejszym kształcie w Niemczech północno-wschodnich; spostrzeżenie, że na Polskę działał przykład stamtąd idący, można tedy utrzymać bez zmiany.

W niemałym kłopocie znalazł się krytyk wobec stwierdzonego przeze mnie szczegółu, że kiedy w Polsce nawet w czasie największego rozrostu obowiązków pańszczyźnianych typowy wymiar robocizny nie przenosił trzech dni w tygodniu, to w Meklemburgii, na Pomorzu i w Holsztyńskiem pańszczyzna świadczona być musiała c o d z i e n n i e, i to przez pięciu ludzi w ośm koni. Przemilczając dyskretnie o tych szczegółach, sięga on tylko do innych zestawionych przeze mnie analogij między robociznami w Polsce z jednej, a w Czechach i Węgrzech z drugiej strony, i ma tu do wypowiedzenia tylko takie uwagi ogólnikowe, że nie można, na zasadzie tych zgodności, pisać apologii stosunków polskich, ani też usprawiedliwiać Polski, jeżeli w tamtych dwu krajach, skutkiem podobnych stosunków gospodarczych i socyalnych, wytworzyły się podobne zasady. Znowuż podsuwa mi tu krytyk myśl niewypowiedzianą; w spostrzeżeniu mojem nie chodziło zgoła o apologię, czy o zasadnicze usprawiedliwianie Polski, jeno o stwierdzenie, że nie lepiej działo się gdzieindziej.

Podobnież na zupełnem wypaczeniu wyrażonej przeze mnie myśli polega inny zarzut krytyka. Nawiązując do przytoczonego przeze mnie szczegółu, że na Rusi halickiej robocizny były łagodniejsze, aniżeli w innej Polsce, spieszy on objaśnić, że przyczyna tego tkwiła w trudności eksportu zbożowego z powodu znacznej odległości od morza, w następstwie czego właściciele ziemscy w tych stronach nie mogli zbytnio rozwinąć swej produkcyi rolniczej. Żeby nie wchodzić w rzeczową treść tego spostrzeżenia, które co do poglądu o rzekomo

mało rozwiniętej produkcyi rolniczej w ziemiach ruskich aż prosi się o sprostowanie, przypominam, że szczegół powyższy przytoczony został przeze mnie dla zbicia nieuzasadnionych skarg historyków ruskich, jakoby chłop ruski pod panowaniem polskiem uciskany był ciężarem pańszczyźnianym bardziej, aniżeli chłop polski. Spostrzeżenie moje wykazuje właśnie przeciwieństwo; czy zaś to korzystniejsze położenie chłopa ruskiego było wypływem utrudnionych warunków komunikacyjnych i mniejszej jakoby produkcyi zbożowej, czy też następstwem innych przyczyn, to już rzecz, z tego punktu widzenia, obojętna.

Jako jedno z odgałęzień systemu pańszczyźnianego wytworzyła się w Niemczech zasada, że prócz robocizn, świadczonych przez gospodarzów wiejskich, ponadto także ich dzieci dorastające pociągane były do spełniania bezpłatnej, na dłuższe okresy czasu obliczonej służby w dworze pańskim (Zwangsgesindedienst). Obowiązek taki nie istniał w Polsce, co wyraźnie stwierdziły urzędowe źródła niemieckie w czasie przejścia części ziem polskich pod zabór pruski, i co przyznają bez ogródek nieuprzedzeni badacze niemieccy, n. p. Knapp. Podkreśliłem tę różnicę w mojej pracy jako świadectwo korzystniejszego pod tym względem położenia chłopa polskiego w porównaniu z niemieckim. Oto zaś, co p. Leonhard ma do zauważenia o tej sprawie: że w w. XVIII zaczęły się w Polsce upowszechniać między szlachtą zasady fizyokratów, opierające stosunek między właścicielem ziemskim a chłopem na prostej umowie dzierżawnej, w myśl której właściciel może ją każdej chwili wypowiedzieć; wisząca nad chłopem groza wypowiedzenia dawała panom możność dowolnego podnoszenia świadczeń, z której też w najobfitszej mierze korzystali. W ślad za czem nie było potrzeby stanowienia osobnych norm o przymusowej służbie dworskiej dzieci chłopskich, gdyż służbę tę zarządzali panowie samowolnie. Wszystko to — wyssane z palca. Jakkolwiek w dobie Stanisławowskiej nawiązują się już umowy między panami a chłopami — o czem zaraz niżej — to jednak typowym kształ-

tem wzajemnego ich stosunku pozostał w przeważnej mierze dawniejszy nieumowny stosunek poddańczy; odpada tedy podstawa, na której krytyk osnuwa swój wniosek o dowolnem podwyższaniu świadczeń chłopskich, w tym wypadku o wprowadzeniu służby dworskiej dzieci chłopskich. Należałoby chyba stwierdzić faktami, że taka przymusowa służba była żądana i przyjmowana w kontraktach; takich faktów nie przytoczono jednak dotąd w pracach, które naukowo zajmowały się wyświetleniem tej sprawy (Korzon); najmniej zaś troszczy się o ich powołanie p. Leonhard. I nie znajdzie ich niewątpliwie, choćby nawet zadał sobie trud poszukiwań; gdyby służba taka istniała, władze pruskie z końca XVIII w., które na sprawę tę szczególną zwróciły uwagę, byłyby ją wyraźnie stwierdziły. Argument, lekkomyślnie zaczerpnięty z powietrza, wystarcza w rozumieniu p. Leonharda do rozstrzygnięcia kwestyi naukowej.

Zwyczaj zawierania umów między panem a chłopem upowszechnił się, jak już wspomniałem, w dobie Stanisławowskiej; zasłyszał coś o nim krytyk monachijski, ale bardzo niedokładnie, gdyż szczegółowe wywody Korzona o tej sprawie[1], niepowołane przez stronniczą literaturę niemiecką, wybierającą z jego dzieła tylko rysy ujemne, nie były mu dostępne w oryginale. Stąd mógł te umowy nazwać kontraktami dzierżawnymi, które pan każdej chwili miał prawo wypowiedzieć; stąd w dawniejszej swojej pracy o stosunkach gospodarczych Polski, którą omówiliśmy w przypisku, mógł się posunąć do twierdzenia, że w umowach tych podwyższano świadczenia chłopskie. Wszystko to znowuż pusta gadanina bez jakiejkolwiek podstawy rzeczowej. Badania Korzona wykazały właśnie, że umowy takie dochodziły najczęściej do skutku nie jako czasowe umowy dzierżawne, jeno jako kontrakty wieczyste, jak niemniej, że na ogół zmniejszały dawniejsze powinności chłopskie, a często posuwały się nawet do zupełnego darowania poddaństwa. Umowy te pozostaną jedną z najpiękniejszych kart naszego

[1] Korzon, Wewn. dzieje Pol. I. 377 n. 402 n. 432. 444.

odrodzenia w dobie Stanisławowskiej, i nie zmienią tu niczego zawistne, a zgoła niezasadne głosy uczonych monachijskich. Warto zaś przypomnieć przy tej sposobności, że nawet jeszcze przedtem, w typowym stosunku poddańczym, jak się on ustalił w Polsce, panu nie przysługiwało prawo usunięcia chłopa z roli, jak ono, pod nazwą »Bauernlegen« upowszechnione było w Niemczech; ani też prawo pozbycia chłopa bez roli, jak tę rzecz w Brandenburgii uznano za dopuszczalną jeszcze 1681, a w Meklemburgii nawet 1757. Osobliwym zbiegiem okoliczności krytyk nie zdobył się już na żaden argument, któryby wykazał, że nawet i pod tym względem położenie chłopa polskiego było gorsze, aniżeli w Niemczech.

Osobnych kilka uwag poświęca jeszcze krytyk sprawie sądownictwa patrymonialnego panów nad chłopami, a przedewszystkiem »prawu życia i śmierci«, jakie im tu, według pospolitego mniemania, przysługiwało na zasadzie konstytucyi z 1573. Uwagę moją, że, cokolwiek przyszłoby nam sądzić o tej sprawie, Polska, bądź co bądź, na kilkadziesiąt lat przed ostatnim rozbiorem (1768) wyraźnie zniosła owo ius vitae ac necis, opatruje on wykrzyknikiem: »Otoż szczyt metody Balzera! Wszelki respekt przed działalnością ustawy, która swoje łagodzące promienie prawie na dwieście lat wstecz rzuciła«. P. Leonhard jest niepoprawny. Żeby, w braku argumentów, wywołać przynajmniej efekt na zewnątrz, podsuwa mi znowuż myśl niewypowiedzianą. Nie miałem bowiem zamiaru ustawą z 1768 usprawiedliwiać stosunków dawniejszych; przytoczyłem ją tylko na świadectwo, że w ostatniem trzydziestoleciu istnienia Rzpltej prawo życia i śmierci w sądownictwie patrymonialnem trzeba uznać jako usunięte. Co się zaś tyczy owych dwustu lat poprzednich, podkreśliłem dwa inne momenty; stanowisko, jakie wobec nich zajął krytyk, jest bardzo znamienne i zasługuje na uwagę szczególną.

Wskazałem przedewszystkiem na to, że polskie ius vitae ac necis, choć w teoryi przyznane panom, w praktyce, jak sądzić wolno, wykonywane nie było, a to na tej zasadzie, »że

najskrupulatniejsze poszukiwania sumiennego, poważnego badacza (Korzona) nie zdołały ujawnić, żeby choć w jednym wypadku patrymonialny sąd polski skazał poddanego na karę śmierci«. Przypadek chciał, że podane wyraźnie w tekście polskim mojej pracy nazwisko Korzona przez niedopatrzenie tłómacza opuszczone zostało w przekładzie niemieckim, na którym opierał się p. Leonhard. Nie mogąc zdać sobie sprawy, kto ten szczegół ustalił, zdobywa się on na równie bystre, jak i dowcipne domniemanie, że pochodzi on — odemnie (Untersuchungen... etwa des Autors selbst?). Pomijam już naiwność przypuszczenia, że mógłbym, mówiąc o sobie, używać epitetów pochlebnych, jak je podaje przytoczony ustęp; zaznaczam tylko, że krytyk wpadł tu w pułapkę, którą zastawił na drugiego. Bo w pracy swojej, korzystając z okolicznościowych cytatów, jakie znalazł w opracowaniach niemieckich, odwołuje się niejednokrotnie z wielką ufnością do Korzona, i nieraz wyrwane przez swoich informatorów ustępy przeciwstawia moim spostrzeżeniom, podkreślając, zupełnie zresztą zasadnie, wielką powagę naukową tego badacza; tu zaś, gdzie chodziło o niepowołany przez informatorów niemieckich ustęp, od razu schodzi na bezdroża, jak ślepiec, którego na chwilę opuścił przewodnik. Wskazując miejsce, na którem krytyk znajdzie odnośne spostrzeżenie Korzona[1], zapisuję ten szczegół na świadectwo, jak gruntowną posiada on znajomość rzeczy, o których wypowiada tyle stanowcze i apodyktyczne sądy[2].

[1] Korzon, Wewn. dzieje Pol. I. 357.

[2] Zdumiewającą nieznajomość literatury historycznej polskiej i jej wyników ujawnia zresztą krytyk także w niektórych innych ustępach swej pracy. Z powodu okolicznościowej mojej wzmianki o Pawińskim, że przypisuje winę upadku Polsce samej, poucza mnie, że w szeregu autorów, którzy stoją na tem samem stanowisku, powinienem był też wymienić Lelewela, Korzona, Kutrzebę i — Warczawskiego! Kutrzebę, który w kilku pracach osobno wywodzi, że niedomagania nasze ustrojowe nie były przyczyną upadku, trzeba z zestawienia tego wyłączyć, a ściśle rzecz biorąc, także i Korzona, który stwierdziwszy wszechstronne odrodzenie narodu po pierwszym rozbiorze, również nie w jego

P. Leonhard ma zresztą argumenty — na wszystko; zatem także na stwierdzony co dopiero szczegół o braku dowodów co do wykonywania kary śmierci na ludności poddańczej w Polsce. Tłómaczy rzecz w sposób bardzo prosty: wpłynął na to »poświadczony także skądinąd analfabetyzm polskiego sądownictwa patrymonialnego«, skutkiem czego nie mogły się dochować jakieś księgi czy pisma, zaświadczające o wydawaniu wyroków śmierci. Odliczając funkcyonaryuszów, którzy z ramienia i w imieniu panów wykonywać mogli sądownictwo dworskie, zarzut analfabetyzmu kieruje się tu przedewszystkiem przeciw szlachcie samej. Zapytać tedy trzeba, czy p. Leonhard całą ówczesną szlachtę polską zalicza do analfabetów? Bo jeśli tylko przypuszcza, że chociażby połowa czy pewna jej część umiała czytać i pisać, to argument jego nie wystarczy do usprawiedliwienia braku wiadomości o wyrokach śmierci; mogły przecież tego rodzaju świadectwa piśmienne dochować się przynajmniej po nich. W istocie też nie brak ksiąg sądowych wiejskich, nie tylko z wieków średnich, kiedy sądy te zorganizowane były bardziej samodzielnie, ale także i z czasów nowszych, kiedy przeszły już w pełną zawisłość wobec panów; zwracam uwagę na zużytkowaną przez Ulanowskiego księgę

przewinieniach dopatruje się właściwej przyczyny upadku, por. Korzon, Wewn. dzieje Pol. IV. 663. 666. 667. Zestawienie Warczawskiego obok Lelewela i Korzona jest także bardzo interesujące. Za to w przytoczonej tu grupie autorów brakuje najwybitniejszych przedstawicieli poglądu o zawinieniu Polski w sprawie swojego upadku, jak Szujskiego, Kalinki, Bobrzyńskiego. O Kalince krytyk wspomina wprawdzie gdzieindziej, ale zna go tylko z przytoczonych przez informatorów niemieckich jego prac dawniejszych, w których jak wiadomo, zajmował stanowisko wprost przeciwne; dla tego poglądy Kalinki nie przedstawiają dlań żadnego znaczenia. Żeby nie brakło momentu humorystycznego, trzeba jeszcze dodać, że p. Leonhard do rzędu tegoczesnych pism ulotnych, wydanych ze strony polskiej, żądających jaknajdalej posuniętej granicy ku wschodowi, i świadczących na ogół swojemi żądaniami, że Polacy niczego nie nauczyli się z przeszłości, zalicza także broszurę Dmytra Doncowa, Grosspolen und die Zentralmächte 1915!

wsi Kasiny i inne przez tegoż badacza wydrukowane już, choć niestety nieoddane jeszcze w obieg księgarski pomniki tej grupy. Że ksiąg tych zachowało się stosunkowo niewiele, przyczyna tego leży gdzieindziej: najpierw, że nie wszędzie je prowadzono (jednakże nie dla nieumiejętności pisania), a powtóre, że materyał ten, o ile nawet istniał, jako własność prywatna, w dworach przechowywana, niezmiernie łatwo w kolei czasów podlegał zatracie. Podstawą do rozwiązania kwestyi, czy sądy dworskie stosowały rzeczywiście karę śmierci wobec chłopów, nie są zresztą wyłącznie księgi wiejskie. Jest bezlik ksiąg sądów publicznych, ziemskich, grodzkich i t. p., którym poddani prywatni wprawdzie nie podlegali, ale w których niejednokrotnie, chociażby w kształcie protestacyj, znajdą się wiadomości o postępowaniu pana z swoimi poddanymi. Są tysiączne uniwersały i mandaty królewskie czy to treści ogólnej, czy do poszczególnych panów wystosowywane, dotykające ich stosunku do poddanych i zabraniające uciążeń, czy wyrządzania krzywd ludności chłopskiej. Jest bogata literatura polityczna, czy zresztą inne okolicznościowe wzmianki w pismach współczesnych, omawiające nieraz szczegółowo stosunek chłopa do pana. Gdyby stosowanie kary śmierci w ówczesnem sądownictwie dworskiem było się naprawdę upowszechniło, niepodobna przypuścić, żeby ta rzecz w całym tym bogatym materyale informacyjnym nie była znalazła stosownego oddźwięku. Właśnie na podstawie obszernego studyum tego materyału, przedewszystkiem zaś literatury politycznej i okolicznościowej, tak wszechstronnie w dziele swem wyzyskanej, oparł Korzon spostrzeżenie o braku dowodów stosowania kary śmierci.

Co się zaś tyczy analfabetyzmu szlachty, pozwoliłbym sobie zalecić krytykowi, żeby rozpatrzył się dokładniej w księgach ówczesnych sądów publicznych, n. p. grodzkich, zwłaszcza w księgach protokołów, w których pod skreślonym przez pisarza sądowego szkicem aktu prawnego strony miały obowiązek położyć podpis własnoręczny. Otóż zajdzie tu od czasu do czasu wypadek, że ten lub ów chudopachołek-szlachetka, jako niepi-

śmienny, uciec się będzie musiał do znaku krzyża świętego, jak ta rzecz zdarzała się współcześnie także niejednemu rycerzykowi niemieckiemu. Ale wypadki te są stosunkowo wyjątkowe; pozatem przewijają się tu tysiące i tysiące oryginalnych podpisów szlacheckich. Zgeneralizowany odnośnie do szlachty polskiej zarzut analfabetyzmu, jak z jednej strony wskazuje na chorobliwą manię obryzgiwania przeszłości Polski najwstrętniejszemi potwarzami, tak z drugiej, przez lekkomyślne i na złej woli oparte, niezasadne użycie go, zaświadcza właśnie o analfabetyzmie naukowym krytyka.

Drugi moment, na który, omawiając polskie ius vitae ac necis, zwróciłem uwagę w mojej pracy, to okoliczność, że współcześnie takież samo prawo uznane było wyraźnie w niektórych krajach niemieckich, mianowicie w Meklemburgii i Saksonii, a co do Saksonii, w przeciwieństwie do tego, co się dało stwierdzić odnośnie do Polski, są nawet dowody, iż rzeczywiście było przez panów wykonywane. P. Leonhard odpowiada na to, że »należy słusznie powątpiewać«, żeby panom niemieckim jeszcze w XVII i XVIII w. takie prawo przysługiwało, gdyż, »o ile mu wiadomo«, posiadali je tylko niektórzy Reichsritter w południowo-zachodnich Niemczech. Ostatecznie tedy, nawet w świetle takiego sprostowania, nie było ono nieznane w Niemczech; i trzeba tu wyrazić wdzięczność krytykowi, że przez przytoczenie szczegółu, dawniej przezemnie niedostrzeżonego, pozwala teraz zakres terytoryalny zastosowalności tego prawa rozszerzyć z Niemiec wschodnich także na połać ich południowo-zachodnią. Co się zaś tyczy szczegółów odnośnie do Brandenburgii i Saksonii, o których mu nic niewiadomo, wystarczy, jeżeli wskażę na przytoczone już przy innej sposobności zestawienia w poważnym organie naukowym niemieckim, w których właśnie szczegóły te są stwierdzone[1]. Przyznawszy zresztą, że prawo karania śmiercią znane było w południowo-zachodnich Niemczech, krytyk spieszy zaraz z ob-

[1] Jahrb. f. Nationaloekon. u. Stat. N. F. XX. 337 n.

jaśnieniem, że nie było chętnie wykonywane z powodu wysokich kosztów (?), jakie pociągał za sobą akt stracenia. Ten osobliwy ogólnik, nie umiem powiedzieć, czy na jakichś dociekaniach oparty, wystarcza krytykowi do oczyszczenia Niemców z odpowiedzialności w sprawie niniejszej.

Bardziej jeszcze swobodnie postępuje on sobie, kiedy nie tylko już co do niniejszego szczegółu, ale co do stanowiska chłopów na ogół przyjdzie mu pociągnąć paralelę między stosunkami polskimi a niemieckimi. Spostrzeżenie moje, że chłop polski pod pewnymi względami w lepszem znachodził się położeniu, aniżeli chłop niemiecki, opatruje krótką glosą, że działo się to dla tego, ponieważ pan (w Polsce) okazywał »obojętność gospodarczą«, albo »nie miał sposobności silniejszego wyzyskania poddanego« — i sądzi, że takim frazesem przekona kogokolwiek; co do wykazanych zaś defektów, jakie w dziedzinie stosunków chłopskich istniały w Meklemburgii i Brandenburgii, ma gotową odpowiedź, że w krajach tych junkrowie uciskali wprawdzie chłopa, ale tylko dla tego, że dążyli do zagarnięcia nad nim władzy według wzoru polskiego. Dowodu, że działał tu wzór polski, oczywiście próżno szukać. Krytyk nie troszczy się o takie drobnostki, skoro nadarzyła się nowa sposobność bryznięcia jadem na przeszłość Polski.

Koroną mądrości i sposobu dowodzenia p. Leonharda są jego uwagi, wypowiedziane z okazyi mojego spostrzeżenia co do roli, jaką przy ocenie stosunków poddańczych w Polsce wyznaczyć należy, ze stanowiska porównawczego, reformom chłopskim Józefa II. Podkreśliłem był w pracy mojej, że poza pewnemi szczególnemi ulgami, przyznanemi ludności włościańskiej, ani Józef II, ani tem mniej jego poprzedniczka, Marya Teresa, mimo wybitny reformatorski kierunek swych rządów, nie ważyli się w niczem tknąć istotnych podstaw poddaństwa, tak że utrzymało się ono w krajach habsburskich przez połowę jeszcze następnego stulecia, aż do r. 1848 wzgl. 1851. Że zaś reformy Józefa II schodzą się prawie całkiem dokładnie z datą

obu ostatnich rozbiorów, więc osnułem na tem wniosek, że nie można, ze stanowiska porównawczego, kierować zarzutów przeciw samej tylko Polsce przedrozbiorowej, jeżeli i ona przed upadkiem nie doprowadziła do zniesienia poddaństwa u siebie. P. Leonhard w odpowiedzi na to ma do zaznaczenia tylko tyle: że rząd austryacki, w pożałowania godnem dążeniu pozyskania dla siebie polskich właścicieli ziemskich w Galicyi, starał się w granicach możliwości o utrzymanie dawniejszego ich położenia socyalnego, że zresztą musiał tu wszystko zachować w dawnym stanie, ponieważ oczyszczenie galicyjskiej stajni Augiasza przechodziło jego siły.

Nie wiedzieć, od czego tu zaczynać; bo w całym tym krótkim, apodyktycznym sądzie, co krok, to najgrubsza ignorancya elementarnych wiadomości dziejowych, a zarazem posunięta do cynizmu zła wola. P. Leonhard wyobraża sobie widocznie, że poddaństwo utrzymane zostało przez Józefa II tylko w nabytej przez Austryę 1772 Galicyi, nie zaś w innych krajach habsburskich; o ile bowiem stwierdzić, że zachowało się ono za jego czasów także w innych krajach habsburskich, nie usprawiedliwią już jego utrzymania argumenty, przytoczone odnośnie do Galicyi samej. Owóż tedy pierwszy dowód zdumiewającej nieznajomości dziejów po stronie krytyka, tem bardziej uderzający, że nie idzie tu o stosunki polskie, o których na ogół nie ma on dostatecznego wyobrażenia, jeno całej monarchii austryackiej, które oświetlone zostały wielostronnie w dostępnych mu niemieckich opracowaniach naukowych, o których zresztą mógłby się łatwo poinformować z jakiegokolwiek podręcznika historyi ustroju Austryi. Tego bowiem chyba przypominać tu nie potrzeba, że poddaństwo za Józefa II istniało nie tylko w Galicyi, ale także w innych krajach habsburskich, i że utrzymane tu zostało w s z ę d z i e, na całą dalszą jeszcze przestrzeń czasu aż do połowy XIX w. Jeżeli to utrzymanie jego usprawiedliwić argumentami krytyka, to trzeba je chyba będzie zastosować do wszystkich tych krajów;

ale cóż wtedy poczniemy ze »stajnią Augiasza«, rzekomą spuścizną polską w samej tylko Galicyi?

Nie lepiej przedstawia się rzecz co do podkreślonych przez krytyka przyczyn utrzymania poddaństwa w Galicyi samej. Argument o stajni Augiasza musimy oczywiście pozostawić na uboczu, bo jest naukowo nieuchwytny, i poza indywidualnem żadośćuczynieniem, jakie przyniósł krytykowi, dając mu możność nowego obluzgania przeszłości Polski, nie przynosi żadnej wskazówki rzeczowej. Pozostaje jedyny, o pozorach rzeczowości, argument drugi: że Józef II starał się pozyskać sobie wpływowych właścicieli ziemskich w Galicyi, i dla tego utrzymywał tu poddaństwo, żeby nie przynieść ujmy ich stanowisku społecznemu. Ten ścisły stosunek przyjaźni i życzliwości między cesarzem a szlachtą galicyjską, to znowuż nowe odkrycie historyczne p. Leonharda. Wszystko, co zresztą na podstawie najbogatszych i niezawodnych wskazówek wiadomo, zaświadcza, że stosunek ten był na wskróś napięty i nieżyczliwy. Dano szlachcie galicyjskiej tego rodzaju ustępstwa, czysto zewnętrznego znaczenia, bez istotnej treści, jak »sejm stanowy«, parodyę wszelkiej idei przedstawicielstwa, prawie że bez jakiegokolwiek prawa rozstrzygania o rzeczach publicznych, zorganizowany zresztą na wzór takich samych sejmów stanowych, jakie istniały w innych krajach habsburskich; utworzono szereg urzędów ziemskich bez krzty władzy, o znaczeniu czysto tytularnem, i samych tytułach, posuniętych nieraz do śmieszności, n. p. »mistrz argenteryi krajowej«, pozwolono jej wstępować do gwardyi przybocznej. Ale nawet w tych podrzędnych ustępstwach nie było ani jednego na rzecz szlachty polskiej jako takiej; dostały się jej one tylko jako szlachcie na ogół, jak je w podobnym czy szerszym zakresie czyniono także w innych krajach habsburskich, w zgodzie z nieobaloną jeszcze w całości zasadą uprzywilejowaniu tego stanu. Za to w innych kierunkach stawiano jej, gdzie można, trudności, sięgano do represyj. Pamiętano, że to element polski, niedawno owładnięty, politycznie niepewny, ciążący do utrzymanej jeszcze podówczas

państwowości innej Polski; odnoszono się doń z nieufnością, odsuwano ile możności od udziału w sprawowaniu rządów, choćby na stopniach niższych. Gdzieindziej w Austryi miejscowa szlachta zapełniała urzędy; w Galicyi nie powoływano na nie szlachty polskiej, nasłano urzędników niemieckich i czeskich, którzy, jak całej ludności, tak też przedewszystkiem szlachcie tutejszej dawali się we znaki szykanami biurokratycznemi. Wszak nawet Grossman, w niemieckiej swojej pracy alfa i omega wiadomości p. Leonharda o stosunkach galicyjskich, stwierdza gdzieindziej, że za Józefa II podjęta została walka konsolidującego się państwa biurokratycznego przeciw »feudalnej zaściankowości« szlachty galicyjskiej [1]. Skoro zaś już powołaliśmy tego autora, przypomnieć trzeba jeszcze dalsze, szeroko uzasadnione jego spostrzeżenie, że zastosowana przez Józefa II polityka merkantylna skierowana była wprost przeciw gospodarczej przewadze właścicieli gruntowych i dotykała do najżywszego szlachtę galicyjską [2]. Wszystko to nie przeszkadza p. Leonhardowi twierdzić, że poddaństwo w Galicyi utrzymało się dzięki szczególnej względności cesarza dla tamtejszej szlachty, oraz jego dążeniu, żeby nie uszczuplić jej stanowiska socyalnego; oczywiście dla tego, że na takiej urojonej przesłance będzie można dawniejsze stosunki polskie przedstawić w barwach tem ciemniejszych.

Do tego jeszcze jedna uwaga. Cokolwiek chcielibyśmy sądzić o zachowaniu się Józefa II wobec szlachty galicyjskiej, przypomnieć trzeba, że poddaństwo chłopskie utrzymało się nie tylko za jego rządów, ale przez kilkadziesiąt jeszcze dalszych lat, aż do połowy XIX w. Jeżeli znowuż, razem z krytykiem, zechcemy się tu dopatrzyć następstw pierworodnego grzechu, o który rzekomo winić należy tylko Polskę, to trzeba będzie zapytać, dla czego rząd austryacki przez czas jeszcze

[1] Grossman, Polityka przem. i handl. rządu Terez.-Józefiń. w Galicyi 1772—1790 Ref. na V Zjazd prawn. i ekonom. 6. 7.
[2] Ibid. 4—9.

tak długi cierpiał te następstwa, dla czego ich nie usunął rychlej, chociażby wnet po józefińskiej dobie? Czy p. Leonhard chciałby może twierdzić, że, jak rzekomo Józef II, tak też sprzyjali szlachcie galicyjskiej Franciszek I i Ferdynand I, a przedewszystkiem wszechwładny za nich Metternich i cały przez niego utrwalony system rządowy? Od objaśnienia tego zjawiska uchylił się krytyk dyskretnie. A szkoda; bo gdyby nawet przyjąć jego tłómaczenie co do józefińskiej doby, nie starczyłoby ono do objaśnienia rzeczy w czasach późniejszych. Stosunek rządu austryackiego do żywiołu polskiego w tym czasie, oczywiście także do szlachty, pośród której poczucie narodowe przejawiało się wtedy silnem tętnem, był na wskróś wrogi; jego system policyjny, jego wstrętna biurokracya prześladowały ją na każdym kroku szykanami, więzieniem, czasem nawet wyrokami śmierci, zwłaszcza w chwilach gorętszych. A przecież — poddaństwo chłopskie przetrwało i te czasy. Chyba więc nie dla tego, żeby Austryi chodziło o utrzymanie socyalnego stanowiska szlachty polskiej; przyczyny tkwiły gdzieindziej. Gdzie — starałem się objaśnić w mojej pracy, tłómacząc zarazem, dla czego także w innych krajach habsburskich kwitło nadal poddaństwo, zniesione tamże nierychlej, jak w Galicyi samej. Jego przydługie istnienie nie stoi tedy w genetycznym związku z jakimś szczególnie ujemnym układem tych stosunków w przedrozbiorowej Polsce; owszem, świadczy dosadnie, że jeśli Polska do końca w. XVIII nie zdobyła się na jego usunięcie, to tylko dla tego, że na ogół nie zaświtał jeszcze wtedy czas po temu także i gdzieindziej w Europie.

Jednego tylko szczegółu z ostatnich lat istnienia stosunków poddańczych dotknął p. Leonhard: wypadków galicyjskich z 1846. Oto w dosłownym przekładzie krótka uwaga, jaką o tej sprawie miał do wypowiedzenia: »Na jakie uciemiężenia byli tam (w Galicyi) narażeni chłopi, i jak bardzo miłowali swoich właścicieli ziemskich, okazało się w powstaniu z 1846, kiedy nareszcie rząd austryacki na krótką tylko chwilę pozostawił poddanym wolną rękę przeciw ich panom«. W oświetle-

niu krytyka wypadki z 1846 są zatem tylko pożądanym zdawna odruchem wolnościowym, któremu rząd austryacki »niestety« tak późno dopiero skłonił się dać folgę. Że ta »wolna ręka«, to była właściwie ręka, świadomie i rozmyślnie przeciw szlachcie polskiej skierowana przez sam rząd austryacki, który zamiast przestrzegać ładu publicznego i bezpieczeństwa swoich obywateli, rzucał zarzewie bratobójczych walk w społeczeństwo, wygrywał najniższe namiętności mas przeciw znienawidzonemu przez biurokratów żywiołowi polskiemu — o tem krytyk przemilcza, niewiadomo, czy z nieznajomości rzeczy, czy przez złą wolę. Jedno z najwstrętniejszych i najhaniebniejszych zdarzeń nie tylko historyi w ogóle, ale austryackiej nawet historyi, tak bogatej w zjawiska podobnej wartości, znalazło u krytyka nie tylko usprawiedliwienie, ale nawet — apologię czy apoteozę. Nie śmieli posunąć się tak daleko nawet najemni pismacy polityczni dawnej Austryi; trzeba było dopiero »przedstawiciela nauki« na katedrze monachijskiej, żeby tu zagarnął palmę pierwszeństwa dla siebie. Tę wielką zasługę naukową pozostawimy p. Leonhardowi bez uszczuplenia.

Podkreślając w rozlicznych kierunkach niedomagania ustrojowe dawnej Polski, nie omieszkałem, na dowód wewnętrznego jej odrodzenia, przytoczyć w odpowiednich miejscach ważnych, nieraz najgruntowniejszych reform, jakie przeprowadzono u nas w dobie Stanisławowskiej, zwłaszcza w ustawodawstwie Sejmu wielkiego i jego Konstytucyi majowej. Że spostrzeżenia te nie mogły przekonać p. Leonharda, to sprawa z jego stanowiska po części zrozumiała; znamienną przecież jest rzeczą, że, zamiast sięgnąć do argumentów rzeczowych, jak przystało w naukowej pracy, znowuż rzuca tylko pewne, niczego nie dowodzące ogólniki, zaprawiając je tylko gryzącą, jak mniema, ironią. Stwierdza tedy, jak to polska szlachta wszystkie swoje zamiary poprawienia się odroczyła aż do ostatniej chwili przed upadkiem państwowości, na podobieństwo Konstantyna W., który dopiero na łożu śmiertelnem dał się ochrzcić. Dodaje do tego, że uchwały sejmu czteroletniego były

tylko zastrzyknięciem kamfory w żyły konającego, i dla tego w praktyce nie można im przypisywać żadnego znaczenia; a podkreśla przytem jako rzecz osobnej uwagi godną, że nawet w tej ostatniej potrzebie, w uchwałach, »wymuszonych śmiertelną trwogą«, zamiast zreformowania, czy usunięcia poddaństwa, zdobyto się tylko na upstrzenie tekstu Konstytucyi majowej zapożyczoną frazeologią rewolucyi francuskiej.

Nie opłaci się prowadzić o te rzeczy osobnej dyskusyi z p. Leonhardem. Co do żądania jego, żeby już wtedy zniesiono poddaństwo, wystarczy przypomnieć poprzednie uwagi, wykazujące, z jaką nieznajomością rzeczy obraca się krytyk na tym terenie. Co do poglądu, że reformy sejmu wielkiego, to tylko przedśmiertne drgnienia konającego ciała, bezcelową jest dyskusya z przeciwnikiem o takim rodzaju umysłowości i psychy, jakie ujawnił krytyk. Dla tych, którzy zdolni są patrzyć i rozumieć trzeźwiej, wystarczy przecież przypomnieć, że reformy te nie zjawiły się ni stąd ni zowąd, jak deus ex machina, że są zamknięciem dłuższego procesu odrodzenia narodowego w całej Stanisławowskiej dobie, tego »zadziwiającego przeobrażenia, przebudowania, prawie przetworzenia Polski«, jak tę rzecz określił Korzon, i to »jako twierdzenie stanowczo dla nauki nabyte, bo udowodnione rachunkiem«[1]. Nie drgające w śmiertelnych podrywach ciało dokonało tych reform, jeno odradzający się organizm, nabierający coraz większych sił żywotnych. Pośredniem, dalszem świadectwem tej żywotności jest okoliczność, że sam nawet upadek polityczny Polski nie przemazał znaczenia tych reform, że pozostał w nich dla nas, na cały okres porozbiorowy, jak gdyby testament, wskazujący dalsze kierunki działania, ożywcza siła, podtrzymująca wśród najcięższych przejść ducha narodowego. W przeszłość i w przyszłość z reform tych promieniuje życie — nie widmo śmierci.

Tego wszystkiego p. Leonhard oczywiście pojąć nie zdoła — i nie próbuje dociekać. Za to sięga do innych tanich

[1] Korzon, Wewn. dzieje Pol. IV_2 657.

środków, żeby doszczętnie zdyskredytować myśl powoływania się na reformy czteroletniego sejmu. Więc okolicznościowo wytknie mi — przytaczam ustęp w oryginalnem brzmieniu, żeby nie uronić niczego z prusko-kasarnianego stylu — »den (sejm) er (t. j. ja) immer dann aufmarschieren lässt, wenn alle anderen Mittel versagen«, a kiedyindziej zaznaczy bardzo wytwornie i — wysoce aktualnie, że powoływanie reform tegoż sejmu przypomina postępowanie chwiejących się firm, którym wybuch wojny nastręczył pożądaną sposobność usprawiedliwienia swej niewypłacalności stosunkami czasu, choć naprawdę zbankrutowały one już dawno przedtem.

Wkraczamy tu, pod wypróbowanem przewodnictwem p. Leonharda, w dziedzinę sarkazmu i dowcipu, tego samorodnego, rzetelnie pruskiego dowcipu, którego dostojność ma już ustaloną reputacyę światową. Sięga doń krytyk z zamiłowaniem szczególnem, nie zaniedbując żadnej nadarzającej się po temu sposobności. Zwłaszcza zajęte przezemnie stanowisko zasadnicze, że w niedomaganiach ustrojowych Polski nie można się dopatrzyć przyczyn jej upadku, skoro one współcześnie zjawiają się także gdzieindziej, daje mu szerokie pole do popisania się niezaprzeczalnemi zdolnościami w tym kierunku. Raz metodę porównawczą, zastosowaną w mojej pracy, zestawia z postępowaniem ściganego złodzieja, który chcąc zmylić ślad, woła: Trzymaj złodzieja; kiedyindziej zaś znowuż, nawiązując do znanego wypadku ministra włoskiego Nasiego, Sycylijczyka z rodu, który z powodu naruszenia funduszów publicznych dostał się pod klucz, przypomina stanowisko prasy sycylijskiej, która, uderzając na gwałt, że więzi się ministrów sycylijskich, a pozwala kraść ministrom północno-włoskim, żądała pełnego ich pod tym względem równouprawnienia.

Możnaby, odwracając cios, zwrócić ostrze tego dowcipu przeciw samemu krytykowi i bronionej przezeń sprawie. Bo przecież on sam, sięgając do wytwornego zestawienia stosunków polskich ze złodziejstwem, wyjść musiał z założenia, że praktykowało się złodziejstwo także gdzieindziej na Zachodzie,

przedewszystkiem w Niemczech. Ale dyskusya, prowadzona takiemi kategoryami myślowemi zeszłaby na poziom, odpowiadający kulturze nieokrzesanych burszów, którzy sobie dobrze podochocili przy nienakrytym na pragermański sposób stole restauracyjnym. Nie czuję sił, żeby na tym terenie sprostać dostojnemu przedstawicielowi nauki niemieckiej na uniwersytecie monachijskim, i zrzekając się nierównej w tym kierunku walki, muszę mu pod tym względem pozostawić zadośćuczynienie odniesionych przewag elearskich.

Nie tak jaskrawym pod względem wytworności, za to jednak poświadczającym niezmierzoną głębię jego umysłowości, jest inny dowcip pana profesora: że gdyby wyniki mojej pracy miały się ostać w »urzędowej« (?) historyografii polskiej, to za trzy lata zaczętoby uczyć w szkołach i uniwersytetach polskich, że Niemcy i Austrya w toku teraźniejszej wojny światowej uratowane zostały ostatecznie tylko przez skuteczną akcyę wojenną Polski. Przypominam, że ta rzecz pisana była w czasie, kiedy nad Sprewą czy Izarą rojono złote sny, że Verdun padnie lada chwila, a pod tryumfalnym łukiem paryskim, jak przed pół wiekiem, przesunie się po raz wtóry zwycięski pochód Germanów. Dziś zapewne p. Leonhard byłby ostrożniejszy w poruszaniu kwestyi obrony obu »państw centralnych« — przez kogokolwiek. Nie będzie można uczyć na uniwersytetach polskich, że obroniły się chociażby Niemcy i Austrya — same. Za to będzie można uczyć nie tylko w Warszawie, ale i w Oksfordzie czy Cambridge, czy chociażby nawet w Monachium i Berlinie, o ile wykład nie dostanie się w ręce uczonych tego pokroju, co p. Leonhard: że uznane manifestem listopadowym przez mocarstwa centralne państwo polskie wyniszczono systematycznie, przez cały czas okupacyi, gorzej niż zdobyty kraj nieprzyjacielski, nadmiernemi rekwizycyami żywności; że zrujnowano je gospodarczo na długie lata przez bezwzględny rabunek narzędzi i machin rolniczych i przemysłowych; że utworzonemu w temże państwie rządowi nie przekazano naprawdę ani cienia rzeczywistej władzy; że para-

liżowano statecznie wszelkie jego usiłowania o stworzenie wydatniejszej siły zbrojnej dla utrzymania w chwili potrzeby porządku na wewnątrz i obrony na zewnątrz, że nawet znaczniejsze formacye wojskowe polskie, czy to samorzutnie w czasie wojny przez nas stworzone, czy też wydzielone z rozprzęgającej się armii rosyjskiej, rozmyślnie niszczono i rozpraszano; że, wbrew wyraźnemu orzeczeniu manifestu o przynależności do tego państwa całego zajętego na Rosyi terytoryum Królestwa kongresowego, przygotowywano zabór znacznej jego połaci zachodniej na rzecz Prus, a pokaźną część połaci wschodniej bez skrupułu ustąpiono Ukrainie; że wreszcie cały wysiłek polityki w czasie wojny skierowano na to, żeby państwo to od ściany północnej i wschodniej otoczyć wieńcem nowo utworzonych, wrogich Polsce organizmów państwowych i zmusić ją przez to do oparcia się o Niemcy na warunkach proszącego o łaskę, albo wprost o przyłączenie do Rzeszy niemieckiej. A trzeba jeszcze przypomnieć rzecz, która wobec tamtych wszystkich jest drobiazgiem, a jednak najznamienniej może oświetla »dobrodziejstwa«, wyświadczone wskrzeszonej Polsce: że oto w czasie okupacyi tego nowo odbudowanego państwa polskiego wzbroniono — risum teneatis — korespondencyi z jego mieszkańcami — w języku polskim. Może uczony pan profesor monachijski uzna za potrzebne powtórzyć przytoczone już raz przedtem z wielkiem zadośćuczynieniem genialne spostrzeżenie von Massowa, że cnota wdzięczności nie stoi w katechizmie polskim. Stwierdźmyż: za dobrodziejstwa, jak one stoją w katechizmie pruskim, niełatwo doczekać się wdzięczności — skądkolwiek.

IV.

Zamykając na tem uwagi moje o uczonych wywodach p. Leonharda, do których z konieczności tylko i z przezwyciężeniem łatwo zrozumiałej odrazy wypadło mi sięgnąć, zwracam się znowuż do spostrzeżeń, wypowiedzianych przez in-

nych krytyków, o ile one zawierają zarzuty natury ogólniejszej.

Wytknięto mi przedewszystkiem, że usprawiedliwiam, czy nawet bronię dawniejszych naszych instytucyj ustrojowych, nie licząc się z ich ujemną treścią, czy nawet zgubnem oddziaływaniem. Dobrze jeszcze, jeżeli zarzut ujęto w tak łagodną formę, jak u zgodnego ze mną w zasadniczym poglądzie prof. Kutrzeby, że »może za daleko posuwam się w ich obronie«; kiedyindziej sformułowano rzecz w sposób bardziej stanowczy, posuwając się nawet do obwinienia mnie o »obronę tendencyjną«. Dalej jeszcze sięga zarzut apologetyzmu; jeśli bowiem dobrze rozumiem myśl krytyków, chcą oni przez to podkreślić, że nie tylko już usprawiedliwiam dawniejsze nasze urządzenia, ale co większa, przypisuję im ryczałtem znaczenie dodatnie. Nawet ostrożny w sądzie Papée nie mógł się powstrzymać od uwagi, że praca moja nie wydaje się wolną od tendencyi apologetycznej, a Diveky mieni ją »zdecydowanem pismem apologetycznem«, które jako takie staje się drugorzędnem z punktu widzenia naukowego; w ślad za czem zaleca ostrożność oraz krytycyzm w korzystaniu z jego wyników [1]. Pod pewnym względem z grupą tych spostrzeżeń łączą się uwagi Bogatyńskiego i prof. Chrzanowskiego, poczytujące pracę moją za wyraz nadmiernego, skrajnego optymizmu.

[1] Podobnież bezimienny recenzent »Diła«, idąc rzekomo za tokiem moich myśli, wyraża się ironicznie: »dochodzimy do wniosku, że w tej dawnej Polsce wszystko było tak dobre, jak tylko mogło być w tym czasie«. Nad artykułem tym (drukowanym 1916) redakcya »Diła« umieściła napis: »Za zezwoleniem c. k. Urzędu wojennej cenzury we Wiedniu«. Z jakich powodów, niełatwo odgadnąć. Ani sprawa, o której pisałem, ani moja osoba nie stały pod szczególną opieką ówczesnych władz austryackich, czy zwłaszcza tamtejszych organów wojskowych, żeby polemika przeciw mnie skierowana dopuszczalną była tylko za ich przyzwoleniem. Chyba autorowi przez powołanie się na ten organ chodziło o nadanie większej powagi wewnętrznej swoim wywodom; w takim razie można mu tylko powinszować trafnego wyboru.

Znowuż wszystkie te zarzuty wynikły z nieporozumienia, czy też niedość ścisłego ogarnięcia treści moich wywodów, jak mniemałem, dość jasno określonej. Zająwszy stanowisko porównawcze, zmierzałem przedewszystkiem do tego, żeby o wartości naszych stosunków ustrojowych urobić sobie sąd historycznie w z g l ę d n y, t. j. określić ją w zestawieniu z współcześnie istniejącymi stosunkami w innych państwach Europy zachodniej. W niektórych szczegółach porównanie to wyszło na korzyść Polski, co też uważałem sobie za obowiązek sumiennie stwierdzić. Wskazałem n. p. w dziedzinie urządzeń sejmowych na przeprowadzoną u nas zasadę organicznego zespolenia funkcyj władcy z sejmem samym, jak się na nią podówczas nie zdobyto jeszcze na całym kontynencie europejskim. Podkreśliłem też znaczenie sejmu, jako centralnego organu ustawodawczego, w przeciwstawieniu do urządzeń niektórych innych państw, które w czasie tym organów takich nie posiadały. Zaznaczyłem także, iż związek chłopa z ziemią był w Polsce silniejszy, aniżeli w Niemczech, a częściowo nawet obowiązki jego wobec pana mniej dotkliwe, aniżeli w niektórych krajach tamtejszych. Podobnież co do miast dało się stwierdzić, że ograniczenia ich samorządu nie we wszystkiem sięgały tak daleko, jak w Niemczech czy Francyi, a reforma miejska z 1791 usunęła znaczną część ograniczeń, jakie gdzieindziej utrzymywały się jeszcze w tym czasie, i wyprzedziła znacznie współczesną reformę józefińską w Austryi. Wszystko to zestawienia, oparte obustronnie na sprawdzonych i rzeczywistych faktach i stosunkach; to zaś, co przy tej sposobności dało się stwierdzić na korzyść Polski, osnute na kryteryach ściśle rozumowych i naukowych. O ile tedy, odnośnie do tej grupy spostrzeżeń, miałby się ostać podniesiony przeciwko mnie zarzut nienaukowego apologetyzmu czy nadmiernego optymizmu, należałoby, czy to co do wszystkich, czy przynajmniej pewnej ich części wykazać, że bądź to same zestawione fakty i stosunki nie odpowiadają rzeczywistości, bądź też kryterya ich wartości zostały mylnie uchwycone. Tego jednak nie

podjęto po stronie przeciwnej, poprzestając na tanich zarzutach ogólnikowych; o ile zaś wyjątkowo zwrócono się do szczegółów, zarzuty takie, jak starałem się wyjaśnić w poprzednim rozbiorze, utrzymać się nie dadzą.

Że nie miałem zamiaru pisania apologii dawniejszych naszych urządzeń, świadczy inna grupa moich spostrzeżeń, nie szczędzących ujemnej, czasem ostrej krytyki przy omówieniu takich stosunków, które w Polsce ułożyły się gorzej, aniżeli na Zachodzie. Wystarczy przypomnieć: najpierw, powołane już przy innej sposobności uwagi moje o liberum veto, które określiłem jako najboleśniejszy wrzód naszego sejmowania i zjawisko poważnie ujemne w ewolucyi życia publicznego w Polsce. Jako zjawisko ujemne, »którego zakrywać ani usprawiedliwiać nie należy«, przytoczyłem też brak przedstawicielstwa miejskiego w sejmie walnym. Przypomnę nadto uwagi moje o braku silnej władzy rządowej w Polsce; w jednym z ustępów daję wyraz ubolewaniu, że Polska nie przetworzyła się w państwo absolutne o silnej militarnej organizacyi, byłaby bowiem snadniej potrafiła stawić czoło grożącym jej niebezpieczeństwom z zewnątrz. Gdzieindziej zaś, dopatrzywszy się przyczyny słabości władzy rządowej w rozluźnionym stosunku podwładności urzędów wobec króla, zaznaczam wyraźnie, iż byłoby błędem niedoceniać tej ujemnej strony dawnego naszego ustroju, i że, otwarcie rzecz stawiając, jest to jedna z najsłabszych stron organizacyi państwowej Polski tego czasu. W tych i tym podobnych uwagach nikt chyba nie będzie mógł dopatrzyć się apologetyzmu, czy też optymistycznego poglądu na przedrozbiorowe stosunki Polski.

Inna wreszcie, najliczniejsza grupa spostrzeżeń odnosi się do takich stosunków i urządzeń polskich, które w pewnych, z dzisiejszego stanowiska ujemnie ocenianych kształtach, istniały współcześnie także w innych państwach europejskich. Omówiłem tu stanowy charakter przedstawicielstwa sejmowego, odśrodkową organizacyę sejmików, zasadę elekcyjności, niewykształconą organizacyę niższych organów zarządu, uprzywile-

jowane stanowisko szlachty, ścieśnienia samorządu miejskiego, instytucyę poddaństwa chłopskiego. Z zestawienia tego wysnułem wniosek, że skoro urządzenia takie dadzą się stwierdzić także gdzieindziej, to nie można o nie winić samej tylko Polski. Czy to apologia lub optymizm, albo chociażby usprawiedliwienie i obrona? Jeżeli nawet nazwać tę rzecz usprawiedliwieniem czy obroną, to trzeba ją będzie pojąć znowuż tylko jako sąd w z g l ę d n y, wykazujący, że to samo istniało gdzieindziej. Zasadność takiego sądu dałaby się naukowo zachwiać znowuż tylko w tym wypadku, gdyby można stwierdzić, że same szczegóły porównawcze są nieprawdziwe lub mylnie ujęte: czego jednak nie wykazano wcale, albo, o ile wyjątkowo podjęto próbę w tym kierunku — jak wynika z poprzedniego rozbioru szczegółowego — wykazać nie zdołano.

Że na ujemne strony takich nawet urządzeń, które przedrozbiorowa Polska miała wspólne z innemi państwami ówczesnemi, nie zamykałem oczu, dowodzą liczne uwagi, rozrzucone w pracy mojej, w których, sięgając do sądów b e z w z g l ę d n y c h, nie szczędziłem im zasadnej krytyki. Omawiając stanowy charakter przedstawicielstwa sejmowego, zaznaczyłem wyraźnie, że ujemnych, szkodliwych następstw takiego układu rzeczy zakrywać niepodobna. Samą w sobie elekcyjność tronu uznałem za żywioł rozstroju życia politycznego, dodając uwagę, że byłoby niewątpliwie lepiej, gdyby zamiast niej Polska ówczesna była ustaliła u siebie zasadę dziedziczności. Skreśliwszy zasady urządzeń miejskich w Polsce, mimo że one w niejednym kierunku przedstawiały się korzystniej, aniżeli na Zachodzie, nie omieszkałem przecież dodać, że przedstawiają obraz niewątpliwie ponury. Instytucyę poddaństwa, taką samą, jak ją znały sąsiednie kraje, nazwałem jedną z największych bolączek ówczesnego ustroju społecznego Polski; zwróciłem uwagę na ujemne następstwa, wypływające z braku prawa apelacyi chłopa od wyroku sądu pańskiego, który otwierał szerokie wrota samowoli pańskiej; a w końcowych spostrzeżeniach o znaczeniu poddaństwa podkreśliłem z osobna

wypływające stąd »stosunki opłakane«, dodając, że w ciasnych, szorstkich, gniotących ramach tej instytucyi nie na różach ścielił się żywot chłopa polskiego. Nie przemilczałem też o tem, co mi się wydało potrzebnem do wytknięcia w samej nawet Konstytucyi majowej z 1791, opatrując ujemną krytyką jej postanowienie, przyznające królowi dwie tylko kreski w senacie. Miałem tedy chyba pełne prawo stwierdzić w zakończeniu: »W czem naprawdę kształty jego (naszego ustroju) przedstawiają się jako wadliwe, w tem nie oszczędzimy mu zasadnej, usprawiedliwionej krytyki«. A oto teraz, mimo wszystko, spotykają mnie zarzuty, jakobym niedomagania dawnego ustroju Polski usprawiedliwiał czy bronił, jakobym w przesadnym optymizmie pisał ich apologię. Nie doceniono tu głównej treści moich spostrzeżeń, że w Polsce w przeważnej części *nie było gorzej*, aniżeli gdzieindziej, że więc w tem ujemnem ukształtowaniu się odnośnych stosunków nie można dopatrzyć się przyczyn upadku naszej państwowości, skoro one nie zachwiały bytem innych organizmów państwowych. Przez przewartościowanie ustawionej przezemnie tezy podsunięto mi *obcą moim wywodom myśl*, jakoby odnośne urządzenia, *same w sobie wzięte, były dobre i w pełni usprawiedliwione*. Przeciwko temu nieuzasadnionemu wnioskowi, przeciwko zarzutom tendencyjnej obrony czy przesadnego apologetyzmu i optymizmu zastrzec się tedy muszę — w imię sprawiedliwości, należnej każdemu.

Niektórzy krytycy, zwalczając rzekome moje stanowisko apologetyczne, żeby niem zachwiać doszczętnie, odwołują się do współczesnych, ujemnych sądów największych powag przedrozbiorowej doby. Prof. Estreicher przytacza »skargę nad skargami« — Skargi, wzywającą do otwarcia serca na dobro wszystkich dusz, które królestwo polskie zamyka. Także prof. Zakrzewski, który zdawał się być na tropie uchwycenia przewodniej myśli mojej pracy, poczytując ją raczej za objaw reakcyi przeciw jednostronnemu i bezwzględnemu potępianiu ustroju starej Polski, aniżeli za bezwzględną jego obronę, prze-

cież, jednym tchem, przeciwstawia mi, jakoby takiemuż obrońcy, szereg sądów ujemnych, wypowiedzianych przez ówczesne powagi w narodzie. Przeciwstawia mi znowuż Skargę, narzekającego na osłabienie władzy królewskiej, przeciwstawia ogólnie pisarzy politycznych i mężów stanu od końca XVI w., oświadczających się za potrzebą daleko idących reform ustroju. Powołuje nawet motywy kilku artykułów samej Konstytucyi Trzeciego Maja, oceniające ujemnie dawniejszy stan rzeczy, więc tego rodzaju zwroty jak: »długiem doświadczeniem poznawszy zadawnione rządu naszego wady«, albo »doświadczenie nauczyło, że zaniedbanie tej części rządu nieszczęściami napełniło Polskę«. W świetle poprzednich moich objaśnień wszystkie te przeciwstawienia stają się bezprzedmiotowe; bo przecież i ja podkreśliłem kilkakrotnie z naciskiem ujemne strony słabości rządu polskiego, i mogę też bez zastrzeżeń podpisać przytoczone cytaty [1]. Co do motywów Konstytucyi dodam jeszcze tylko uwagę, że nie znaleść jakiejkolwiek gruntownej reformy ustrojowej, dla której stosunki przedtem istniejące nie przedstawiałyby »zadawnionych wad«; a jednak stosunki te mogły w swoim czasie wytworzyć ramy, w obrębie których życie narodu rozwijało się pomyślnie czy chociażby znośnie, albo przynajmniej takie, które nie przesądzały o konieczności jego upadku politycznego. A właśnie wywód mój, uwzględniając całość zjawisk ustrojowych dawnej Polski, w przeważnej części nie gorszych, aniżeli gdzieindziej w Europie, zmierzał do wykazania, że w zjawiskach tych nie można szukać właściwej przyczyny jej upadku.

Kilku krytyków, zarzucających mi apologetyzm i optymizm, zadało sobie pytanie, dla czego z pracą moją wystąpiłem nie dawniej, jeno dopiero w czasie toczącej się teraźniejszej wojny światowej. Znalazła się też od razu gotowa odpowiedź: miały ją właśnie wywołać wypadki bieżące, czas,

[1] Słusznie też niezasadność tych zarzutów prof. Zakrzewskiego wytyka obecnie artykuł Mejbauma.

w którym sprawa odbudowania państwowości polskiej wypłynęła na widownię zagadnień politycznych. Za taką publikacyę, niejako politycznie okolicznościową, poczytują ją Diveky, Kordyan, Bogatyński, nawet prof. Chrzanowski. Ten ostatni zwłaszcza formułuje pogląd swój na tę sprawę w sposób dokładniejszy: »oto znowu (wśród wojny) nie czysta nauka, nie miłość prawdy, tylko samo życie pobudziło umysły polskie do syntetycznego ujęcia dziejów ojczystych«, i »jak na postawionem pytaniu, tak i na odpowiedzi musiało zaważyć życie: instynkt samozachowawczy narodu, jego serce, słowem, całe jego jestestwo duchowe«. Sam charakter naukowy mojej pracy, zaliczonej przez krytyka do niniejszej grupy publikacyj, sama nawet dążność moja do uchwycenia rzeczywistej prawdy, stają tu pod znakiem zapytania.

Nie omieszkano przytem zwrócić uwagi na pewne następstwa praktyczne, jakie stąd wyłonić się mogą. Prawda, że tutaj rozbiegły się sądy samych krytyków w dwu przeciwnych kierunkach. Jedni, jak Dębicki, uważają pewien zasób optymizmu za pożądaną w życiu publicznem reakcyę przeciw pesymistycznym poglądom na przeszłość, gdyż podtrzymuje on w narodzie wiarę we własne siły i zachęca go do dalszych czynów twórczych; osobno zaś jeszcze prof. Halecki zbija pogląd, jakoby prąd apologetyczny, podkreślający dodatnie strony przeszłości, wpływać mógł w sposób tamujący na dalszą, twórczą akcyę narodu. Inni krytycy zajęli stanowisko wręcz przeciwne. Kordyan zarzuca mi sentymentalizm, odwracający przez sympatyczne sui generis pochlebstwo, uwagę obwinionego od popełnionych czynów; odwołuje się znowuż do Skargi, nawet Tacyta, żeby stwierdzić, że ci wielcy mężowie nie wahali się otwarcie winić własnych społeczeństw, i podkreśla jeszcze z osobna ogólne »przykazanie kultury europejskiej«, żeby za winy własne nie obciążać odpowiedzialnością innych. Jeszcze dosadniej piętnuje rzekome moje wywody apologetyczne prof. Chrzanowski. Jego zdaniem wszelka dyalektyka, usuwająca z naszych bark odpowiedzialność za upadek, to dla naszego

łatwowiernego ogółu, który tak lubi tanie krople na wyrzuty sumienia, i tanie narkotyki na uśpienie myśli krytycznej, szkodliwa i zgubna; ze stanowiska życia praktycznego, to nie tylko nierozsądek, ale wręcz grzech wobec sprawy narodowej. Wreszcie Rzymowski stawia pytanie, powtórzone przez Bogatyńskiego: »W jaki sposób pojęcie o godności narodu da się połączyć z odmówieniem nam wszelkiej za losy własne odpowiedzialności?«

Wszystkie te zarzuty, cokolwiek przyszło im wytknąć jako ujemne następstwa mojego jakoby przesadnego optymizmu, przypisywały mi przynajmniej, o ile sądzić mogę, jakieś pobudki idealne, dążność do usprawiedliwienia przeszłości naszej, do usunięcia ciemnej zasłony, w jaką spowiły ją dawniejsze poglądy pesymistyczne. Ale znalazły się inne, które posądzają mnie wprost o pewne, ściśle określone, partyjne nawet tendencye polityczne. Mniej tu zdziwi, jeżeli z tego rodzaju posądzeniem wystąpi publicysta, przywykły wszędzie wietrzyć politykę, jak Kordyan, który, z lojalnem zresztą zastrzeżeniem, iż »przypuszcza tylko, choć twierdzić tego nie może«, wyraża domniemanie, jakobym rozmyślnie obrał sobie omówiony w pracy mojej temat, ażeby w dziedzinie pozornie odległej znaleść łatwe usprawiedliwienie dla zachowania się pewnej części narodu naszego, która, stawiając postulat pasywizmu Polski w teraźniejszej wojnie światowej, przeciwstawiała się działalności aktywistycznego, w czasie pojawienia się mojej pracy działającego Naczelnego Komitetu Narodowego. Żeby nie uronić niczego z humorystyki zjawiska, trzeba dodać zaraz, że n a p o d s t a w i e t e j s a m e j p r a c y monachijski krytyk, p. Leonhard, doszedł do wniosku wprost przeciwnego: przyjmuje on mianowicie, że napisałem ją wprost na zamówienie Naczelnego Komitetu Narodowego, a to mianowicie w tym celu, żeby przez »uświetnienie« stosunków ustrojowych dawnej Polski, zwłaszcza zaś istniejącego wtedy poddaństwa chłopów, bronić interesów polsko-galicyjskich właścicieli ziemskich, których organem był rzekomo Komitet Narodowy. W związku

z tem p. Leonhard nie cofa się nawet przed twierdzeniem, jakoby mi chodziło wprost o przywrócenie dawniejszych naszych stosunków ustrojowych, zwłaszcza poddaństwa, w nowo budującem się państwie polskiem; oto »perspektywy polskie« na przyszłość, jak tę rzecz określił w samym tytule swojego artykułu. Zeszedł się tu zresztą uczony niemiecki z wcześniejszym nieco głosem syamskiego brata, publicysty ruskiego w »Dile«, dla którego nie ulega wątpieniu, że praca moja ma na względzie nie tyle teoretyczny spór co do dawno minionej przeszłości, ile raczej zawiera praktyczną zapowiedź na przyszłość: nowa Polska, nawiązując do tradycyi Polski dawnej, zaprowadzi u siebie dawniejsze swoje urządzenia.

Żeby oświetlić zasadność całego tego splotu zarzutów, jakie mi poczyniono co do pobudek ogłoszenia mojej pracy i jej rzekomych tendencyj, zmuszony jestem, lubo poniewolnie, zestawić szczegóły faktyczne, dotyczące jej powstania. Od dłuższego już czasu, równorzędnie z zawodowem mojem studyum w dziedzinie historyi prawa polskiego rozpatrując dawne urządzenia innych państw europejskich, odbierałem wrażenie, że daleko sięgające obwinienia, jakie literatura historyczna kierowała przeciw Polsce z powodu jej niedomagań ustrojowych, nie są w pełni usprawiedliwione, ile że w wielu wypadkach takie same czy podobne niedomagania dadzą się współcześnie stwierdzić także gdzieindziej. Znacznego pogłębienia doznał ten mój pogląd w latach 1894—1899, kiedy powołany dodatkowo do wykładów historyi ustroju Austryi w Uniwersytecie lwowskim, podjąłem gruntowne, szczegółowe badania stosunków ustrojowych monarchii habsburskiej i przystąpiłem do ogłoszenia podręcznika tego przedmiotu. Zwłaszcza studyum ustroju sąsiednich nam Czech i Węgier, wykazującego różne podobieństwa z ustrojem Polski, oświetliło wiele zagadnień, łączących się z wspomnianym poglądem. Zasadnicza teza, że nasze wady ustrojowe nie mogą być poczytane za rozstrzygającą przyczynę upadku Polski, skoro, powtarzając się w znacznej mierze gdzieindziej, nie sprowadziły upadku

innych państw, doszła już wtedy do pełnego w umyśle moim sformułowania. Nie spieszyłem się przecież z jej literackiem opracowaniem i ogłoszeniem, zarówno z powodu innych pilniejszych prac, jako też w nadziei, że rozporządzając później wolniejszym czasem, zdołam zebrać jeszcze więcej materyału porównawczego. W każdym razie, już r. 1907 nasunęła mi się sposobność zaznaczyć okolicznościowo ten mój nowo sformułowany pogląd na sprawę niniejszą. Wypadło mi wtedy ogłosić drugie wydanie mojej pracy o Konstytucyi Trzeciego Maja, pisanej jeszcze 1891 r., w częściowem zużytkowaniu upowszechnionych w ówczesnej nauce naszej doktryn pesymistycznych. Nie mogąc znowuż, dla innych pilnych prac, zająć się szczegółowem przerobieniem odnośnych ustępów tej rozprawy, poprzestałem na przedruku jej tekstu według opracowania pierwotnego; poprzedziłem ją jednak osobną, ogólną uwagą wstępną, że niektóre jej poglądy wymagałyby obecnie odmiennego oświetlenia.

W ostatnich miesiącach 1914 r., skutkiem zajęcia Lwowa przez Rosyan, znalazłem się w Wiedniu i przebywałem tamże przez cały rok, do początków października 1915. W jesieni 1914 poruszona została myśl przez jednego z wybitnych członków kolonii wiedeńskiej, żeby dla licznych uchodźców polskich, bawiących podówczas we Wiedniu, urządzić cykl odczytów z historyi polskiej. Wezwanie do udziału w tej akcyi skierowane zostało między innemi także i do mnie. Wtedy powziąłem zamiar omówiena w odczycie wspomnianej tezy o wadach ustrojowych Polski w oświetleniu porównawczem. Opracowałem też zaraz dyspozycyę wykładu; do ostatecznego zredagowania go nie doszło jednak i tym razem, gdyż zamiar urządzenia cyklu odczytów, dla pewnych przeszkód, jakie się później nasunęły, musiał być porzucony. Że zaś pilniejszą była mi inna, wyjazdem ze Lwowa przerwana praca źródłowa, przeto, niechając na razie tamtej rzeczy, zabrałem się przedewszystkiem do jej kontynuacyi, i pracy tej poświęciłem jeszcze kilka dalszych miesięcy. Niestety, w bibliotekach wiedeńskich, nie wy-

łączając uniwersyteckiej. okazały się takie dotkliwe braki najważniejszych wydawnictw źródłowych i literatury historycznej polskiej, że ostatecznie musiałem zaprzestać pracy nad wspomnianą rozprawą źródłową. I dopiero wtedy zwróciłem się ponownie do tematu, przeznaczonego zrazu na odczyt; niekrępowany rozmiarami krótkiego czasu, w których zamykać się musi wykład publiczny, opracowałem go obszerniej około połowy 1915 r. Wróciwszy do Lwowa, oddałem gotowy rękopis do druku, tak że już w grudniu tegoż roku rzecz ukazać się mogła na widok publiczny. Dopiero potem, pismem z 2 stycznia 1916 Prezydyum Naczelnego Komitetu Narodowego zwróciło się do mnie z propozycyą, żebym pracę tę ogłosił w przekładzie niemieckim, dla upowszechnienia jej także w kołach publiczności obcej; kiedy zaś odpowiedziałem, że sam, dla innych zajęć, nie mógłbym się podjąć tego zadania, zawiadomiło mnie pismem z 31 stycznia t. r., że gotowe jest poruczyć przekład jej na język niemiecki osobno uproszonemu tłómaczowi, celem ogłoszenia pracy tej nakładem centralnego biura wydawnictw Komitetu. Czyniąc zadość temu wezwaniu, upoważniłem Komitet do ogłoszenia przekładu, który też w istocie pojawił się w druku około połowy r. 1916.

Z zestawień tych wypływa, co następuje: Przedewszystkiem, że cała koncepcya mojej pracy była gotowa dawno przedtem, zanim rozpętała się teraźniejsza wojna światowa i zanim sprawa odbudowy państwowości polskiej stała się aktualnem zagadnieniem polityki bieżącej. Powtóre, że jeśli samo ukazanie się pracy przypadło na czas toczącej się wojny, to tylko skutkiem przypadkowego zbiegu okoliczności, iż właśnie wtedy znalazłem czas i sposobność opracowania tematu, do którego przedtem, dla innych zajęć, nie mogłem się zabrać. Wreszcie, że gdyby nie przeszkody zewnętrzne, na które natrafiła inna moja praca źródłowa, prawdopodobnie temat o »zagadnieniach ustrojowych Polski«, jak dawniej przez długi czas, tak i obecnie, podczas wojny, byłby został usunięty na dalszy plan, i może nie byłby się po dziś dzień jeszcze pojawił w druku.

I znowuż: że praca moja nie mogła chyba skierowywać się z osobna przeciw Komitetowi Narodowemu, skoro zaraz po jej ukazaniu się Komitet sam poruszył myśl rozpowszechnienia jej w przekładzie niemieckim i przekład ten we własnym swoim ogłosił nakładzie. Ale też i na odwrót: na samo powstanie tej pracy Komitet żadnego nie mógł wywierać wpływu, ani tem mniej spisania jej spowodować, gdyż powstała ona samorzutnie, bez jego wiedzy, i dopiero w chwili, w której pojawił się jej oryginalny tekst polski, stała mu się ona dostępną.

Osobno jeszcze co do obu, wprost sprzecznych, wzajemnie wykluczających się sądów, jakie wydano o rzekomym stosunku tej pracy do akcyi Naczelnego Komitetu, trzeba będzie, rozważając rzecz samą w sobie, stwierdzić co następuje: Przedewszystkiem, gdyby nawet przyjąć, że miała ona jakieś nienaukowe tendencye apologetyczne odnośnie do przeszłości naszej na oku, gdzież logiczna podstawa do wniosku, że chciała się przeciwstawić jakiemukolwiek kierunkowi politycznemu teraźniejszej doby, aktywistycznemu czy pasywistycznemu? Wszak cokolwiek sądzić będziemy o wartości naszych urządzeń dawniejszych, rzecz ta nie mogła przesądzać o sposobach teraźniejszej akcyi w sprawie odbudowania państwowości polskiej: niezależnie od tego czy urządzenia te uznamy za dobre czy złe, na samem odbudowaniu Polski w toku teraźniejszej wojny zależeć nam musiało chyba wszystkim, zatem także na zapoczątkowaniu takiego kierunku polityki, który do odbudowania najskuteczniej prowadził. Czy Komitet wywiesił sztandar aktywizmu, czy byłby się oświadczył za pasywizmem, cała ta kwestya polityki bieżącej nie dałaby się wprowadzić w jakikolwiek związek z dodatnią czy ujemną oceną przeszłości. I znowuż na odwrót, gdzież podstawa do twierdzenia, jakobym, wprzęgając się w służbę Komitetu, stojącego rzekomo na straży interesów wielkiej własności ziemskiej, bronił urządzeń dawniejszych, zwłaszcza zaś stosunku podwładności chłopa wobec pana, żeby wykazać potrzebę wprowadzenia ich w nowo powstającej Polsce? Żeby już nie odwoływać się do tego, że

ani osobiście, ani socyalnie, ani politycznie nic mnie z osobna nie wiąże z grupą interesów wielkiej własności ziemskiej, zapytam, czy w stosunkach dzisiejszych można komu rozumnie przypisać myśl propagandy wskrzeszenia przedrozbiorowych urządzeń polskich, czy ówczesnych europejskich, przedewszystkiem zaś dawnego poddaństwa chłopskiego? Tylko jakaś naiwna ufność w brak krytycyzmu ze strony czytelnika mogła zrodzić taki niedowarzony zarzut, a raczej zła wola, podsuwająca mi świadomie myśli niewypowiedziane, i co ważniejsza, takie, przeciwko którym zastrzegłem się najwyraźniej. Wystarczy powołać się tu na szereg przypominanych na poprzedniem miejscu sądów bezwzględnych, jakie o ujemnych stronach stosunku poddańczego w pracy mojej wypowiedziałem. Dodam też, że ogólnie dawny ustrój Polski nazwałem już tylko pamiątką przeszłości naszej, a na innem miejscu zaznaczyłem wyraźnie, że nowo powstająca Polska nie mogłaby dziś stworzyć sobie ustroju dawniejszego, nie mogłaby, ściśle rzecz biorąc, z ustrojem takim powstać, albo powstawszy — istnieć; byłaby dziwolągiem, skazanym z góry na zagładę.

W świetle tych wszystkich spostrzeżeń mniemam chyba mieć prawo stwierdzenia, że pomiędzy teraźniejszymi wypadkami wojennymi i politycznymi, a genezą i treścią mojej pracy nie ma związku najmniejszego; że ta rzecz, przemyślana i ustalona dawno przed wojną i nowem ukształtowaniem się sprawy polskiej, nie zrodziła się z potrzeb bieżącej chwili, ani też potrzebom tym w jakimkolwiek kierunku służyć nie miała zamiaru. Może też w związku z tem wolno mi będzie, podnosząc protest przeciw najdotkliwszemu dla mnie zarzutowi kilku krytyków, stwierdzić, że jest ona pracą o tendencyi ściśle naukowej, opartą na metodzie, według najlepszej mojej wiedzy, naukowej, o wyłącznie naukowym celu odsłonięcia prawdy dziejowej. Mogę przyjąć z wdzięcznością wszystkie przeciwko niej skierowane zarzuty rzeczowe; mogę uznać ich zasadność, czy znowuż walczyć przeciwko nim, bro-

niąc moich zapatrywań; tylko zarzut, jakobym naukę dostosowywał do potrzeb chwili, jakobym wypaczał prawdę dla usłużenia jakimkolwiek celom polityki bieżącej, odeprzeć muszę z całym naciskiem. Trudno się tu oprzeć uczuciu żalu, iż rzecz podjęta w najczyststszej intencyi usłużenia sprawom naukowym, po tylu latach najwierniejszej służby tymże sprawom, zamiast spotkać się ze zrozumieniem tam, gdzie tego przedewszystkiem oczekiwać należało, mogła być wytłómaczoną w sposób do tyla opaczny. Jak zawsze dawniej, tak i teraz stałem na stanowisku, które tak jędrnie i dosadnie określił Świętochowski: że historyk wcale nie powinien dbać o to, jak jego teorye wpływają w praktyce na losy i dążenia narodu, ale jedynie tylko szukać prawdy teoretycznej[1], a które znowuż Korzon formułuje niemniej stanowczo: »Mnie tylko o to chodzi, by praca historyczna była amputowaną zupełnie z pomiędzy wszystkich innych kierunków działalności człowieka, żeby jaknajściślej była odseparowana ... od polityki ... podobnie i od życia, bo to jest abstrakcyjna nauka, i tylko o tyle skuteczna, o ile pozostaje w abstrakcyi«[2].

Zająwszy takie stanowisko, nie mogłem oczywiście liczyć się z jakimikolwiek ubocznymi, naukowo obojętnymi momentami, na które skwapliwie zwracają uwagę krytycy, podnosząc zwłaszcza wypływające z mojego »usprawiedliwienia« Polski użyteczne czy szkodliwe następstwa dla bieżącej naszej polityki, czy też teraźniejszego życia publicznego. Momenty te na samą rzeczową ocenę dawniejszych zjawisk dziejowych nie mogą i nie powinny wywierać żadnego wpływu; gdyby go im tu przyznać, sprowadziłyby rzecz całą na tory nienaukowe. Jest też rzeczą osobliwą, że właśnie ci, którzy z takim naciskiem przypominają mi co krok postulaty naukowości, właśnie do tych momentów odwołują się tak często i liczą się z nimi w najszerszej mierze. Czy »obrona« dawnych stosunków ustro-

[1] Świętochowski, Polska historyozofia, Przegl. Tyg. 1877.
[2] Pamięt. II Zjazdu hist. pol. 1890, II. 160.

jowych polskich umocni zaufanie narodu we własne siły, czy też przeciwnie wywoła w nim kwietyzm lub nawrót do dawniejszych błędów; i znowuż, czy pesymistyczna ocena tych stosunków, usuwając jego wiarę w możliwość dodatniej, owocnej akcyi na przyszłość, nie przyczyni się do jej osłabienia czy sparaliżowania — to są rzeczy, nad któremi wprawdzie głęboko zastanowić się winien polityk, ale zarazem takie, z któremi nie wolno liczyć się badaczowi naukowemu, nawet polskiemu. Czy zresztą w danym wypadku zachodzi tu naprawdę kolizya między obu stanowiskami, o tem pozwoliłbym sobie wątpić. Mam przekonanie, że nawet polityczne życie bieżące odniesie stąd korzyść największą, jeśli naród o przeszłości swojej dowie się prawdy bezwzględnej, więc, czy mu przyjdzie uznać winę chociażby daleko sięgającą, czy też na odwrót stwierdzić, że zawinienie jego nie było tak wielkie, jak mu to pospolicie zarzucano. Byłoby źle, gdyby jedna czy druga z obu przeciwnych koncepcyj miała wpłynąć ujemnie na zdrowy instynkt narodu w poszukiwaniu i ustaleniu właściwej drogi rozwoju na przyszłość. I tak samo zgoła obojętnem ze stanowiska naukowego musiało być dla mnie poruszone z innej strony w pięknym frazesie pytanie, czy częściowe odciążenie Polski z zarzucanych jej win, usuwając jakoby odpowiedzialność narodu za jego czyny, da się pogodzić z jego godnością. Dodam zresztą, że zaszło tu ubolewania godne pomięszanie niektórych pojęć elementarnych. Co innego odpowiedzialność, tutaj: zdolność i konieczność odpowiadania za własne czyny, a co innego wina w danym wypadku rzeczywiście zachodząca. Można i należy w pełni uznawać zasadę odpowiedzialności; nie wynika stąd jednak koniecznie, żeby wszędzie wietrzyć winę. Może być wina zmniejszona czy usunięta, a pozostanie zasada odpowiedzialności i uratowana zostanie godność narodowa. Myślę zaś, że im mniejszą okaże się wina, tem lepiej też wyjdzie na tem sama godność narodu.

Na ogół, walka przeciwko wynikom mojej pracy zdaje się mieć źródło w tem, że dzięki dotychczasowemu stanowisku

literatury historycznej, zwłaszcza z ostatnich lat kilkudziesięciu, urobiliśmy sobie pogląd wysoce pesymistyczny na przeszłość naszą dziejową, przejęliśmy się do cna przeświadczeniem, że wina upadku Polski spada na nią samą — w całości. Przy takim nastroju, zapatrywanie odmienne, pogląd ten łagodzące, jakie objawiłem w mojej pracy, odbiegając zanadto od utartego szablonu, obudzić mogło podejrzenie, że na treść pracy tej nie ze wszystkiem złożyły się elementy naukowe. Zamiast ściśle i rzeczowo ocenić argumenty, i na tej dopiero podstawie osnuć wnioski polemiczne, poprzestano tedy na stwierdzeniu, że praca ta, do tyla różna od poglądów, jakie dotąd podawano do wierzenia, nie może być wypływem ściśle naukowych rozumowań. Zapytać tu trzeba: Czy dla tego, że stosunki nasze ustrojowe oceniano dotąd w sposób tak ujemny, nauce odmówić należy z góry prawa, na podstawie przedmiotowych, ściśle rzeczowych dociekań, rzucenia jaśniejszego na nie światła; i czy każdy badacz, który się na to odważy, ma być z góry narażony na posądzenie o brak naukowości? Myślę, że wobec pytania tego znaleźliby się w kłopocie nawet ci, bardzo jeszcze liczni, którzy, według trafnego wyrażenia się Haleckiego, w krytykowaniu przeszłości za wszelką cenę i pod każdym względem widzą szczyt prawdziwie naukowego ujęcia zagadnień dziejowych.

Broniąc w ten sposób stanowiska mego wobec tamtej grupy zarzutów, muszę z drugiej strony z osobnym naciskiem podkreślić zasadnicze, najgłębiej sięgające różnice, jakie zachodzą pomiędzy moim poglądem, a zapatrywaniami kilku pisarzy, którzy już po zjawieniu się mojej pracy ogłosili w ostatnich czasach nowe spostrzeżenia o istocie i duchu dziejów Polski. Mam na myśli przedewszystkiem znaną książkę Chołoniewskiego, a obok niej, po części przynajmniej, także odczyt prof. Kochanowskiego [1]. Zastrzeżenie to tem potrzebniej-

[1] Chołoniewski, Duch dziejów Polski; Kochanowski, Dwie rocznice, Rocz. Tow. Nauk. Warsz. IX. 1916. Może do tej grupy

sze, że pracę moją obok tamtych nie tylko próbowano zestawić w jednym rzędzie jako równorzędny objaw reakcyi przeciw poglądom dawniejszym, jak to uczynił prof. Chrzanowski, wymieniając ją obok odczytu Kochanowskiego; ale, co ważniejsza, że inny krytyk, prof. Kutrzeba, orzekł, jakoby twierdzenia Chołoniewskiego nie tylko znalazły poparcie w moich wywodach, i nie tylko równolegle z niemi się poruszały, ale nawet z wynikami jej pozostawały w pełnej zgodzie.

Nie mam zamiaru rozważać krytycznie zapatrywań tamtych autorów, ani tem mniej przesądzać, o ile szczegółowa dyskusya naukowa, w zasadzie bardzo pożądana, wykaże ich trafność. Biorąc rzeczy tak, jak się one w tej chwili w świetle obustronnych wywodów przedstawiają, wskażę tylko na zachodzące między niemi, najistotniejsze różnice. Według prof. Kochanowskiego dawniejsza Polska obdarzyła świat człowiekiem pełnym, jako źródłem potęgi nietracącego wśród klęsk najcięższych mocy swej — narodu, wytworzyła typ dziejowy, który jest na skali idealizmu typem najwyższym, ucieleśniła osobną w dziejach Europy, a wręcz wyjątkową kulturę wolności wewnętrznej człowieka; stworzyła moralne państwo, oparte nie na przemocy względem obcych czy swoich, tylko na dobrej woli zrzeszonych samorzutnie jednostek — i przez to o całe wieki wyprzedziła inne państwa. Do czego dodaje autor takie tylko zastrzeżenie, że całą tę ideę Polska rozwinęła kosztem siły zbiorowości państwa i społeczeństwa, i to właśnie stanowi jej winę. Bez takich nawet zastrzeżeń, znowuż przedewszystkiem uwzględniając stosunki ustrojowe, charakteryzuje w podobny sposób przeszłość Polski Chołoniewski. I jego zdaniem Polska wyprzedziła świat, stwarzając najwyższy idealnie, bo najlepszy moralnie typ historyczny, dając początek wielu ideom i zasadom, które dziś dopiero budzą się do życia

zaliczyć też należy Siemieńskiego List do Redakcyi, Themis pol. 1918, 571 n., który zgłasza do poglądów Chołoniewskiego częściowy akces, a nawet co do pewnych zapatrywań zastrzega sobie prawo pierwszeństwa autorskiego.

u innych narodów; o ile nawet przeszłości jej dadzą się wytknąć pewne błędy czy grzechy, przedstawiają one znaczenie zupełnie podrzędne. Z tem zestawić trzeba główną treść moich wywodów, które conajwyżej w tym czy owym szczególe podkreślają pewne, samej tylko Polsce właściwe, dodatnie znamiona jej urządzeń ustrojowych; pozatem zaś starają się wykazać tylko, że znaczna część innych urządzeń, jakkolwiek zasadniczo nie można im oszczędzić krytyki ujemnej, czasem daleko sięgającej, nie była odmienną czy gorszą, aniżeli współczesne urządzenia zachodnich państw europejskich. Na tej zasadzie sformułowałem nawet twierdzenie, że na ogół ustrój Polski był p r z e c i ę t n y m u s t r o j e m ówczesnego państwa zachodnio-europejskiego. Między obustronnem naszem stanowiskiem leży tedy p r z e p a ś ć c a ł a. Radowałbym się szczerze, gdyby zasadnicza, szczegółowa dyskusya naukowa wykazała słuszność poglądu, po tamtej stronie wypowiedzianego, i pospieszyłbym pierwszy poddać własne swoje wywody stosownej rektyfikacyi. Na razie jednak mogę przyjąć odpowiedzialność naukową za to tylko, co stwierdziłem w mojej pracy; i dla tego z a s t r z e c s i ę m u s z ę z n a c i s k i e m p r z e c i w u t o ż s a m i a n i u j e j w y n i k ó w z t a m t y m i p o g l ą d a m i. Osobną zaś przytem wyrażam wdzięczność prof. Zakrzewskiemu, że różnicę tę trafnie dostrzegł i wyraźnie podkreślił, przestrzegając przed doszukiwaniem się jakiegoś ściślejszego związku naukowego między obustronnemi pracami.

Z innego natomiast względu skierowuje prof. Zakrzewski nowy zarzut przeciwko mnie: że oto między dawniejszą moją pracą o Konstytucyi Trzeciego Maja, napisaną »w skrajnie pesymistycznym duchu«, powtórzoną w niezmienionem drugiem wydaniu jeszcze r. 1907, a teraźniejszą pracą o zagadnieniach ustrojowych Polski zachodzą daleko sięgające sprzeczności. Dla czego praca o Konstytucyi w wydaniu drugiem ukazała się bez zmiany, objaśniłem już poprzednio przyczynami czysto zewnętrznego znaczenia. Co do skrajnie pesy-

mistycznego ducha, jaki z niej ma przebijać, przypuszczam, że krytyk nie odnosi tego spostrzeżenia do głównej części tej pracy, rozpatrującej znaczenie reform doby Stanisławowskiej, a przedewszystkiem konstytucyi samej; właśnie bowiem już i tam, w zupełnej zresztą zgodzie z tem, co mi przyszło teraz powtórzyć, omówiłem wszechstronnie dodatnie znaczenie tych gruntownych reform in capite et in membris. Zapewne więc szczegół o skrajnie pesymistycznym poglądzie moim dawniejszym odnosi się do tego obrazu stosunków, jaki dla podmalowania tła, mając na oku ocenę reform doby Stanisławowskiej, nakreśliłem w wstępnej części pracy o Konstytucyi odnośnie do czasów, dobę tę bezpośrednio wyprzedzających. Przy takiem zacieśnieniu rzeczy mogę w pewnej mierze przyjąć zarzut prof. Zakrzewskiego; w istocie bowiem dzisiejsze moje poglądy odbiegają w niektórych szczegółach od dawniejszych. Dodam jednak zaraz, że praca o Konstytucyi pisana była jeszcze r. 1891, t. j. przed laty bezmała trzydziestu; czy potrzeba wobec tego usprawiedliwiać, że taka częściowa zmiana okazała się teraz konieczną? Byłoby to przejawem jakiegoś osobliwego zacietrzewienia czy zaskrzepnięcia w ustalonych raz formułkach, gdybym, nie licząc się z postępem nauki w ciągu tak długiego czasu, i nie bacząc na to, w czem własne dalsze dociekania rozszerzyły mój widnokrąg patrzenia, nie miał o tych sprawach nic nowego, chociażby zresztą odmiennego, do powiedzenia, upierając się bezwzględnie przy dawniejszych zapatrywaniach. Otwarcie też, ogłaszając drugie wydanie pracy o Konstytucyi, zastrzegłem się, że niektóre jej poglądy wymagają odmiennego oświetlenia; i niemniej też otwarcie na wstępie mojej pracy o zagadnieniach ustrojowych zaznaczyłem, że stosownie do jej wywodów sprostować należy niektóre moje poglądy dawniejsze.

Ale tych sprostowań nie będzie znowuż tak wiele, i nie będą one sięgały tak głęboko, jak zdaje się przyjmować prof. Zakrzewski. Przyczyna nieporozumienia tkwi w dwu momentach. Najpierw w tym, że krytyk, na podobieństwo innych, zdaje

się mnie posądzać o dążności apologetyczne, wobec których dawniejsza moja ocena ujemna stawałaby oczywiście w jaskrawej sprzeczności; gdy tymczasem także i moja praca późniejsza nie zakrywa ujemnych stron dawniejszych stosunków ustrojowych Polski. A powtóre w tym, że praca o Konstytucyi nie była pisana ze stanowiska porównawczego, jeno zajęła się krytyką naszych urządzeń ze względu na samą ich wartość wewnętrzną; gdy natomiast praca o zagadnieniach ustrojowych założyła sobie za cel ocenić wartość instytucyj polskich na tle porównawczem, zatem ich wartość względną, która nieraz przedstawiać się musi odmiennie aniżeli wartość bezwzględna. A i ta ostatnia praca, sięgając nieraz do sądów w oderwaniu, nie oszczędziła urządzeniom naszym ujemnej, czy nawet dosadnie potępiającej krytyki.

W świetle tych uwag ogólnych, przy dodatkowem jeszcze uwzględnieniu niektórych, poprzednio tu już omówionych uzupełnień, dadzą się łatwo zestosunkować zgodności i rozbieżności obu prac. Stosunkowo najgruntowniejszej zmiany wymagać będzie dawniejszy mój sąd o ujemnych stronach decentralizacyi sejmikowej, pisany jeszcze w całości pod wpływem poglądów Pawińskiego, sprostowany obecnie w znacznej mierze przez uwzględnienie analogicznych instytucyj czeskich i węgierskich, których działalność zaznaczyła się dodatnimi wynikami. Znacznie złagodzić trzeba będzie także poprzedni mój sąd o krępującym wpływie instrukcyj sejmikowych. Sprostujemy wreszcie dawniejsze twierdzenie, jakoby przyznane obywatelom głównych miast polskich prawo nabywania dóbr ziemskich nie miało szerszego znaczenia; w myśl wywodów, zawartych w pracy o zagadnieniach ustrojowych, uznać trzeba będzie, że stępiło ono w znacznej mierze ostrze statutu z 1496. Nie dostrzegam, żeby poza kilku temi poprawkami, jakie tamże przeprowadziłem, zachodziła możność stwierdzenia jakichkolwiek innych różnic istotniejszych. Za to znajdzie się jeszcze szereg uzupełnień, na które poprzednio nie zwróciłem uwagi, dla oceny wartości urządzeń naszych znaczenia przeważnie

dodatniego. Dawniejszy obraz sejmowania uzupełnimy spostrzeżeniem, że w Polsce urzeczywistniono rychlej, niż gdzieindziej na kontynencie, zasadę organicznego połączenia funkcyi monarchicznej z przedstawicielstwem stanów; jak niemniej, że Polska w sejmie swoim posiadała centralny organ ustawodawczy, na jaki nie zdobyły się współcześnie niektóre inne państwa. O konfederacyach stwierdzić trzeba będzie dodatkowo, że jako czynnik, zwracający się przeciw prawidłowej władzy rządowej, nie zdobyły sobie uznania w dziedzinie prawa. Nie bez znaczenia zapewne będzie oświetlenie pytania, dla czego Polska, podobnie jak wiele innych państw ówczesnych, nie mogła rozwinąć na szersze rozmiary niższej swojej organizacyi urzędniczej. Pouczającem oświetleniem porównawczem występujących u nas częściowo przejawów anarchii społecznej staną się może uwagi o anarchii z góry, właściwej urządzeniom współczesnych państw absolutnych; to zaś, co się udało stwierdzić co do przyczyn żywiołowej u nas obawy absolutum dominium, starczy przynajmniej za objaśnienie rzeczy ze stanowiska psychologii narodowej. Pozatem wszystkie dawniejsze moje, w nowszej pracy wielokrotnie przypomniane sądy ujemne o naszych instytucyach, więc o poddaństwie i ograniczeniach samorządu miejskiego, o częściowem upośledzeniu innowierców, o niedomaganiach sejmowania, a zwłaszcza o liberum veto i zrywaniu sejmów, o sejmikach, konfederacyach, zasadzie elekcyjności i paktach konwentach, o defektach władzy królewskiej, o wadliwej organizacyi rządu, można będzie utrzymać; trzeba będzie tylko, w ślad wywodów porównawczych, którymi przedewszystkiem zajęła się moja praca nowsza, dodać, że w dość szerokiej mierze takież same niedomagania istniały współcześnie także gdzieindziej, że w tym czy owym względzie występowały tam nawet w kształcie bardziej uwypuklonym. Jak z zestawienia tego widać, różnica między poglądami obu moich prac bynajmniej nie sięga tak daleko, jak zdaje się przyjmować prof. Zakrzewski.

Inny zarzut sprzeczności, jaki mnie spotkał w okoliczno-

ściowej uwadze Bartoszewicza [1], to ten, jakobym obecnie zwalczał te same poglądy szkoły historycznej krakowskiej, których broniłem dawniej, w polemice przeciw Korzonowi na drugim Zjeździe historyków polskich r. 1890. Nie mam zamiaru wznawiać poruszonej w tejże polemice kwestyi, czy istnieją zasadne podstawy do wyróżnienia pewnej, do niedawna działającej grupy historyków krakowskich w osobną szkołę [2]; przyjmuję tu z góry, dla uproszczenia wywodów dalszych, pojęcie i nomenklaturę »szkoły krakowskiej«, jak one ustaliły się w dość pospolitem użyciu od dłuższego już czasu. Zwrócę natomiast uwagę przedewszystkiem na to, że w samem nawet gronie przedstawicieli t. z. szkoły krakowskiej nie ustalił się bynajmniej jednolity kanon poglądów na przyczyny upadku Polski. Większa ich część, jak Bobrzyński, Smolka, Kalinka w pracach późniejszego okresu, podkreślają, jako moment rozstrzygający, niedomaganie ustrojowe: brak silnego rządu, ten ostatni przydając tu jeszcze motyw psychologiczny: brak zmysłu posłuszeństwa. Zbliża się do nich zaliczany pospolicie do tej szkoły Spasowicz, kładąc nacisk na »wstręt do władzy osobistej na długo w jednej osobieześrodkowanej« oraz na rozbicie jednolitości skutkiem zdecentralizowanej organizacyi sejmikowej. Za to przodownik i twórca t. z. szkoły krakowskiej, Szujski, nie zwraca bliższej uwagi na defekty ustrojowe Polski; ogarniając zagadnienie z szerszego jeszcze stanowiska, dopatruje się on przyczyn upadku w młodszości naszego cywilizacyjnego rozwoju, w naszem złem położeniu i otoczeniu geograficznem, w rozprzestrzenieniu się naszem ku wschodnim, rozległym litewsko-ruskim przestrzeniom, które dokonało się kosztem wewnętrznej spoistości Polski, wreszcie zaś w braku politycznego rozumu.

Ważniejsza rzecz inna. Pogląd, że przyczyny upadku tkwią w nas samych, przedewszystkiem w naszych urządze-

---

[1] Bartoszewicz, w fejletonie o Tadeuszu Korzonie, Nowa Refor. 1918; numeru przez niedopatrzenie nie zanotowałem.

[2] Por. Pamiętnik II Zjazdu histor. pol. II. 146.

niach ustrojowych, urodził się i głoszony był dawno przedtem, zanim powstała t. z. szkoła krakowska; a od czasu, kiedy zjawiły się jej doktryny, podtrzymywany był przez niejednego badacza, który wobec niej bądź to stał na uboczu, bądź nawet przeciwstawiał się jej świadomie. Zanim jeszcze na ogół zajęła się tem zagadnieniem historyografia w znaczeniu właściwem, zwrócili na nie uwagę, już pod koniec XVIII w., statyści czy filozofowie zagraniczni[1]. Wolter głosił, że zgubił nas brak tolerancyi wyznaniowej, a Rousseau, że zawiniliśmy uciemiężeniem chłopa. Zbliżone do tego ostatniego pisarza stanowisko zajął nasz Staszic, według którego poddaństwo sprowadziło na Polskę więcej złego, aniżeli wszyscy nieprzyjaciele razem wzięci. Z historyków wnet potem Lelewel do innej, co prawda, przyczyny, aniżeli późniejsi przedstawiciele t. z. szkoły krakowskiej, w każdym jednak razie znowuż do przyczyny ustrojowej odniósł upadek naszej państwowości; zdaniem jego Polska nie dla tego straciła byt niepodległy, że podkopała znaczenie władzy monarszej, jeno dla tego, że rozwinąwszy program urządzeń wolnościowych, zamknęła je w kole jednej tylko, szlacheckiej warstwy, i nie poniósłszy ich dalej, na stany niższe, program ten doszczętnie wypaczyła. I znowuż w czasie, kiedy działała już t. z. szkoła krakowska, Lewicki, odnoszący się dość chłodno do jej doktryn, mając mówić o przyczynach upadku, podkreśla przecież w ich szeregu zły kształt rządu i upośledzenie prawne miast. Wreszcie Rembowski, zaliczający się do obozu, który zwalczał t. z. szkołę krakowską, znowuż zasadniczym defektem ustrojowym tłómaczy nasz upadek. Wychodzi on z założenia, że dawny ustrój Polski był ostatnią konsekwencyą konstytucyj stanowych zachodnio-europejskich, które swego czasu miały dużo zalet, ale później ujawniły mnó-

[1] O dawniejszych jeszcze analogicznych poglądach XVI—XVIII wieku, por. obecnie Kot. Rzeczpospolita polska w literaturze politycznej Zachodu, Kraków 1919.

stwo wad i niedostatków, ustępujących zwolna na Zachodzie pod wpływem absolutyzmu oświeconego. W Polsce nie rozwinął się taki absolutyzm, a monarchizm elekcyjny dopomógł do zwyrodnienia żywiołu stanowego w ustroju państwowym; konstytucya stanowa, i to właśnie w takim zwyrodniałym kształcie, utrzymała się w Polsce za długo, co też pociągnęło najzgubniejsze skutki dla jej państwowości. Nie mówić o historykach obcych, z których jedni, jak Sołowiew, kładą główny nacisk na wadliwe urządzenie sprawy dyssydenckiej, inni, jak Kariejew na ucisk poddańczy, inni wreszcie, jak Hüppe, na zwyrodnienie całości naszych urządzeń ustrojowych.

Nie ma tedy na ogół dostatecznej podstawy, żeby pracę moją poczytać za skierowaną wyłącznie tylko przeciw t. z. szkole krakowskiej; zwraca się ona wprawdzie między innemi także i przeciwko niej, ale nie zwraca się przeciwko niej wyłącznie: zwalcza poglądy wypowiedziane także z innych stron, niezależnie od tego, do jakiej grupy zaliczali się ich autorowie. Popełniają tedy błąd nawet ci z pośród krytyków, którym praca moja przemówiła do przekonania, jak Eses, jeżeli twierdzą, że przyniosła ona bankructwo szkole krakowskiej; jeżeli wywody jej zasadne, to trzeba je będzie zwrócić przeciwko wszystkim poglądom, uznającym niedomagania ustrojowe za przyczynę upadku Polski, niezależnie od tego, skąd te poglądy wychodzą.

Gdyby wszelako przypuścić nawet, że praca ta kierowała się wyłącznie tylko przeciw t. z. szkole krakowskiej, to i wtedy jeszcze zarzut Bartoszewicza, jakobym przez to popadł w sprzeczność z dawniejszą rzekomą obroną jej poglądów na Zjeździe historycznym, nie dałby się utrzymać. Jak w wielu innych, analogicznych wypadkach, ujawnionych w toku polemiki niniejszej, okazało się i tutaj, że krytyk bardzo niedokładnie zapoznał się z treścią poddanych krytyce wywodów. Uwagi moje, wygłoszone na Zjeździe historycznym, były odpowiedzią

na referat Korzona [1], który obwinił t. z. szkołę krakowską o rozbieżność sądów, ujawnioną między różnymi autorami w poglądach na te same wypadki i zjawiska dziejowe, jak niemniej o subjektywizm w ocenie ich znaczenia. W polemice mojej przeciw Korzonowi [2] zwróciłem wobec tego uwagę na to, że jednolity, ściśle ustalony sąd historyczny jest oczywiście postulatem dziejopisarstwa w jego najdoskonalszym, idealnym kształcie; że jednak do takiego wyniku dochodzimy niejednokrotnie dopiero po różnych wahaniach i próbach, podejmowanych w tym czy owym kierunku, przyczem poważną rolę odgrywa tu niełatwo usunąć się dający indywidualizm badacza, rodzący pewne subjektywne poglądy, a w ślad za tem, pomiędzy kilku, ten sam przedmiot rozpatrującymi badaczami, rozbieżność sądów. Dopiero dalsze dociekania wykażą błąd jednej czy drugiej strony, prowadząc ostatecznie do ustalenia prawdy bezwzględnej. Pozatem, co do niektórych stwierdzonych u przedstawicieli tej szkoły błędów faktycznych, n. p. co do daty urodzin Ottona III, zaznaczyłem przeciw Korzonowi jeszcze tylko tyle, że oczywiście jest to rzecz ubolewania godna i niepożądana, jeżeli się takie błędy przydarzą; że jednak tego rodzaju usterki spotkać można od czasu do czasu u najsumienniejszego nawet badacza, co jednak nie wystarcza, żeby rzucać za to kamieniem potępienia na całą grupę wielce skądinąd zasłużonych pracowników naukowych. Tyle było obrony t. z. szkoły krakowskiej w mojem przemówieniu. Mógłbym ją był wypowiedzieć odnośnie do jakiejkolwiek innej szkoły czy innego z osobna badacza, niezależnie od tego, co przyszłoby mi sądzić o samej treści ich poglądów zasadniczych; gdyż zarzuty Korzona obracały się tu około ogólnych kwestyj techniki czy metodyki badań, i były z rzędu tych, które nie ograniczają się wyłącznie do jednej tylko szkoły. Nie broniłem nato-

[1] Korzon, Błędy historyogr. naszej w budowaniu dziejów Pol., Pamięt. II Zjazdu histor. pol. I nr. 11.

[2] Ibid. II. 143 n.

miast jakiegokolwiek poglądu rzeczowego t. z. szkoły krakowskiej. Zaczem zarówno wtedy, jak zresztą kiedykolwiek później miałem prawo przeciw poglądom tym wystąpić bez narażenia się na zarzut sprzeczności — zupełnie niezasadny.

Nawet polemika moja przeciw wnioskowi Korzona, żeby Zjazd potępił maksymę: historia est magistra vitae, nie da się pojąć jako próba bronienia t. z. szkoły krakowskiej przed zarzutami z wielu stron podnoszonymi, że naginają prawdę historyczną do pewnych wytkniętych sobie teraźniejszych celów politycznych. Zarzut taki, jak się zdaje, miał Korzon rzeczywiście na myśli, ale myśl tę w wypadku niniejszym sformułował niefortunnie; z jego stanowiska należało chyba żądać potępienia maksymy, ujętej w formułę wprost odwrotną: vita est magistra historiae. Na taką uchwałę, warującą dostojeństwo naukowe historyi, byłbym się oczywiście zgodził w zupełności, a niewątpliwie także Zjazd cały; ale niepodobna było potępić zasady, że historya jest mistrzynią życia. Bo nie ubliża jej to w niczem, ani nie wpływa ujemnie na jej charakter czysto naukowy, jeżeli z prawd, ustalonych przez nią na podstawie ścisłego, ubocznymi względami nieskrępowanego badania, skorzysta także życie teraźniejsze: podobnie, jak nie ucierpi naukowość chemii czy mechaniki, jeżeli odkrycia i wynalazki przez nie dokonane znajdą potem zastosowanie w życiu praktycznem. Że zresztą broniąc tej maksymy, szedłem tu po linii zasad, wyznawanych naprawdę przez samego Korzona, na to jest dowód autentyczny; bo przecież nie kto inny, tylko on sam, ukończywszy pomnikowe swoje dzieło o wewnętrznych dziejach Polski doby Stanisławowskiej, zagaił jego »Zamknięcie« następującym dosłownie zwrotem: »mogę więc złożyć pióro, przekazując otrzymane wyniki do użytku historykom, politykom i publicystom«[1].

[1] Korzon, Wewn. dzieje Pol. za Stan. Aug. IV_2 623.

Zamknę niniejszą grupę uwag dwoma jeszcze krótkiemi spostrzeżeniami. Usposobiony życzliwie wobec mojej pracy krytyk, Eses, rzucił twierdzenie, że wytknęła ona nowy szlak badaniom naszym historycznym, że od niej trzeba będzie rozpocząć nowy okres w rozwoju historyografii naszej. Przeciwko tej nad wyraz pochlebnej, ale przesadnie dodatniej ocenie pragnę założyć stanowcze zastrzeżenie. Metodycznie praca moja oparła się na zestawieniu porównawczem urządzeń naszych ustrojowych z innemi współczesnemi; że zaś tego rodzaju zestawienia odnośnie do jakichkolwiek grup zjawisk przeprowadzane były już niejednokrotnie zarówno w obcej jak i naszej dawniejszej literaturze historycznej, więc nie można twierdzić, żeby wytknęła jakieś nowe szlaki badania naukowego. Rzeczowo zaś praca ta stoi w najściślejszym związku i zależności do całego szeregu prac dawniejszych, objaśniających upadek Polski jej defektami ustrojowymi, i stara się wykazać ich niezasadność. W takiej wzajemnej zależności przedstawia ona charakter i kierunek wybitnie ujemny. W miejsce tego, co usuwa, nie stwarza jeszcze nic dodatniego, jakiejś nowej konstrukcyi czy syntezy dziejowej; nie można jej tedy poczytać za zapoczątkowanie jakiegoś nowego zwrotu w historyografii naszej. Słusznie w wyraźnej, osobno podkreślonej uwadze zastrzega się przeciwko temu przecenieniu mojej pracy prof. Zakrzewski; w zupełnej zgodzie z nim pod tym względem, zaznaczę, że przywiązuję do niej jedynie znaczenie skromnego przyczynku naukowego. Zasadnem w całości jest także osobne zastrzeżenie prof. Chrzanowskiego przeciwko innemu, również zbyt dla mnie pochlebnemu twierdzeniu, jakie o pracy tej wypowiedział okolicznościowo Balasits[1], jakoby pojawienie się jej stało się zdarzeniem politycznem. Pisałem zresztą tę rzecz wyłącznie dla celów naukowych; nie mogę tedy przywiązywać znaczenia do następstw politycznych, gdyby

[1] Rok Polski, 1917.

one nawet mogły być wywołane jej ukazaniem się. Będę też miał pełne zadośćuczynienie, jeśli się ona pod jakimkolwiek względem okaże użyteczną dla nauki samej.

V.

»Z zagadnień ustrojowych Polski« — takim tytułem opatrzyłem moją pracę, wskazując z góry, co ma być przedmiotem jej rozpatrywania. I zapowiedzi tej pozostałem wiernym, poświęcilem bowiem wywody moje prawie że w całości omówieniu stosunków ustrojowych. Dopiero na niecałych trzech ostatnich stronicach, nawiązując do uzyskanego wyniku, że niedomagania ustrojowe nie dadzą się poczytać za przyczynę upadku Polski, zwróciłem okolicznościowo uwagę na kilka innych, pozaustrojowych przyczyn upadku, jak je przyjmowano w dotychczasowej literaturze historycznej; a stwierdziwszy po krótce, że także i co do nich bądź to nie ma zgody między samymi badaczami, bądź też, że nie dadzą się one uzasadnić rzeczowo, rzuciłem pytanie: »I nie można przesądzać, czy nie zbliża się chwila, w której ... trzeba będzie ... sięgnąć po odpowiedź ... że właściwą, rozstrzygającą przyczyną upadku naszej państwowości, istotną causa efficiens tego zdarzenia jest: pożądliwość złączonych, więc przemożnych, na zgubę Polski sprzysiężonych sąsiadów«.

Cała burza protestów zerwała się przeciw temu ustępowi. Wyrozumiano go jako twierdzenie apodyktyczne, rozwiązujące stanowczo całość zagadnienia przyczyn upadku; uznano nawet, jakoby okolicznościowe moje wzmianki o tych kilku pozaustrojowych przyczynach zmierzały do przeprowadzenia ich rozbioru naukowego, celem uzasadnienia rzekomej, jakoby ostatecznie już ustalonej tezy końcowej. Prof. Estreicher, choć w jednem miejscu swego artykułu wyraża się oględniej, iż »zdaję się« z wywodów moich wysnuwać ową tezę, w dalszym ciągu zastrzega się już stanowczo przeciwko niej, jakoby w pełni przezemnie przyjętej, choć jeszcze »z pewnem niejako

wahaniem« wypowiedzianej. Nawet prof. Chrzanowski, który w pierwszym z swoich artykułów przyznał mi, że nie wykraczam nigdzie poza obręb mojej specyalności (zagadnienia ustrojowe), w późniejszym liczy się z ową tezą, jakoby stanowczo już w rozumieniu mojem ustaloną i przeciwstawia mi szereg zarzutów, które ją obalać mają. W przeważnej części takiż sam pogląd podsuwają mi z góry także inni krytycy, nie zastanawiając się nawet nad pytaniem, czy takie ujęcie rzeczy jest zasadnem. Najdokładniej określa tu swoje stanowisko prof. Zakrzewski. Mimo trafne na czele spostrzeżenie, że zamierzyłem rozprawić się tylko z tymi, którzy w wadach ustroju widzą główną i istotną przyczynę upadku Polski, wnet potem zarzuca mi sprzeczność, jeśli po rozpatrzeniu tego jednego tylko szczegółowego pytania wysnuwam wniosek o całości przyczyn upadku; a wyraźniej jeszcze, na dalszym miejscu, zapytuje, jak można za pomocą klucza ustrojowego rozstrzygać o całości tych przyczyn, i stwierdza, że tego rodzaju historyografia ustroju, próbując jednostronnie i decydująco, czysto ustrojowo, sądzić o całej przeszłości, zawodzi, bo zawieść musi. Stąd jego koncepcya jakoby chorobliwego w teraźniejszej literaturze historycznej objawu »ideologii ustrojowej« i jej »przerostu« w stosunku do innych stron dziejów Polski; stąd jego zastrzeżenie, że od historyi ustroju daleka droga do ogólnej syntezy przyczyn upadku naszej państwowości. Jednem słowem — zdaniem krytyka — historyografia ustroju stanęła u krytycznego punktu, wymagającego ponownej rewizyi, ile że »historya ustroju Polski nie jest historyą Polski«.

W oderwaniu — owo zastrzeżenie teoretyczne prof. Zakrzewskiego jest oczywiście zupełnie zasadne. Ale tkwi w tem błąd gruntowny [1], jeżeli ostrze ich zwraca się przeciwko mojej pracy. Osobliwem, zgoła nieoczekiwanem jest tu już samo posądzenie mnie, jakobym w kilku dorywczych, ledwie naszki-

[1] Na co trafnie zwraca teraz uwagę Mejbaum, Ideologia historyczna, Rok Pol. 1919, 88 n.

cowanych, zgoła niewyczerpujących uwagach chciał rozstrzygać o tak obszernem i złożonem, a zarazem tyle ważnem zagadnieniu, jakiem jest kwestya całości przyczyn upadku Polski. Ważniejsza rzecz inna: że to samo zastrzeżenie, jakie obecnie czyni prof. Zakrzewski, wypowiedziane zostało najwyraźniej już także przeze mnie samego w omawianej pracy. Zaznaczyłem przecież, że kwestya niedomagań ustrojowych, to tylko część wielkiego zagadnienia historyozoficznego co do przyczyn upadku państwowości polskiej, i że wynik mojej pracy, dotyczący tych niedomagań, wykazał bezzasadność jednej tylko z przesłanek poglądu, jakoby przyczynę upadku zawiniła sama Polska. Dodałem też wyraźnie, że wartości i zasadności innych przesłanek nie miałem zamiaru badać, i uzasadniłem też otwarcie takie moje stanowisko brakiem legitymacyi naukowej po temu.

Tych ścisłych granic, jakie zakreśliłem mojej pracy, trzymałem się też wszędzie w toku wywodów szczegółowych. Omawiając trudności, jakie ciągle powrotne wojny nastręczyły ustaleniu się ładu społecznego w Polsce, zaznaczyłem, że jeśli tych wojen nie udało się uniknąć, to można wprawdzie ubolewać nad niekorzystnem położeniem geograficznem państwa, czy też winić naszą dyplomacyę, że im zapobiec nie zdołała, czy wreszcie podnieść zarzuty przeciw gospodarce państwowej, że nie stworzyła podstaw do utrzymania znaczniejszej siły zbrojnej; ale nie można o to winić stosunków naszych ustrojowych, skoro przyczyny bezładu społecznego działały niezależnie od tego, co tkwiło w ramach ustroju Rzpltej. Omawiając sprawę uprzywilejowania szlachty, wykluczyłem wyraźnie pewną grupę zjawisk, leżących poza sferą ustrojową, a co do sprawy włościańskiej zaznaczyłem z góry, że ograniczę się do spostrzeżeń, wchodzących wyłącznie w dziedzinę zagadnień ustrojowych. Co do miast wreszcie stwierdziłem, że sprawa ich ekonomicznego upadku pozostanie dla nas ważnym tematem dociekań naukowych, którego jednak nie można rozwiązywać kluczem ustrojowym. Za każdym tedy razem, ilekroć

natknąłem na zagadnienie pozaustrojowe, usuwałem się rozmyślnie od jego rozpatrzenia, żeby nie przekroczyć granic mojej kompetencyi. Znaczy to oczywiście, że nie miałem zamiaru, i na ogół nie mogłem przesądzać o innych szczegółach c a ł e g o zagadnienia przyczyn upadku Polski, że zatem także i teza końcowa nie może być pojęta jako sąd stanowczy i rozstrzygający.

Wskazuje na to zresztą sama stylizacya tezy, nieujętej bynajmniej w kształt twierdzenia, jeno z a p y t a n i a, i to takiego, na które odpowiedź n i e j e s t p e w n ą. »I nie można przesądzać, czy nie zbliża się chwila...« i t. d. Tylko osobliwe fatum tej mojej pracy, która jak gdyby na to została napisaną, żeby krytyka, im surowsza, tem mniej zadała sobie trudu ścisłego ogarnięcia jej spostrzeżeń i myśli przewodnich, a w ślad za tem obarczyła ją bezlikiem zarzutów o winy niepopełnione, sprawić mogło, że i tutaj najwyraźniej sformułowana myśl została wypaczona. To, do czego w końcowych moich uwagach, i zamykającej je tezie zmierzałem, miało jedynie na celu pobudzić innych zawodowych znawców do rozpatrzenia niedotkniętych przezemnie szczegółów całego zagadnienia; przyczem, nie przesądzając bynajmniej ostatecznego wyniku, zwróciłem uwagę na pewne tylko zapowiedzi tymczasowe, że wynik ten może pójść po linii tego samego poglądu, jaki praca moja ustaliła co do stosunków ustrojowych.

Osobnego objaśnienia wymaga jeszcze użyty przezemnie w końcowej tezie zwrot o »przyczynie rozstrzygającej«, »causa efficiens« upadku Polski. Zaznaczona tamże możliwość, że w świetle wszechstronnych wywodów, jakie przeprowadzone zostaną co do całości zagadnienia, za przyczynę taką trzeba będzie uznać może pożądliwość sąsiadów i połączony z nią akt gwałtu rozbiorowego, spotkał się z góry z sprzeciwem wielu krytyków. Najdokładniej określił tu stanowisko swoje prof. Chrzanowski. Już w pierwszej z prac, poświęconej mojej rozprawie, zaznaczył, że była to ostatnia w łańcuchu przyczyn upadku naszej państwowości, że poprzedziły ją inne, z których

przynajmniej jedną, upadek oświaty i kultury, przypisać należy naszej własnej winie. Jeszcze ściślejszy i po części odmienny wywód poświęcił krytyk tej sprawie w drugim swoim artykule. Stwierdziwszy rzetelne, choć niezupełne odrodzenie Polski w dobie Stanisławowskiej, zaznacza, że jeśli na gruntowną jej przebudowę nie dozwoliły państwa sąsiadujące, i ostatecznie dokonały rozbiorów, to ta causa efficiens upadku, jako końcowe ogniwo w łańcuchu przyczyn, ma inną swoją wcześniejszą causa efficiens, którą w tym wypadku była słabość Polski. Rzucili się na nią sąsiedzi nie tylko z pożądliwości, ale dla tego przedewszystkiem, że nie miała ona siły do skutecznego oporu. Skąd zaś znowuż wzięła się niemoc Polski, na to pełną odpowiedź mogłaby dać dopiero historyozofia, socyologia, czy na ogół filozofia, gdyby była nauką ścisłą, do czego jeszcze daleko. Ze stanowiska rozumu czystego rzecz oceniając, stwierdza krytyk, że słabość tę sprowadziła Polska sama na siebie, że więc w tej pierwotnej przyczynie, w istotnej, najgłębszej causa efficiens tkwi własna wina Polski. W mniej ścisłych, ale rzeczowo takich samych określeniach tłómaczy tę rzecz znaczna część innych krytyków, n. p. Bogatyński, który stwierdza, że anarchia społeczna osłabiła, a nawet zabiła żywotność i twórczość państwa, i przez to wystawiła je na łup mocarstw ościennych; albo Kordyan, który sięga nawet do porównania dwu sąsiadów, gospodarnego i utratnego, tłómacząc jako rzecz naturalną, że gospodarny zagarnie utratnemu jego zagrodę, a posuwa się nawet tak daleko, że państwa rozbiorowe rozgrzesza z wszelkiej winy, uważając, że całkiem zasadnie skorzystały z naszej słabości i na ogół z popełnionych przez nas błędów.

Dla objaśnienia mojego stanowiska w tej sprawie zaznaczę przedewszystkiem, że jako »causa efficiens« pewnego zjawiska dziejowego uważam tę przyczynę, której ono jest b e z p o ś r e d n i e m następstwem; ostatecznie bowiem ona przedewszystkiem jest momentem, który wywołał zaistnienie tego zjawiska. W tem właśnie rozumieniu zestawiłem w tezie koń-

cowej, obok łacińskiego, określnik polski: »przyczyna rozstrzygająca«. Oczywiście, przyczyna owa, jako pewien fakt czy stan, ma znowuż inną dla siebie samej przyczynę wcześniejszą, która ów fakt czy stan bezpośrednio wywołała, zatem znowuż osobną causa efficiens. Idąc coraz dalej wstecz, znajdziemy dla każdej tego rodzaju przyczyny poprzedniej jakąś inną, przedtem jeszcze działającą, bezpośrednią przyczynę wcześniejszą. Łańcuchowy związek stopniowo warunkujących się przyczyn bezpośrednich, wobec zjawiska badanego zawsze już tylko pośrednich, o ile sięgać będziemy coraz dalej wstecz, jest, ściśle rzecz biorąc, nieskończony; albo, co właściwie wychodzi na jedno, prowadzi do jakiejś pierwotnej wszechprzyczyny wszystkich na ogół zjawisk życia ludzkiego czy nawet kosmicznego. Przy tego rodzaju badaniu wstecznych przyczyn pośrednich nasuwają się skutkiem tego niemałe trudności, o ile chodzi o ściśle określony, naukowy pogląd na istotę i charakter zjawiska, a zwłaszcza o uchwycenie właściwego wątka przyczynowości; w zasadzie wątek ten nawiązany zostanie zawsze tylko gdzieś w dalszym ciągu łańcucha, i, jak co do ostatniej bezpośredniej, tak co do jakiejkolwiek poprzedniej pośredniej, rodzić będzie stale powrotne pytanie co do innych, bardziej jeszcze wstecz cofniętych przyczyn. Nie chcę przez to zwalczać myśli rozpatrywania owych dalszych, pośrednich przyczyn; owszem, uważam takie badanie, o ile ono naukowo jest możliwe i pożyteczne, za rzecz pożądaną. Wszak sama praca moja, dotycząca stosunków ustrojowych, zajęła się rozpatrzeniem całego cyklu tego rodzaju przyczyn pośrednich. Od tego bowiem, jak je ocenimy, zależy dopiero odpowiedź na pytanie, co sądzić o żywotności państwa; kwestya zaś żywotności organizmu państwowego jest znowuż zagadnieniem pierwszorzędnie doniosłem, o ile chodzi o ustalenie bezpośrednich przyczyn upadku. Zaznaczę tylko, że w interesie nauki leży przedewszystkiem zestosunkowanie badanego zjawiska z jego przyczyną bezpośrednią, najbliższą; da się ono bowiem zazwyczaj przeprowadzić z pożądaną ścisłością, zatem w spo-

sobie, odpowiadającym naprawdę wymaganiom naukowym. Stąd nacisk, jaki położyłem na »causa efficiens« w określonem poprzednio znaczeniu.

W szeregu przyczyn bezpośrednich, które wpłynąć mogą na upadek państwowości, odliczając niektóre wyjątkowe, teoretycznie możliwe, choć praktycznie prawie bez znaczenia, n. p. dobrowolne rozwiązanie ustroju państwowego przez ludność miejscową, czy dobrowolne poddanie się pod obce panowanie, dostrzegam, w zwykłym toku rzeczy, przedewszystkiem dwie: wewnętrzny rozkład państwa czyli brak żywotności i zewnętrzny gwałt zaborcy czy rozbiorców, który może położyć kres chociażby nawet organizmowi państwowemu, posiadającemu pełną zdolność do życia. Możliwa jest zresztą jeszcze kombinacya obu rzeczy, wtedy mianowicie, kiedy na rozkładającem się i niezdolnem do dalszego bytowania państwie dokona gwałtu zaborca, uświęcając poniekąd sam fakt rozkładu i wyciągając zeń korzyści dla siebie. Wspominam o tej kombinacyi z osobna dla tego, że dość często używaną jest do oświetlenia upadku Polski: mocarstwa ościenne miały tu rozebrać między siebie organizm, który sam nie miał już warunków dalszego życia.

Stawiając zagadnienie na takiem stanowisku, określić zdołamy dokładniej, w jakim kierunku doszukiwać się należy momentu zawinienia upadku państwowości, o ile winę przypisać zechcemy samemu państwu upadającemu. Z dwu bezpośrednich przyczyn, jakie tu działać mogą, akt gwałtu czy przemocy rozbiorców trzeba będzie wyłączyć z rachuby; z istoty rzeczy bowiem nie może się w nich mieścić jakiekolwiek zawinienie samego państwa, które traci swój byt niezawisły. Moment winy da się tu odszukać conajwyżej w dziedzinie pojęciowej, objętej pierwszą z wymienionych przyczyn, t. j. w samym rozkładzie wewnętrznym państwowości, w jej niezdolności do dalszego życia; a to mianowicie w tym wypadku, gdyby się okazało, że sprawcą tego rozkładu jest państwo samo, czy też naród, który je zamieszkuje. Dostosowując rzecz

do Polski, będzie tedy można powiedzieć: jeżeli Rzeczpospolita w czasie rozbiorów była w istocie w tego rodzaju stanie rozkładu, który sam przez się, dla braku żywotności, uniemożliwiał jej dalszy byt, i jeżeli sama stan ten spowodowała, naówczas winę upadku trzeba będzie przypisać Polsce samej, a rozbiory będzie można jeżeli nie uniewinnić, to przynajmniej do pewnego stopnia usprawiedliwić czy wytłómaczyć jako akty zaboru, dokonanego na organizmie, który i tak już dalej istnieć nie mógł. O ile jednak miałoby się okazać na odwrót, że Polska, cokolwiek o jej ówczesnych niedomaganiach dałoby się powiedzieć, w chwili krytycznej była tworem żywotnym, do dalszego istnienia zdolnym, naówczas rozbiory nie znajdą usprawiedliwienia, a wina ich dokonania spadnie wyłącznie na państwa rozbiorowe, z usunięciem Polski samej; właściwą, rozstrzygającą »causa efficiens« stanie się tu pożądliwość i zła wola sąsiadów.

Pod takim kątem widzenia patrzyłem od dawna na zagadnienie upadku Polski. Jeszcze r. 1887, omawiając pomnikowe dzieło Korzona, zwróciłem szczególną uwagę na to, że odparło ono niezbicie insynuacye, dopatrujące się w rozbiorach Polski prostej tylko konieczności dziejowej, jaka się rzekomo spełniła nad zaumarłym, niezdolnym do dalszego życia organizmem polityczno-społecznym [1]. I znowuż r. 1891, pisząc o Konstytucyi majowej, zakończyłem rzecz spostrzeżeniem, że wobec niej, i wobec ogółu reform Stanisławowskiej doby, rozbiory przyszły za późno [2]: w tem oczywiście rozumieniu, że skutkiem odrodzenia Polski w tym czasie i wykazanej przez to żywotności nie dadzą się usprawiedliwić koniecznością dziejową. Na tem samem stanowisku stałem też konsekwentnie w pracy mojej o zagadnieniach ustrojowych, i kilkakrotnie też wyraźnie je określiłem i przypomniałem. Na jednem z miejsc postawiłem pytanie,

[1] Kwart. Hist. I. 696.
[2] Balzer, Konst. Trzec. Maja 80.

czy niedomagania nasze ustrojowe były tego rodzaju, że »przesądzały z góry o b r a k u ż y w o t n o ś c i organizmu Rzpltej; czy tedy w ślad za tem upadek Polski uważać trzeba za proste, naturalne i k o n i e c z n e n a s t ę p s t w o d z i e j o w e owego wadliwego ustroju«. A znowuż na innem miejscu, wyrażając tę samą myśl w odmiennych słowach, zapytuję: »czy w istocie ten ustrój Polski był taki zły i defektowny, tak wadliwie zbudowany, ż e n i e w y s t a r c z a ł d o z a p e w n i e n i a p a ń s t w u w a r u n k ó w ż y c i a, że więc w wadach tego ustroju tkwi główna, jeżeli nie wyłączna przyczyna tego upadku?« I żeby przypadkiem nie być źle zrozumianym, jeszcze przy tezie końcowej, na wypadek, gdyby ją potwierdzić miały badania nad pozaustrojowemi przyczynami upadku, dodałem objaśnienie, że »gdyby nie rozbiory, nie istniała ani k o n i e c z n o ś ć d z i e j o w a u p a d k u, ani też n i e b r a k ł o w a r u n k ó w p o t e m u, żeby Polska, przetworzywszy w stosownym czasie urządzenia swoje, na równi z innemi państwami, przetrwała razem z niemi, przez dalsze stulecia, jako organizm żyjący i — ż y w o t n y«. Stwierdziwszy zaś z mojej strony, że urządzenia nasze ustrojowe, lubo w niejednem wadliwe, przecież na ogół nie gorsze od urządzeń współczesnych państw europejskich, poczytywanych za żywotne, nie mogą być świadectwem braku żywotności Polski, zwłaszcza po najwidoczniejszem odrodzeniu w dobie Stanisławowskiej, a zarazem przyjmując możliwość podobnego wyniku co do zagadnienia pozaustrojowych przyczyn upadku, miałem chyba prawo, z zajętego przezemnie stanowiska, zapytać: czy nie zbliża się chwila, w której trzeba będzie stwierdzić, że nie Polska ponosi właściwą winę upadku, i że jedyną causa efficiens tego zdarzenia jest pożądliwość i gwałt mocarstw rozbiorowych.

Rozumiem, że można w ocenie tych zagadnień obrać inny punkt wyjścia, a w ślad za tem dojść do odmiennych, chociażby wprost sprzecznych z moimi wyników. Należałoby przecież oczekiwać, jeżeli już nie argumentów, wykazujących bezzasadność zajętego przezemnie stanowiska, to przynajmniej

zaznaczenia, że jest ono tu zgoła inne, że zatem tok rozumowania, wytyczony przez krytykę, posuwać się będzie po linii odmiennych kategoryj myślowych. Nie chcę się tu już odwoływać do tego, co się należy każdemu zapatrywaniu przeciwnemu: żeby, zwalczając je, uchwycić je wiernie i przedstawić dokładnie; zaznaczę tylko, że przez takie jasne wyróżnienie czy przeciwstawienie obustronnych stanowisk i wypływających stąd wniosków oświetlenie samej kwestyi zyskać może na ścisłości i dokładności. Nic z tego. Jedyni krytycy, o ile dostrzegłem, którzy uchwycili dokładnie rozwiniętą przezemnie myśl, to prof. Brückner, Eses, Mejbaum i Leonhard; a i ten ostatni adwersarz w toku dalszych wywodów sprowadza rzecz całą na manowce. Inni krytycy nie liczą się wcale z zajętem przezemnie stanowiskiem, i w dyskusyę, na zgoła innej zapoczątkowaną podstawie, z odmiennych wysnutą przesłanek, wprowadzają kryterya odmienne, treściowo innorodne, przeciwstawiając je moim wywodom; przez to zaś, zamiast oświetlić zagadnienie dokładniej, przyczyniają się tylko do jego zagmatwania. Uwaga ta odnosi się zwłaszcza do wytaczanego najczęściej kryteryum słabości ówczesnej Polski, militarnej, czy pozatem także skarbowej, gospodarczej i t. p., na ogół niemocy pod względem materyalnym, która w naturalnem następstwie pobudziła sąsiadów do dokonania rozbiorów i rozbiory ułatwiła; usprawiedliwiając w ten sposób ich akt zaborczy, obciąża się równocześnie winą samą Polskę, że do takiego stanu niemocy wewnętrznej dopuściła.

Stojąc ciągle na zajętem przezemnie stanowisku zasadniczem, zauważę wobec tego przedewszystkiem, że między zagadnieniem żywotności państwa a jego w danej chwili czy w danym okresie stanem osłabienia i brakiem odporności wobec gwałtów z zewnątrz wychodzących n i e m a z w i ą z k u k o n i e c z n e g o. Mogą istnieć państwa materyalnie, a zwłaszcza militarnie najpotężniejsze, przeżarte jednak do cna rdzą rozkładu, zatem pozbawione żywotności. Przykładów dostarczą tu, żeby nie sięgać w przeszłość, gdzie ich także nie brak, te-

raźniejsze losy Austryi i Rosyi. Wystarczyła wielka zawierucha wojenna, żeby obie monarchie, militarnie potężne, nie wyłączając kolosu rosyjskiego, którego lękała się przedtem cała Europa, rozpadły się w strzępy. A rozpadły się nie skutkiem zaboru sąsiadów, jeno dla braku żywotności, w jaką wtrąciły: Austryę chybiona doszczętnie struktura państwowa, obliczona na wyzyskiwanie podległych jej narodów na rzecz liczebnej mniejszości niemieckiej, a Rosyę bezmierny ucisk narodowościowy i despotyzm carski wraz z koniecznym odpowiednikiem: duchem anarchii w społeczeństwie. Na odwrót znowuż, nie brak państw, zdolnych w pełni do życia, w których dla jakichkolwiek przyczyn, czy to z dawniejszym rozwojem wypadków związanych, czy nawet przypadkowych, zapanują krótsze czy nawet dłuższe okresy osłabienia. Wątpię, czy rozglądając się w całości dziejów któregokolwiek narodu lub państwa, znaleźlibyśmy wiele takich, w których tego rodzaju stan niemocy nie dałby się wykazać, nieraz na dłuższej przestrzeni czasu; przypomnę tu n. p. Niemcy po wojnie trzydziestoletniej. Czy orzekniemy, że każde z takich państw znajduje się w krytycznym czasie w stanie rozkładu, usuwającym zdolność do dalszego życia i uprawniającym silniejszego sąsiada do zaboru? Wszak państwa te nieraz po przezwyciężeniu słabości rozwijają się w dalszym rzeczy toku najpomyślniej jako żywotne na wskroś organizmy, zatem takie, które nie straciły żywotności także w dobie krytycznej. A pozatem są państwa, które ze względu na dane z góry warunki, przedewszystkiem mały obszar terytoryalny, przedstawiają się, w zestosunkowaniu z innymi, potężniejszymi tworami państwowymi, jako słabe, mimo, że nie tylko pełną posiadają żywotność, ale nieraz, jak dziś Szwajcarya czy Belgia, kroczą pod niejednym względem na czele cywilizacyjnego pochodu ludzkości. Czy i tutaj usprawiedliwimy zabór lub rozbiór takich państw przez silniejszych materyalnie sąsiadów?

Nie wątpić, że z niektórych stron odpowiedź zarówno na to, jak i na poprzednie pytanie wypadnie twierdząco. Wszak

ostatnio jeszcze jeden z grupy badaczów, rozpatrujących przyczyny upadku Polski, wyraził zapatrywanie, że kwestya bytu i upadku państwa, to kwestya stosunku jego sił do sił sąsiadów, bo między państwami, jak między zwierzętami, ma prawo do życia tylko to, co zdoła się obronić; państwa, to organizmy żywe, które na siebie oddziaływują, cisną i wzajemnie się pożerają. Rozumiem, że tą formułką da się w wielu wypadkach wytłómaczyć sama historyczna geneza zdarzenia; nie inaczej przecież stało się z Polską samą: pożarły ją sąsiadujące z nią silniejsze zwierzęta. Ale jeżeli stanąć na stanowisku znacznej części krytyków, którzy nie poprzestają na samem stwierdzeniu faktycznego procesu rozbiorów, jeno rzucają jeszcze i z osobna podkreślają pytania dalsze: czy rozbiory były zdarzeniem dziejowo zasadnem, i kto ponosi tu winę, to takie wyłączne uwzględnienie brutalnego współczynnika materyalnego zgoła już nie wystarczy. Trzeba będzie jeszcze wziąć w rachubę momenty, poza dziedziną ściśle materyalną czynne, etyczne, czy na ogół moralne i duchowe, te same, i takie właśnie, które w odróżnieniu od szablonu biologii zwierząt nadają właściwe piętno ewolucyi dziejowej ludzkości czy poszczególnych jej odłamów. Gdyby miało być inaczej, trzeba będzie zamknąć księgę historyi i zacząć pisać — zoologię. W tym jednak razie i o winie zgoła już nie będzie można pisać.

Nie przeczę zresztą, że osłabienie wewnętrzne i brak dostatecznej odporności materyalnej wobec rozbiorców mógłby wskazać na konieczność dziejową upadku Polski, a zarazem przesądzić o jej winie, gdyby się udało stwierdzić, że stał w ścisłym związku przyczynowym z jej rozkładem wewnętrznym, z ujawnioną stanowczo jej niezdolnością do życia. Ponieważ jednak w tym wypadku moment niemocy byłby prostym tylko przejawem czy wypływem jej rozkładu, przeto nie byłoby i tutaj potrzeby odwoływać się z osobna do niego; wystarczyłoby proste stwierdzenie rozkładu samego. A gdyby nawet chcieć mówić o obu tych rzeczach

z osobna, należałoby conajmniej wykazać wewnętrzną, przyczynową ich łączność. Tego zadania nie podjęli się krytycy-pesymiści, nie zwróciwszy przeważnie uwagi na samo zagadnienie żywotności. Nie dostrzegam nawet, żeby rozpatrując moment osłabienia, wykazali w sposób przekonywujący, że wynikło ono naprawdę z winy Polski.

Nie mam zamiaru przesądzać tej sprawy, leżącej poza dziedziną moich badań zawodowych; pozwolę sobie przecież poddać pod rozwagę bardziej powołanych kilka należących tu luźnych spostrzeżeń czy zagadnień: Mniej więcej do połowy XVII stulecia siły Polski dopisywały przeciętnie jej potrzebom w stosunkach na zewnątrz; według Korzona data zgonu Władysława IV, to »koniec szczęśliwości Polski«. Odtąd poczyna się widoczny w różnych znamiennych przejawach stan osłabienia, na wewnątrz i zewnątrz, trwający do początków doby Stanisławowskiej, i to tak, że zrazu, mniej więcej do końca XVII w., nie występuje jeszcze jako zjawisko niezmiennie stałe, że mimo burzę kozacką i potop szwedzki nie przeszkadza zwycięstwom nad Moskwą czy Turkiem, zagrażającym Polsce, czy nawet, poza Polską — wiktoryi wiedeńskiej. Dopiero za czasów saskich, na przestrzeni lat sześćdziesięciu kilku, dochodzi do natężenia stosunkowo największego, przedewszystkiem w układzie wewnętrznych stosunków narodowego życia. Skąd się wziął, i dla czego właśnie ujawnił się wtedy? Może do częściowego przynajmniej objaśnienia tej rzeczy posłużą szczegóły, zestawione w innym związku w mojej pracy dawniejszej, że właśnie od schyłku pierwszej połowy XVII w. aż do późniejszych lat panowania Augusta II Polska nie wychodziła prawie z zawieruchy wojennej, że prowadzić musiała w tym czasie niezliczone wojny, moskiewskie, szwedzkie, brandenburskie, tureckie, wołoskie, kozackie, z krótkiemi, conajwyżej kilkuletniemi przerwami. Nasuwa się z góry przypuszczenie, że ten ustawiczny niemal, długotrwały stan wojenny, jak z jednej strony podważał ład społeczny, hamował kulturalną pracę, tak z drugiej mógł, czy nawet musiał osłabiać Polskę gospo-

darczo, skarbowo a przez to pośrednio także i militarnie. Byłoby rzeczą pouczającą, a zarazem naukowo pożądaną, żeby odnośnie do każdej z tych wojen zbadać, o ile możliwa, ściśle, to ich oddziaływanie na stosunki nasze wewnętrzne, na samą treść i prężność naszej siły narodowej. O ile odpowiedź, czy to co do całości zjawisk, czy jakiejś znaczniejszej ich grupy dałaby się tu uzyskać, należałoby znowuż rozważyć, czy te wojny nie były przedewszystkiem aktami obrony lub innego rodzaju koniecznością polityczną. Jeśli odpowiedź pytanie to potwierdzi, trudno będzie utrzymać zarzut winy ze względu na ujawnione skutkiem tych wypadków osłabienie, skoro ono było prostym wypływem tamtych, narzuconych Polsce konieczności dziejowych.

Idźmy dalej. Ogarnął tedy Rzpltę stan osłabienia, o którym może stwierdzić trzeba będzie, że był niezawiniony. Czy, w dalszym rzeczy toku, w dążeniu do odzyskania sił, miała ona pełną swobodę działania; czy nie natknęła na jakieś nieprzezwyciężone, niedające się usunąć przeszkody? Trzeba tu znowuż przypomnieć politykę dworów berlińskiego i petersburskiego, zwłaszcza tego ostatniego, stosowaną wobec Polski na całej niemal przestrzeni w. XVIII. Korzystając z jej słabości, jaka pod wpływem tamtych przyczyn tak jaskrawo już występuje w początkach tego stulecia, skrępowały one jej swobodę działania, z wytkniętym z góry celem, żeby tę jej niemoc doprowadzić do stanu skrzepnięcia, żeby zwłaszcza nie dopuścić do umocnienia się militarnego, a zarazem podtrzymać to, co w wewnętrznych urządzeniach Polski domagało się naprawy, i udaremnić z góry gruntowniejszą w tym kierunku reformę. Już na sejmie niemym z 1716/7 uchwała, ograniczająca ilość wojska do 24000, doszła do skutku pod przemożnym wpływem Rosyi, a od r. 1719 oba dwory wiążą się ze sobą szeregiem traktatów celem strzeżenia wolnej elekcyi i liberi veto w Polsce. Od r. 1748 posłowie rosyjscy w Warszawie stale już przestrzegają polityki, żeby każdą próbę reformy w zarodku stłumić. Nie inną, a raczej bardziej jeszcze intenzywną jest ona

przez cały czas panowania Stanisława Augusta; wszak już r. 1766 Rosya i Prusy zagroziły mu wojną na wypadek obalenia liberi veto. Nasuwa się otóż do rozważenia pytanie, czy ze względu na ten zastój w naprawie złego, a zwłaszcza nieukrzepienie odporności militarnej, wywołane przemożnym naciskiem ze strony sąsiadów, którego w danych warunkach nie sposób było usunąć, można Polsce przypisać winę, i to w sposób do tyla bezwzględny, jak się to nieraz czyni w naszej historyografii? Kiedy zaś wreszcie, w dobie Stanisławowskiej, mimo wszystkie te przeszkody, dokonał się samorzutnie proces poważnego przyrostu sił narodowych, uwieńczony dziełem reform czteroletniego sejmu, wraz z uchwałą o stutysięcznej armii, kiedy Polska podjęła wreszcie próbę zrzucenia z siebie przygniatających wpływów rosyjskich i wszechstronnego umocnienia się na wewnątrz, stało się, że wypadki te — przyspieszyły właśnie oba ostatnie rozbiory. Patrząc na tę rzecz pod kątem widzenia odpowiedzialności dziejowej, stajemy wobec osobliwego dylematu. Miałaż Polska, dla przedłużenia swego bytu państwowego, znosić dalej jarzmo ograniczeń ze strony Rosyi czy Prus, t. z. utrzymać w dalszym ciągu dawniejszy stan niemocy? Wtedy spotka ją znany zarzut zawinienia. Ale czy oszczędzi się go jej także wobec okoliczności, że przez podjętą akcyę wzmocnienia się wywołała ostateczną katastrofę? Znana kontrowersya między dwu do tyla poważnymi przedstawicielami nowszej naszej historyografii, Kalinką i Smoleńskim, niechaj uwidoczni trudność rozwiązania tego zagadnienia. Tak jak w przekonaniu pesymistów rzecz stoi obecnie, zda się, jak gdyby Polskę winić należało niezależnie od tego, czy w niemocy trwała, czy się z niej wyzwalała; i niewiadomo naprawdę, co ostatecznie miała uczynić, żeby ją nareszcie z wysokiego trójnoga krytyki dziejowej wspaniałomyślnie rozgrzeszyć raczono.

Oto kilka, niewyczerpujących rzeczy pytań z punktu widzenia odpowiedzialności dziejowej, które stanowić mogą wdzięczny przedmiot badania naszych historyków. Trzeba bę-

dzie podjąć próbę naukowego ustalenia tych rzeczy; powtarzamy — naukowego. O ile obwinienie miałoby być podtrzymane, trzeba będzie wykazać sam moment winy w sposób ścisły, rzeczowy i przekonywujący, łańcuchem koniecznych, przyczynowych związków łączący sąd z jego przesłankami, t. z. z zjawiskami, które niemoc Polski wywołały. Jeżeli taka ścisła przyczynowość wykazać się nie da, trzeba będzie cofnąć obwinienie. A gdyby nawet w wypadku tym, jak w wielu innych, nauka nie zdołała ogarnąć wszystkiego, co do wyświetlenia sprawy jest potrzebne, to i w takim razie obwinienia nie będzie można podtrzymać; bo wszelki sąd potępiający opierać się może tylko na podstawach niewątpliwych i niewzruszalnych. Nauka stwierdzi w takim razie, iż rzecz nie da się rozstrzygnąć, i pozostawi sąd — w zawieszeniu.

W świetle przeprowadzonego tu zestosunkowania obu kryteryów odnośnie do zagadnienia winy i przyczyn upadku, więc: momentu żywotności państwa, oraz jego faktycznej siły, okazuje się w sposób bardziej jeszcze jaskrawy, jak niezasadnie w dyskusyę niniejszą, przy ocenie odrodzenia Polski w ciągu kilkudziesięciu lat przed ostatnimi rozbiorami, wprowadzona została formułka: »za późno«. Bo gdyby nawet przyjąć, że odrodzenie to, w sprawie odporności na zewnątrz nie przyniosło jakichś poważniejszych wyników uchwytnych, że nie wpłynęło na usunięcie dawniejszej niemocy państwa, byłoby ono przecież samo przez się świadectwem żywotności ówczesnego naszego organizmu społeczno-państwowego. Organizm, który popadł w stan rozkładu wewnętrznego, nie byłby mógł doprowadzić do odrodzenia, jakiekolwiek zakreślilibyśmy mu granice. A cóż dopiero, skoro się okazało, że to odrodzenie usunęło rozmaite dawniejsze niedomagania ustrojowe, a zarazem, jak wykazali Korzon, czy ostatnio krakowscy prelegenci o przyczynach upadku Polski, do poważnego umocnienia sił w narodzie nie tylko w dziedzinie kulturalnej, ale zarazem na polu gospodarczem, skarbowem i militarnem doprowadziło!

Może obrane przezemnie kryteryum wyda się komu zanadto abstrakcyjnem; dla czcicieli brutalnej siły, jak Leonhard, jest ono oświetleniem kwestyi ze stanowiska »wyłącznie moralizującego«. Na to odpowiedzieć trzeba, że zagadnienie winy, o które tu rzecz idzie, jest w ostatecznej swojej koncepcyi zagadnieniem przedewszystkiem natury etycznej, w takim nawet wypadku, jeśli się je rozpatruje ze stanowiska politycznego; że przeto jedynie tylko za pomocą kryteryów równorodnych rozwiązanem być może. Właśnie też, jeżeli komu, to przedewszystkiem tym pisarzom nie wolno uchylać się od liczenia z taką konsekwencyą, którzy samo zagadnienie winy wytoczyli i sformułowali; sprowadziwszy rzecz na ów teren, muszą też dopuścić, żeby ją oświetlić należącemi do tej dziedziny kryteryami. Może znowuż, jak wskazałem we wstępie, zagadnienie to, nie bez słuszności pod pewnym kątem patrzenia, zaliczy się nie do historyi we właściwem tego słowa znaczeniu, jeno do historyozofii, czy socyologii, czy ostatecznie na ogół do filozofii. Cokolwiek o tem przyszłoby sądzić, znowuż stwierdzić trzeba będzie, że w dotychczasowej literaturze historycznej wysuwane ono było niejednokrotnie na miejsce naczelne, po tej mianowicie stronie, która za wszelką cenę potępić chciała Polskę, i usprawiedilwiając w całości, czy chociażby częściowo, sam akt gwałtu rozbiorowego, jako rodzaj konieczności dziejowej, twierdziła, że Polska w czasie upadku znajdowała się w stanie pełnego rozkładu, i zdolności do dalszego samodzielnego życia nie posiadała. Wszak jeszcze Hüppe, zwróciwszy główną uwagę na ustrój Polski, podkreślał rzekomą jego niezdolność do utrzymania żywotnego organizmu państwowego. Podobne stanowisko zajął także Brüggen. Kariejew uważał Polskę za »próchno, którego nie potrzeba było rozstrząsać, gdyż samo się rozpadało«. Z naszych pisarzy znalazł się w tem samem towarzystwie Spasowicz, który pytał, jak mógł żyć taki organizm? A jeszcze w toku dyskusyi, jaką wywołała moja praca, przypomniano kilkakrotnie te same poglądy. Dość wskazać na spostrzeżenia Leonharda i Diveky'ego. Pierwszy stwierdza

wprost, że w dobie rozbiorów istniały wystarczające zupełnie wewnętrzne powody upadku państwa; a drugi, określając rzecz jeszcze wyraźniej, wyraża zdanie, że polityka zaborcza sąsiadów byłaby niemożliwością wobec zdrowego państwa, i że »przegniłe od wewnątrz drzewo bodaj czy już potrzebowało uderzenia siekierą«. Urobiwszy sobie, przynajmniej co do stosunków ustrojowych, zapatrywanie odmienne, musiałem oczywiście, zbijając pogląd przeciwny, sięgnąć znowuż w dziedzinę tych samych kryteryów, które i po tamtej stronie wysunięte zostały na czoło.

Żeby znowuż ustalić, w czem tkwi świadectwo żywotności ówczesnej Polski, nie umiałem odnaleźć innej drogi, jak tylko metodę badania porównawczego. Nie mogę przesądzać, czy innym badaczom nie uda się odszukać lepszego kryteryum dla oświetlenia tej kwestyi; w czemkolwiek przyczyniłoby się ono do pełniejszego jej objaśnienia, czy do sprostowania moich sądów — uznam wszystko z całą wdzięcznością. Z zajętego przezemnie stanowiska wypadło mi pytać co do każdego szczegółu: czy było gorzej w Polsce ówczesnej, aniżeli w innych państwach, które powszechna opinia naukowa uważa za żywotne? I skoro się okazało, że gdzieindziej istniały podobne czy takie same urządzenia, trzeba było stwierdzić, że także w odniesieniu do Polski nie można ich poczytać za świadectwo rozkładu wewnętrznego czy też braku żywotności. Nawet w takim razie nie, jeżeli, w oderwaniu rzecz oceniając, przeciw urządzeniom takim dadzą się podnieść zarzuty, choćby daleko sięgające. Jak zaznaczyłem już przy innej sposobności, sądy moje o wartości tych urządzeń mają tedy i mogą mieć znaczenie tylko względne, i dadzą się utrzymać obok bezwzględnych, chociażby wysoce ujemnych, jak ich zresztą w wielu miejscach nie szczędziłem w mojej pracy.

Dadzą się utrzymać tem bardziej, że nawet t. z. sądy bezwzględne mają, ściśle rzecz biorąc, wartość względną. Potępiamy dawniejsze uprzywilejowane stanowisko szlachty czy poddaństwo chłopskie, gdyż mamy dziś przeprowadzoną za-

sadę równości obywatelskiej; potępiamy despotyzm czy absolutyzm, gdyż ustaliła się zasada rządów konstytucyjnych. Ale czasy późniejsze nawet co do tych urządzeń, które dzisiaj wydają się nam doskonałe, czy chociażby w pełni wystarczające, żeby uznać żywotność państwa, mogą przynieść tak gruntowne zmiany, że ludzie późniejsi uznają je za zjawiska ujemne. Jeszcze wczoraj poczytywaliśmy monarchię za prawidłowy kształt rządu państwowego, w którego ramach społeczeństwa rozwijać się mogą najpomyślniej; a oto dzisiaj monarchiczny ustrój w znacznej części Europy został potępiony i usunięty. Ocena wartości zjawisk dziejowych musi z konieczności oprzeć się na zestawieniach porównawczych, dostosowanych do danego okresu i do stopnia rozwoju, na którym ludzkość w czasie tym stanęła. Zaczem też i zagadnienie żywotności państwa rozwiązane być musiało według kryteryów porównawczych, oprzeć się na sądach względnych, a to tem bardziej, że sama także żywotność państwa, jak żywotność organizmu fizycznego, podlega ogólnemu prawu przystosowania się do istniejących w otoczeniu warunków.

Na takiej oto drodze doszedłem do wniosku, że nie można Polsce kilku ostatnich stuleci, a zwłaszcza doby rozbiorowej, odmówić żywotności w określonem powyżej znaczeniu, o ile przynajmniej wkroczymy tu w dziedzinę stosunków ustrojowych. Jeżeli przyjąć, że podobny wynik przyniósłby także przegląd podkreślanych wielokrotnie przez krytykę momentów pozaustrojowych, możnaby spostrzeżenie to rozszerzyć, stwierdzając na ogół zdolność do życia ówczesnego naszego organizmu państwowego, niezależnie od defektów, jakie w tym czy owym kierunku dadzą się wykazać, i niezależnie od ujawnionego w tym czasie stanu osłabienia jako wypływu uprzedniej ewolucyi dziejowej. Mając pewne wskazówki, które także i co do stosunków pozaustrojowych zdawały się przechylać szalę ku tej stronie, wysunąłem, w kształcie możliwego domniemania, kwestyę, czy nie trzeba będzie samą pożądliwość sąsiadów i wypływający z niej akt gwałtu rozbiorowego uznać

za jedyną właściwą, rozstrzygającą przyczynę upadku państwowości polskiej. I muszę teraz powtórzyć z naciskiem, że gdyby wynik badań co do stosunków pozaustrojowych potwierdził moje przypuszczenia, sam wniosek końcowy trzeba będzie utrzymać bezwarunkowo, tym razem już jako twierdzenie ustalone. Skoro bowiem — w myśl wywodów poprzednich — jako możliwe przyczyny rozstrzygające, »causae efficientes« upadku państwowości dadzą się na ogół pomyśleć tylko te dwie: rozkład wewnętrzny i gwałt postronny, to z chwilą, w której okaże się, że nie był nią rozkład wewnętrzny, trzeba będzie upadek ten przypisać — gwałtowi z zewnątrz. I trzeba będzie w takim razie aktem rozbiorów obciążyć wyłącznie rachunek sumienia rozbiorców.

A przez to rozstrzygnie się zarazem kwestya odpowiedzialności dziejowej za rozbiory. Organizm państwowy, skoro się raz wytworzy i wykazuje zdolność do życia, ma, pokąd tej zdolności nie utraci, prawo do życia, niezależnie od zestosunkowania swych sił z siłami innych organizmów państwowych. Ta podstawowa zasada, obca tylko współżyciu zwierząt, ale uznawana w pełni w społeczeństwach ludzkich co do każdego osobnika fizycznego, musi tem bardziej znaleźć zastosowanie odnośnie do najwyższego tworu organizacyjnego, jakim w społeczeństwach tych jest państwo. Musi je znaleźć przynajmniej o tyle, o ile na ogół porusza się zagadnienie odpowiedzialności dziejowej. Teorya »pożerania« niczego pod tym względem nie wytłómaczy ani nie usprawiedliwi. Jak zamach na życie jednostki jest występkiem, jednym z najcięższych, tak gwałt zaborczy rozbioru, dokonany na żywotnym organizmie państwowym, trzeba będzie poczytać za zbrodnię dziejową. W świetle ustawionych poprzednio przesłanek ustali on wyłączną winę zaborców, obciąży ich sumienie dziejowe, i splami karty ich historyi.

Zaznaczę jeszcze osobno, że wynik, do którego w pracy

mojej doszedłem, nie jest bynajmniej nowością. Jeżeli kto w wywodach jej dopatrzyć się zechce jakiegoś posunięcia nauki w stosunku do uprzedniego jej stanu, to będzie mógł szukać go conajwyżej w dokładniejszem sprecyzowaniu samego zagadnienia, w ujęciu go w szersze ramy porównawczych zestawień, w szczegółowem wreszcie omówieniu jednej grupy rzekomych przyczyn upadku, t. j. całości stosunków ustrojowych. Ale sam pogląd zasadniczy, że Polska w czasie rozbiorów była organizmem żywotnym, przy równoczesnem najczęściej uogólnieniu tego sądu do całości jej przejawów życiowych, i że upadek naszej państwowości wywołała tylko polityka i gwałt sąsiadów, wypowiadany był już dawniej niejednokrotnie. Żeby — korzystając tu przeważnie z cennego przeglądu literatury u Papéego — przypomnieć tylko głosy wybitniejsze lub rzeczowo na baczniejszą zasługujące uwagę, powołam najpierw, w grupie tych, którzy na żywotność Polski ówczesnej położyli szczególny nacisk, uczestnika wypadków doby rozbiorowej, wielkiego statystę, nieoszczędzającego własnym ziomkom zasłużonej krytyki, Kołłątaja; a przecież i on potępia mocarstwa rozbiorowe za to, że się nam poprawić nie dały, kiedyśmy dowiedli, że do poprawy jesteśmy zdolni. Mniej więcej w jedno stulecie później znamienity historyk, Korzon, zamykając pomnikową swoją pracę o Polsce doby Stanisławowskiej, wyrazi się, że po rzezi praskiej każdy, co nosił w sercu poczucie sprawiedliwości, musiał powiedzieć o zwyciężonych: Nieszczęśliwi. Zatem: nie sprawcy własnego upadku, i nie — winni. Chronologicznie pomiędzy oba te głosy polskie zaliczyć każe sprawiedliwość opinię starego Raumera, historyka innego pokroju, aniżeli wielu jego teraźniejszych kolegów niemieckich, że Polska właśnie w chwili, kiedy mogła się odrodzić szczęśliwie, padła ofiarą przeniewierstwa i chciwości sąsiadów. Na zaborczość sąsiadów i połączony z nią gwałt jako rzeczywistą przyczynę upadku zwróci zresztą uwagę wyjątkowo jeszcze i teraz uczony niemiecki, a przedewszystkiem podkreślają ją badacze francuscy. Pflugk-Hartung poczytuje rozbiory za akt

polityki gabinetowej mocarstw ościennych, które korzystały z przewagi swej nad Polską; Sorel i Rambaud nazywają je wprost wykonaniem prawa mocniejszego, które podstawiono w miejsce starego prawa narodów. Z współczesnych badaczów polskich prof. Askenazy, natknąwszy na znany zarzut niedostatecznej naszej odporności w dobie rozbiorów, zastrzega się stanowczo przeciw poczytaniu jej za jedyną czy chociażby główną, a zwłaszcza za wystarczającą przyczynę upadku; przyczyna ta, jego zdaniem, nie tkwiła w Rzpltej samej, miała siedlisko w Europie ówczesnej, zrodziła się bezpośrednio z polityki zaborczej państw sąsiednich oraz gwałtu, zadanego nam z zewnątrz. W bardziej jeszcze stanowczy sposób określa stanowisko swoje w tej sprawie Kochanowski: »Polska uległa w swoim czasie prostej przemocy, a faktu tego żadna dyalektyka zmienić nie zdoła«.

Także w toku dyskusyi, jaką wywołała moja praca, powtórzono niejednokrotnie, w rozmaitem zresztą oświetleniu, te same poglądy. Według Brücknera Polska złożyła dowód żywotności nie tylko na ogół w ciągu ośmiuset lat swojej niezawisłości, ale w samej nawet dobie rozbiorowej wykazała wybitne uzdolnienie państwowe; zginęła — zduszona przez sąsiadów. Konopczyński za przyczynę rozbiorów w »węższym sensie« poczytuje okoliczność, że Rzplta chciała się odrodzić i zreformować, wskazując przez to na gwałt sąsiadów, którzy nie chcąc dopuścić do odrodzenia, rozebrali ją między siebie. A Tokarz, stwierdziwszy, że przyczyną upadku nie były jakieś szczególne braki czy niedomagania nasze na wewnątrz, podkreśla ogólne położenie międzynarodowe, które w świetle uprawianej przez mocarstwa rozbiorowe polityki domagało się zaboru Polski. Znamienną jest glossa, którą autor ten opatruje swój pogląd: »Jednem słowem, z szablonowymi zarzutami przeciw Rzpltej dwu ostatnich rozbiorów można sobie poradzić bardzo łatwo... Zrodziła je nie nauka, ale polityka, i to polityka chwili«.

Nie mam zamiaru kierować tego ostatniego zarzutu prze-

ciw wszystkim, którzy stoją na stanowisku mojemu przeciwnem, że tedy nie kto inny, tylko my sami jesteśmy właściwymi sprawcami naszego upadku. W każdym razie sądzę, że przytoczony cykl poglądów powinien dać pochop do gruntownego zastanowienia się nad zasadnością tego stanowiska, wskazać na potrzebę wszechstronnego rozpatrzenia jego podstaw, na ogół: pobudzić do rzeczowej rewizyi dogmatów, jakie sobie dotąd co do niniejszej sprawy urobiono. Rozpatrzywszy szczegółowo jedną stronę niniejszej kwestyi, t. j. zagadnienie stosunków ustrojowych, muszę, z mojego stanowiska, wskazać tu zwłaszcza na potrzebę rewizyi tego poglądu odnośnie do stosunków czy zjawisk p o z a u s t r o j o w y c h. Bardzo cenne przyczynki pod tym względem przyniosły wykłady, wygłoszone ostatnio przez grono uczonych krakowskich; ponieważ jednak z istoty rzeczy musiały one ograniczyć się do zwięzłego tylko, szerszej publiczności dostępnego, rozbioru szczegółów jako materyału dowodowego, czasem nawet bez możności uwzględnienia wszystkich momentów, jakie tu wchodzić mogą w rachubę, przeto wolno chyba stwierdzić, że przed nauką w znaczeniu ścisłem otwiera się tu jeszcze obszerne pole dociekań. Do jakich one doprowadzą wyników ostatecznych, przesądzać nie śmiem, podkreślając raz jeszcze brak legitymacyi po mojej stronie do wkraczania w tę dziedzinę badań. Może przecież nie będzie mi to poczytane za złe, jeżeli z ogólno-naukowego stanowiska wypowiem kilka uwag co do kierunku i sposobu, w jaki, odnośnie do tej grupy zjawisk, zagadnienie niniejsze należałoby rozpatrzyć.

Przedewszystkiem oczywiście trzeba będzie zwrócić się do gruntowniejszego zbadania tych momentów pozaustrojowych, które jako przyczynę upadku powoływała dotychczasowa nauka, aż do zapoczątkowania obszerniejszej w tym przedmiocie dyskusyi w r. 1915. Ile przez takie ściślejsze zbadanie rzeczy zyskać może nauka, zaświadcza n. p. pełen najtrafniejszych spostrzeżeń, przekonywujący wywód Haleckiego, który wykazał, że rozwinięta przez Szujskiego, a przez wielu innych

badaczów przyjęta teza, jakoby nasze rozprzestrzenienie się na wschód spowodowało osłabienie wewnętrzne, a w dalszem następstwie upadek, jest niezasadną; i że właśnie ta ekspanzya była zdarzeniem nie tylko dodatniem, ale i politycznie koniecznem, gdyż bez niej bylibyśmy żyli w warunkach gorszych i trudniejszych. Może zasłużą też na bliższą uwagę i rozbiór dorywcze spostrzeżenia, wypowiedziane w pracy mojej o słabych stronach poglądu, upatrującego przyczynę upadku czy to w niekorzystnem położeniu naszem geograficznem, czy w rzekomej wrodzonej niezdolności do stworzenia i utrzymania silniejszej organizacyi państwowej; żeby zresztą nie mówić o tem, że niektóre z nich, jak położenie geograficzne, nie mogą być wciągane w rachubę przy ustaleniu momentu winy. W zasadzie także dalsza z wyliczanych w tej grupie przyczyn, młodszość naszego cywilizacyjnego rozwoju, nie dałaby się nam przypisać jako — wina; a co do jej rzeczowego, wewnętrznego waloru należałoby może zapytać i ustalić, czy tego rodzaju młodszość przesądza sama przez się o koniecznem wypaczeniu prawidłowej ewolucyi dziejowej, i czy na ogół poczytaną być może za wykładnik braku żywotności narodu czy państwa. Przytaczane pozatem jeszcze nieraz w tej grupie przyczyny, jak etyczne zepsucie i upadek oświaty, jakkolwiek oczywiście ujemny ich wpływ rzuca się w oczy, wymagałyby przecież, jeżeli już nie pewnych zastrzeżeń szczegółowych, to przynajmniej wykazania ścisłej między niemi a samym upadkiem państwa przyczynowości, zwłaszcza wobec niezaprzeczonego faktu znacznej, po części świetnej poprawy tych stosunków w dobie Stanisławowskiej. Rewizya poglądów, gruntowne ich uzasadnienie, nieraz sam wywód ich zasadności są tu na każdym kroku potrzebne.

A cóż dopiero mówić o całym szeregu nowych przyczyn upadku, które naprowadzono w toku teraźniejszej dyskusyi o tym przedmiocie! Można powiedzieć bez przesady, że w ciągu ostatniego czterolecia wytoczono ich bezmała tyle, ile się ich doliczyć na przestrzeni lat około stu dwudziestu, odkąd skut-

kiem rozbiorów statyści i historycy zaczęli się zajmować tem zagadnieniem. Przyczem samo zjawisko staje w oświetleniu dosyć osobliwem. Mniej więcej przez ostatnią połowę stulecia ustalony już był pośród historyków kanon poglądów na przyczyny upadku Polski; prócz kilku pozaustrojowych, przedewszystkiem tych, na które zwrócili uwagę Szujski i Kalinka, kładziono tu główny nacisk na niedomagania nasze ustrojowe. Wszyscy, których zdaniem współdziałały tu inne jeszcze przyczyny, mieli przez długi czas sposobność uzupełnić ten pogląd nowemi swojemi spostrzeżeniami. Milczeli jednak prawie że bez wyjątku, poprzestając na ustalonym kanonie. Aż oto pojawiła się praca, wskazująca na niezasadność głównej tezy, starająca się wykazać, że defektów ustrojowych nie można poczytać za przyczynę upadku. Tym, którzy mieli zapatrywanie odmienne na tę sprawę, nasuwała się sposobność szczegółowego zbicia wywodów tej pracy, czy też usunięcia podstaw, na których oparł się jej wniosek ogólny, w następstwie czego kanon dawniejszy byłby się mógł ostać także i na przyszłość. Stało się jednak inaczej. Z wielu stron przyznano — czasem wyraźnie — słuszność wywodom tej pracy czy to w całości, czy przynajmniej w znacznej części, zaczepiając tylko ten lub ów szczegół; za to powołano cały szereg innych, pozaustrojowych, nowych przyczyn upadku. Jak z rogu Amaltei zaczęły się sypać utajone aż dotąd »przyczyny«, do których odkrycia, mimo zwróconą na ten przedmiot pilną uwagę, nie doprowadził wysiłek mężów nauki na całej poprzedniej, przeszło wiekowej przestrzeni czasu. Zapanowała jakaś gorączkowość, żeby rejestr przyczyn upadku, w samej wewnętrznej ewolucyi dziejowej Polski tkwiących, a w ślad za tem w przeważnej części także rejestr naszych win o ile możności zwiększyć i pomnożyć. I to tak, że niejednokrotnie nie liczono się nawet z potrzebą jakiegokolwiek uzasadnienia tych nowych poglądów: poprzestawano najczęściej na zaznaczeniu samego zapatrywania, czy chociażby nawet dorywczego wrażenia. Nie mam zamiaru przesądzać, o ile wszystkie te poglądy są uspra-

wiedliwione; niechaj nauka zajmie się sumiennie zbadaniem ich zasadności. Gdyby wszelako okazać się miało, że i one utrzymać się nie dadzą, trudno byłoby oprzeć się wrażeniu, że na tę ich obfitość, na pospiech, z jakim się do nich rzucono, wpłynęło niemało urobione od dawna przeświadczenie, w któreni wzrośliśmy, i z którem poniekąd zespoliliśmy się duchowo, że jeśli Polska upadła, to tylko z własnej winy; że więc w ślad za tem, w miarę, jak usuwają się dawniejsze podstawy tego poglądu, trzeba koniecznie szukać innych, żeby go podeprzeć. Możnaby w takim razie, z większą jeszcze aniżeli przed kilku laty zasadnością, powtórzyć: »z zaczarowanego koła, że zgubiły nas tylko nasze własne winy, trudno nam się wyzwolić«.

W najogólniejsze, zasadniczo określone ramy ujął swój pogląd prof. Chrzanowski. Dochodząc łańcuchowego związku przyczyn wstecznych, wywodzi on w pierwszej swojej pracy, zgodnie jeszcze z niektóremi zapatrywaniami dawniejszemi, że ostateczną przyczyną wszystkiego złego, zatem pośrednio i rozbiorów, był upadek oświaty i kultury narodowej; w drugiej, jako istotną, najgłębszą causa efficiens upadku poczytuje właściwości naszego charakteru oraz poślednią jakość rozwiniętej przez nas nad wewnętrznem udoskonaleniem pracy. Na moment pracy kładzie też nacisk krytyk F. F., tylko że inaczej formułuje stanowisko swoje w tej sprawie: praca jednostki i praca mas była w Polsce o wiele mniejszą, aniżeli gdzieindziej, a przeto pod każdym względem mniej w skutkach wydatną. W szczegółowem rozprowadzeniu tej ogólnej tezy wskazuje na brak usiłowań oparcia się o morze, na niepopieranie rozwoju floty, przemysłu i handlu, i osnuwa na tem wniosek o politycznej słabości Polski oraz jej gospodarczem ubóstwie. W pewnym znowuż związku z poglądem prof. Chrzanowskiego o niedomaganiach naszego charakteru narodowego zdaje się stać jedna z przyczyn, zaznaczona przez prof. Estreichera, tym razem jeszcze w zgodzie z niektóremi zapatrywaniami dawniejszemi: że życie psychiczne szlachty XVI—XVIII w. sprowadziło wybujanie prywaty i partykularyzmu.

Pozatem powołuje ten ostatni krytyk szereg przyczyn nowych, głównie ekonomicznej natury, jako to, że nie rozwinęliśmy w XVII w. systemu merkantylistycznego, że podjęliśmy za późno reformy agrarne, że wreszcie ukształtowaliśmy źle naszą politykę celną. Wreszcie prof. Bujak, jakkolwiek wykazuje niezasadność wielu podnoszonych przeciw Polsce zarzutów, podkreśla przecież z osobnym naciskiem brak silnej i rozumnej woli do utrzymania się przy niepodległości państwowej.

Oto więc znowuż obfity substrat dla przyszłych rozmyślań i dociekań naukowych. Może wolno tu będzie zwrócić uwagę na kilka wymogów zasadniczych, których uwzględnienie przy rozbiorze tych zagadnień byłoby rzeczą pożądaną.

Przedewszystkiem oczywiście należałoby wyrazić życzenie, żeby samo istnienie każdej z powołanych przyczyn zostało w sposób rzeczowy i przekonywujący niewątpliwie ustalone. Na okoliczność tę zwracam uwagę dla tego, że już w toku krótkiej dyskusyi teraźniejszej co do kilku tego rodzaju przyczyn wyrażono z pewnych stron zapatrywanie — że na ogół nie istniały. Tak n. p. Eses zwraca się przeciw zarzutowi małej wydatności naszej pracy narodowej, stwierdzając, że naprawdę była ona intenzywną i przyniosła daleko sięgające wyniki, skoro poszliśmy na wschód i opanowali tamtejsze terytorya gospodarczo i kulturalnie. Podobnież zarzuty co do nierozwinięcia merkantylizmu, późnego zapoczątkowania reform agrarnych i błędnej polityki celnej, ograniczone, co prawda, do wieku XVII, spotkały się teraz z zaprzeczeniem prof. Bujaka, przynajmniej odnośnie do w. XVIII, który wskazuje na to, że w instruktarzach celnych już z początkiem tego stulecia widać przejawy idei merkantylistycznych, w dalszym rzeczy toku coraz wydatniej rozwijanych, że polityka celna częściowo nawet górowała nad takąż polityką kilku państw sąsiednich owego czasu przez wytworzenie jednolitych obszarów celnych; że wreszcie w ciągu tegoż (XVIII) stulecia rolnictwo uczyniło poważne postępy, a faktyczne położenie włościan znacznie się poprawiło. Ten ostatni szczegół podkreśla z naciskiem także

Tokarz. Gdyby zaś nawet, ze względu na odmienne ramy chronologiczne, w jakie sprawę niniejszą ujęły obustronne poglądy, chcieć je uzgodnić ze sobą za pomocą formułki, że to, co było złem w w. XVII, poprawiło się w stuleciu XVIII, trzeba będzie w każdym razie zapytać: dla czego defekt, istniejący o cały jeden wiek przed rozbiorami, a później, na przestrzeni całego następnego stulecia jeżeli nie usunięty, to przynajmniej znacznie złagodzony, ma być poczytany za przyczynę upadku państwowości polskiej u schyłku wieku XVIII?

Ustaliwszy sam fakt istnienia »przyczyny« w sposób niewątpliwy, trzeba będzie z kolei sprawdzić, czy stopień jej oddziaływania na upadek państwowości naszej był tego rodzaju, iż oba zjawiska dadzą się wprowadzić w konieczny ze sobą związek przyczynowy. Bo to, co się przytacza jako przyczynę upadku, może być wprawdzie pewnem niedomaganiem narodowego życia, nie takiem jednak, żeby się z niem dała połączyć przyczynowo utrata bytu państwowego, tem mniej zaś wniosek o braku żywotności samego państwa. Czy n. p. — cokolwiek przyszłoby nam sądzić o stanie tej sprawy w Polsce — brak lub spóźnione wprowadzenie systemu merkantylnego, albo błędna polityka celna mogą następstwami swemi sięgać tak daleko, żeby im przypisać sam nawet upadek Rzpltej? We wszystkich społeczeństwach i państwach, w jakiemkolwiek stadyum ich rozwoju, znajdą się zawsze te lub owe defekty do wytknięcia, bo żadne z nich nie jest tworem doskonałym. Ale istnienie tych defektów często ani nie zachwiewa ich żywotnością, ani nie doprowadza do utraty bytu politycznego; owszem, znaleźć je można także w państwach zarówno materyalnie i kulturalnie, jako też politycznie kwitnących. Stosowna segregacya »przyczyn« na takie, które przy rozpatrywaniu naszego zagadnienia nadają się do uwzględnienia, i inne, które tu nie powinny wchodzić w rachubę, jest z tego punktu widzenia wskazana z góry.

Jako dalsze kryteryum dałby się tu zapewne użyć środek, do którego uciekłem się, rozpatrując stosunki ustrojowe Polski:

metoda porównawcza. Zwłaszcza tam, gdzie co do pewnej »przyczyny« zachodziłaby wątpliwość, czy naprawdę wywołała ona upadek, metoda taka mogłaby oddać dobre usługi; opierając bowiem ocenę pewnych zjawisk ujemnych na sądach względnych, w zestosunkowaniu z współczesnemi i współrzędnemi zjawiskami ościennemi, mogłaby nieraz posłużyć do stwierdzenia, czy naprawdę przyczyna tego rodzaju pociąga za sobą upadek państwowości. Jaki pożytek z tego rodzaju porównań odnieść tu można, stwierdzają niektóre szczegóły, przytoczone w cyklu wykładów krakowskich odnośnie do przyczyn, dawniej już powoływanych. Przypomnę n. p. spostrzeżenie Konopczyńskiego, że nietolerancya nasza była szczytem wyrozumienia wobec tego, co się działo w Hiszpanii, Francyi, Włoszech i Austryi, albo że sprzedajność polska, o ile chodzi o ministeryalną, nie ma się czego wstydzić Berlina czy Petersburga, o ile zaś o parlamentarną, Szwecyi czy Anglii; a nawet, że była ona u nas mniej cyniczną, aniżeli gdzieindziej. W takim samym sposobie dałaby się zapewne oświetlić także niejedna z nowo przytoczonych »przyczyn«. Tak n. p. zarzut, że kiedy gdzieindziej państwo rozwinęło już w w. XVII działalność w sprawie polepszenia doli chłopskiej, my z reformami agrarnemi spóźniliśmy się bardzo — przypomnieniem szczegółu, że także i w krajach habsburskich nie tylko przez cały wiek XVII, ale i pierwszą połowę XVIII, aż do Maryi Teresy, reform takich nie podjęto, albo conajwyżej zapoczątkowano pierwsze w tym kierunku nieśmiałe próby. Patenty z 1680, 1717 i 1738 wydawano nie tyle dla umniejszenia powinności chłopskich, ile raczej dla przeszkodzenia samowolnemu ich zwiększeniu przez panów, które w czasie tym stosowane było na szerokie rozmiary; żeby nie mówić o tem, że nie tylko te patenty, ale i późniejsze reformy Maryi Teresy czy Józefa II, samych istotnych podstaw stosunku poddańczego nie tknęły. Podobne uwagi nasuwają się co do poruszonej ostatnio sprawy małej wydatności naszej pracy i jej wpływu na upadek państwa. Krytyk zestawił tu Polskę niewąt-

pliwie z tymi tylko narodami, które pod tym względem przodują, Niemcami, Francyą czy Anglią; ale nie wciągnął w rachubę ludów południowo-europejskich, z pracą częściowo ze względu na same warunki klimatyczne mniej wydatną, albo Rosyi, w dobie zwłaszcza ówczesnej co do wydatności pracy zarówno materyalnej jak i kulturalnej w wysokim stopniu zacofanej. Mimo to wszystko włoskie kraje nie straciły na żywotności swojej państwowej, i mogły później, wśród pomyślnej konstelacyi politycznej, doprowadzić do zjednoczenia; nie upadła Hiszpania jako państwo, a Rosya nie tylko że utrzymała swój byt, ale rozprzestrzeniła olbrzymio granice i stała się na długie czasy pierwszorzędną potęgą militarną i polityczną.

Wreszcie — cokolwiek na ogół da się powiedzieć o samych przyczynach upadku, trzeba tu jeszcze będzie oddzielić tę sprawę od samego zagadnienia winy. Mogą naprawdę ujawnić się przyczyny, pośrednie czy bezpośrednie, które pociągają za sobą upadek państwowości, za które jednak narodu nie można pociągać do odpowiedzialności: wtedy mianowicie, jeżeli powstały niezależnie od jego woli czy współdziałania, albo jeżeli on ich powstaniu w danych warunkach zapobiec nie mógł. Czy nie okaże się potrzeba zaliczyć do tej grupy powołaną ostatnio przyczynę upadku, tkwiącą w charakterze narodu, skoro charakter, jak stwierdza sam autor poglądu, ma w każdym narodzie swoje cechy przyrodzone? Może też z tego punktu widzenia trzeba będzie usunąć z rachuby inny zarzut, jeden z najcięższych, jaki spotkał przeszłość Polski, cięższy może od wszystkich, jakie stawiała dawniejsza t. z. szkoła krakowska, jakobyśmy ujawnili brak silnej i rozumnej woli do utrzymania się przy niepodległości. Bo trzeba będzie jeszcze zapytać, czy naprawdę ujawnienie takiej woli przez odpowiednio dostosowaną akcyę było w chwili krytycznej rzeczowo możliwem; uwagi poprzednie o skrępowaniu Polski przez sąsiadów, którzy skorzystali z czasowej naszej niemocy, żeby

nas ubezwładnić na trwałe, mogą pod tym względem zrodzić conajmniej poważne wątpliwości.

Ze wszystkich pośrednich przyczyn naszego upadku, jak je oświetlono w toku teraźniejszej dyskusyi, najjaśniej postawiona została kwestya tych, które tkwiły w ówczesnej naszej polityce zewnętrznej: w ujawnionej wyraźnie, na długiej przestrzeni w. XVIII, po wielkich i ciągłych wysiłkach wojennych drugiej połowy stulecia poprzedniego, dążności do utrzymania stanu pokojowego, do niemięszania się w ówczesne konflikty europejskie, w pacyfizmie naszym, jak tę rzecz okolicznościowo nazwał prof. Brückner, albo w pasywizmie i zasadzie nieinterwencyi, jak ją określa rozpatrujący szczegółowo tę sprawę prof. Konopczyński. Może też w błędnej polityce zewnętrznej, jaką zapoczątkował sam Sejm czteroletni, nie tyle przez zawarcie szkodliwego sojuszu z Prusami, jak mniemał Kalinka, ile raczej, jak wskazuje prof. Tokarz, przez niezdecydowane stanowisko, zajęte już po zawarciu sojuszu, które uniemożliwiło Prusom uderzenie na Rosyę, a zarazem wpłynęło wydatnie na rozluźnienie ich związku politycznego z Polską. Nie mogąc przesądzać, co o zapatrywaniach tych powiedzą zawodowi znawcy, stwierdzę tu tylko ogólnie, że jeśli się one nawet ostaną jako naukowy kanon, trzeba tu będzie oczywiście przypisać Polsce winę pod tym względem; ale jakże inaczej, aniżeli w świetle tamtych poglądów, będzie się ona przedstawiała co do charakteru i treści! Błędy w polityce zagranicznej zdarzają się wszędzie, nawet w państwach o bardzo wydoskonalonej dyplomacyi i pod jakimkolwiek względem przodujących; w żadnym jednak razie nie można ich poczytać za świadectwo braku wewnętrznej żywotności tegoż państwa.

Ogarniając raz jeszcze ogół »przyczyn« pozaustrojowych, podniesionych w toku ostatniej dyskusyi, trzeba zresztą zaznaczyć, że ostateczne ich ustalenie w niejednym jeszcze kierunku wymagać będzie wszechstronnych, wyczerpujących dociekań, opartych na zużytkowaniu bogatego materyału źró-

dłowego, nieraz zapewne mozolnych studyów archiwalnych, czy znowuż ścisłych zestawień statystycznych i innych tego rodzaju prac przygotowawczych. Dopiero po takiem gruntownem uwzględnieniu i przerobieniu całego dostępnego materyału źródłowego, po stosownej ponadto, w myśl uwag poprzednich, segregacyi kryteryów zasadniczych, da się może osnuć niewzruszony sąd naukowy o niniejszem zagadnieniu. Czy zdobędziemy go za pomocą wniosków, opartych wyłącznie na t. z. »czystym rozumie«, nie umiem powiedzieć; może trzeba tu będzie sięgnąć jeszcze do osobnych metod, stosowanych w historyozofii, socyologii i filozofii. Nie będzie można pominąć żadnej drogi, prowadzącej do wykrycia prawdy, skoro chodzi o naukowe ustalenie tezy. I dopiero po zastosowaniu tych wszystkich, jakie w ogóle stoją do rozporządzenia, środków, znajdzie się może odpowiedź na postawione pytanie. Może trzeba będzie uznać, w takim, czy innym zakresie, winę Polski samej; może też na odwrót trzeba będzie stwierdzić, że zawinienia takiego naprawdę nie było, i że ostatecznie istotną causa efficiens upadku była sama tylko pożądliwość i gwałt sąsiadów. Może wreszcie — bo i to przypuszczenie nie da się z góry wykluczyć — wszystkie te środki, jak się to nieraz zdarza, nie zdołają doprowadzić do pełnego wyświetlenia sprawy. Wtedy, hamując nadmierną pochopność do apodyktycznych sądów, trzeba będzie powiedzieć sobie: non liquet i sąd potępiający — zostawić w zawieszeniu. Zwłaszcza, że chodzi tu o ustalenie stopnia odpowiedzialności całego narodu i jego państwa. Przypomnę, co podkreśliłem już na innem miejscu: jak we wszystkich stosunkach ludzkich, tak przedewszystkiem tutaj, gdzie wchodzi w grę wina zbiorowości, pamiętać trzeba, że kamieniem potępienia rzucać wolno tylko wtedy, jeżeli sam dowód winy ustalony jest w pełni i oparty na niezawodnej podstawie rzeczowej. Wszystko — niezależnie od tego, czy taka wstrzemięźliwość sądu odpowie utartym poglądom, wśród których wzrośliśmy, osobistym wra-

żeniom, jakie z rozmyślań nad tą sprawą odnosimy, czy wreszcie dostroi się do teraźniejszych naszych politycznych widnokręgów i dążeń. Na wstrzemięźliwości takiej zyska — ścisłość naukowa i sprawiedliwość sama.

Domówienie.

Praca niniejsza wykończona została w całości u schyłku r. 1918, poczem, bez żadnej już zmiany, z kilku tylko uzupełniającymi przypiskami, które powołały odnośną literaturę z pierwszej połowy r. 1919, przesłana została do drukarni; w ciągu grudnia tegoż roku była już prawie w całości złożona. Przypadek zdarzył, że właśnie wtedy pojawił się obszerny artykuł prof. Bobrzyńskiego, rozpatrujący poglądy historyografii naszej na przyczyny upadku Polski, jakie wygłoszono w czasie teraźniejszej wojny światowej, a pośród nich także, i to na wstępie, pierwszą moją pracę o zagadnieniach ustrojowych Polski z r. 1915 [1]. Ponieważ uwag autora nie mogłem już uwzględnić w głównym tekście pracy niniejszej, przeto poświęcę im na tem miejscu kilka jeszcze dodatkowych spostrzeżeń.

Sąd prof. Bobrzyńskiego, jednego z najbystrzejszych umysłów teraźniejszej Polski, waży już przez to samo bardzo poważnie na szali jakiejkolwiek dyskusyi polemicznej. Dla mnie, osobiście, przedstawia on tem większe znaczenie, że wspominam autora z najżywszą zawsze wdzięcznością jako jednego z kierowników mojej młodości, pod którego przewodnictwem uczyłem się stawiać pierwsze kroki w dziedzinie badań naukowych; a ponadto także ze względu na głębokie przeświadczenie, nabyte długoletnią potem obserwacyą jego dzia-

[1] Bobrzyński M., Nasi historycy wobec wojny światowej, Czas z 6, 7, 8 i 11 grudnia 1919, nr. 317. 318. 319. 321.

łalności publicznej, że, cokolwiek kto sądzić zechce o wytycznych jego polityki oraz sposobach i środkach ich urzeczywistnienia — wszystkie te jego akcye owiane były zawsze prawdziwie obywatelskim, szczerze patryotycznym duchem, stateczną zawsze chęcią służenia sprawie narodowej.

Jeżeli mimo to zabieram tu głos — dla polemiki, to dla tego, żeby sprostować omyłki i nieporozumienia, jakich nie ustrzegł się nawet prof. Bobrzyński, oddając treść mojej pracy; a i dla tego także, żeby zaznaczyć, że nie mogę pisać się na stanowisko, jakie zajął w rozpatrzeniu zasadniczej strony zagadnienia.

Omyłek i nieporozumień jest tu ilość bardzo znaczna. Jeżeli czyja, to przedewszystkiem gruntowna umysłowość autora uprawniała do nadziei, że, różny w tem od niektórych innych krytyków, ogarnie właściwą myśl moich wywodów, wydobędzie z nich to, co rzeczywiśce powiedziałem i powiedzieć chciałem; o ile zaś podda je krytyce, to tylko co do twierdzeń, jakie się w nich naprawdę mieszczą. Nadzieja ta zawiodła prawie w całości. Znowuż, czy to przez niedopatrzenie, czy pobieżny wgląd w pracę moją, czy może także pod wpływem suggestyi, jaką stworzyć mogły dawniejsze o tej pracy głosy krytyczne, odnalazł się w artykule prof. Bobrzyńskiego cały szereg nieścisłości w ujęciu rzeczywistych moich myśli i poglądów. Ogólną zapowiedzią jest tu już pełny akces autora do rozprawy prof. Zakrzewskiego o »Ideologii ustrojowej«, jako pracy pod każdym względem przedmiotowej i gruntownej, przyjmujący tedy ryczałtowo między innemi także wszystkie te liczne błędy, jakie w ujęciu moich poglądów popełnił prof. Zakrzewski, a które na różnych miejscach niniejszej pracy przyszło mi wytknąć. Nie skończyło się jednak na samym tylko akcesie ogólnikowym; szereg dodanych do tego szczegółowych spostrzeżeń prof. Bobrzyńskiego o mojej pracy stwierdza jeszcze dobitniej, w jak licznych względach odbiegają od siebie: wypowiedziana przeze mnie rzeczywista myśl, a jej ujęcie przez autora.

Najkardynalniejszem z nieporozumień jest powtórzone za prof. Zakrzewskim i kilku innymi krytykami twierdzenie, jakobym wypowiedział był stanowczy sąd, że przyczyn upadku Polski nie należy na ogół szukać w niej samej, i że jedyną, właściwą causa efficiens tego wydarzenia był gwałt rozbiorowy sąsiadów. Że, rozpatrując z całego kompleksu momentów, jakie tu wchódzą w rachubę, jeden tylko szczegół, urządzenia ustrojowe Polski, nie mogłem i nie miałem zamiaru przesądzać tej sprawy w całości, że, zachęcając do rozpatrzenia innych stron zagadnienia upadku, sformułowałem tylko pytanie, czy nauka nie dojdzie do takiej odpowiedzi, stwierdza wyraźnie sam tekst mojej rozprawy, oraz uwagi w niniejszej pracy zarzutowi temu poświęcone (por. tutaj str. 97 n). Może właśnie ze względu na tak mylnie ujętą treść i tendencyę moich wywodów spotyka mnie obecnie dalszy, także już poprzednio z kilku stron podnoszony zarzut, że poprzestałem na wyłącznem rozpatrzeniu kształtów ustrojowych Polski, nie troszcząc się o to, jaką w nich treść zmieściło życie narodu. Oczywiście, chcąc rozwiązać całość zagadnienia przyczyn upadku, nie możnaby pominąć także i tych zjawisk, najpoważniej na szali ciążących. W pracy mojej, zacieśnionej wyłącznie do jednego tylko pytania, została jednak rzecz ta pominięta z umysłu: chodziło mi jedynie o rozpatrzenie, jaką wartość przedstawia anatomiczna budowa dawnej Rzpltej, niezależnie od tego, jaka w jej ramach rozwinęła się akcya fizyologiczna. Że tak zacieśnione pytanie ma pełną legitymacyę naukową, wskazałem już poprzednio (str. 8 n.); i nie rozumiem znowuż, dla czego się żąda odemnie, żebym był ogarnął pytania dalsze, co do których zresztą sam autor stwierdza słusznie, że są już zagadnieniem na wskróś historycznem, zatem przedmiotem dociekań specyalistów w innych dziedzinach nauki. To też wszystko, czem tu autor czy to sam, czy za przewodem dawniejszych krytyków wypełnia owe ramy ustrojowe: sobkowstwo, brak poczucia obywatelskiego, bezmyślna ambicya, upadek oświaty, warcholstwo polityczne i t. p., to są rzeczy

z punktu widzenia ustrojowego nieuchwytne, i takie, któremi zająć się mogą z dostateczną znajomością sprawy tylko badacze dziejów politycznych, obyczajowości czy kultury i t. p., nie zaś badacz ustroju. Po należytej segregacyi elementów, zestawionych tu przez autora w pomięszaniu ze sobą, wyłuszczy się zresztą czasem z jego nawet uwag pełne uznanie dla urządzeń naszych ustrojowych. Tak n. p. stwierdza on, że Konstytucya 3 maja byłaby uratowała państwo, gdyby cały naród był stanął za nią i nie przeszedł w większości do Targowicy. Usuńmy z rachuby moment, wkraczający w dziedzinę historyi politycznej: brak poparcia Konstytucyi i akces ku Targowicy, a otrzymamy sąd o wartości Konstytucyi samej pod względem ustrojowym — najpochlebniejszy.

Dalsze, zasadnicze nieporozumienie tkwi w tem, że autor, znowuż w zgodzie z niektórymi krytykami dawniejszymi, niedocenia intencyi, jaka tkwiła w przeprowadzonem przezemnie zestawieniu porównawczem stosunków ustrojowych Polski i innych współczesnych państw europejskich. Chodziło mi tu o sformułowanie sądu — jedynie względnego, o stwierdzenie, że urządzenia te w wielu wypadkach nie były gorsze, aniżeli gdzieindziej, że więc, skoro nie uznajemy, jakoby tamte państwa zawiniły w sprawie swojego upadku, skoro stwierdzić możemy, iż rzeczywiście nie upadły, to i odnośnie do Polski urządzeń tych nie można poczytać za przyczynę upadku (por. str. 4 n.). W takiem, ściśle względnem ujęciu rzeczy, nazwałem przygodnie w jednem miejscu ustrój dawnej Polski wartością dodatnią, podobnie jak inne, wadliwe pod niejednym względem ustroje współczesne innych państw, wystarczając im do życia, spełniały sui generis funkcyę dodatnią. Tą oto kwalifikacyą rzeczy gorszy się autor, choć zapewne nie miałby do tego powodu, gdyby rzeczywistą moją myśl był uchwycił ściśle; zwłaszcza zaś, gdyby mi nie był podsunął twierdzenia, jakoby w ustroju tym przeważały jakieś bezwzględnie dodatnie strony: gdyż w pracy mojej jest wzmianka tylko o niektórych stronach dodatnich, i to

w przeważnej części względnie dodatnich, t. j. w tym czy owym szczególe lepszych, aniżeli je znaleść można w współczesnych ustrojach innych organizmów państwowych (por. tutaj str. 71 n.).

Gdyby nie tamte wszystkie zasadnicze nieporozumienia, byłby mi zapewne autor oszczędził całego jeszcze dalszego szeregu zarzutów szczegółowych. Nie byłby, znowuż w zgodzie z prof. Zakrzewskim i niektórymi krytykami, przeciwstawiał mi poglądów dawniejszych naszych pisarzy politycznych, Modrzewskiego czy Skargi, Staszica czy Kołłątaja; nie tylko dla tego, że pisarze ci w znacznej części wyrzekają na defekty pozaustrojowej treści: prywatę czy sobkowstwo, swawolę czy przedajność i t. p., ale dla tego przedewszystkiem, że, o ile nawet chodzi o rozwiniętą przez nich krytykę urządzeń naszych ustrojowych, nie sprzeciwiają się ich poglądom wypowiedziane przezemnie przy różnych sposobnościach sądy bezwzględne (por. str. 72). Wątpię też, czy byłby mi autor podsunął myśl apologizowania dawniejszych naszych urządzeń, skoro cała treść moich zestawień wyczerpała się w dowodzie, iż urządzenia te w znacznej części nie były gorsze, aniżeli gdzieindziej współcześnie (por. str. 4 n. 70 n.). Na pewno zaś nie byłby mnie także spotkał dwukrotnie podkreślony zarzut skrajnego optymizmu historycznego. I to nie tylko ze względu na brak wszelkiej do tego podstawy (por. str. 70 n.), ale wprost w konsekwencyi zasadniczego poglądu, jaki przy innej sposobności wypowiada sam autor. Twierdzi on (dosłownie), że podział historyków na pesymistów i optymistów, jakim się dotąd nieraz »zabawiano«, nie jest naukowym, i że historyka, który smutną prawdę co do przyczyn upadku odsłonił, nie można z tego powodu zaliczać do pesymistów. Nie można zatem chyba mówić także o optymistach, o ile ci, uciekając się do metod naukowych, starają się również odsłonić prawdę, choćby ona w tak czarnych nie przedstawiała się barwach. Trudno zaś przyjąć, żeby przywilej odsłaniania prawdy przysługiwał tylko tym, którzy odkrywają prawdę — smutną. Trzeba jeszcze

stwierdzić, za pomocą kryteryów ściśle naukowych, czy pogląd odmienny nie ma uzasadnienia dostatecznego. Na te kryterya nie zwraca się jednak należytej uwagi; za to szafuje się hojnie łatwiejszym argumentem optymizmu.

Jak w ujęciu głównych też i zasadniczego stanowiska, jakie w pracy mojej zająłem, autor opiera się na niedorozumieniach i nieporozumieniach, tak też sprowadza rzecz na niewłaściwe tory, poruszając kwestyę, jaki jej przyznać charakter w szeregu tegoczesnych publikacyj historyograficznych. Przytoczywszy zarzuty niektórych krytyków, iż nie uwzględniłem rzeczy, którą z góry z zakresu moich rozpatrywań wykluczyłem, t. j. fizyologii naszego życia społecznego i państwowego, konkluduje: »Było jasnem, iż rozprawa Balzera kwestyi upadku Rzpltej nie rozwiązała lepiej, aniżeli historycy szkoły krakowskiej«, a na innem miejscu zaznacza jeszcze osobno, odnosząc tę uwagę także i do mnie, iż próba nowej syntezy naszych dziejów nie udała się. Oczywiście, wszystko to było jasnem; a najjaśniejszem było dla mnie samego, dawno przed spostrzeżeniem autora i jego poprzedników; gdyż praca moja ani nie miała zamiaru rozwiązywać całości zagadnienia co do przyczyn upadku Rzpltej, ani tem mniej stwarzać jakiejś syntezy dziejów naszych. Założyła ona sobie za cel rozpatrzyć jedynie zasadność poglądów, które w defektach ustrojowych Polski dopatrywały się przyczyny jej upadku; i poprzestała na stwierdzeniu, że poglądy te nie dadzą się w sposób dostateczny usprawiedliwić. Samej ujemnej krytyki istniejącej tezy naukowej nie można oczywiście poczytać za nową syntezę dziejów — o czem sam zdawałem sobie sprawę od początku (por. str. 96). I znowuż tylko na tle takiego nieporozumienia zrodzić się mogło dalsze twierdzenie autora, jakoby w najbliższem pokrewieństwie z treścią moich wywodów stały poglądy Kochanowskiego, przeciw czemu już przedtem musiałem się tu zastrzec osobno (por. str. 85). W dalszem zaś następstwie, z spiętrzenia tej omyłki z innemi poprzednio omówionemi, urość mogło posądzenie, jakoby

pracę moją zaliczyć należało do rzędu publikacyj, które odgrzewają dawniejsze poglądy romantyczne i mistyczne.

Z nowych, przez dawniejszych krytyków niepodniesionych argumentów przeciw moim wywodom, przytacza autor tylko dwa. Jeden: że do porównań z ustrojem dawniejszej Polski obrałem sobie analogie niefortunne, bo odnoszące się do państw, które tak samo jak Polska upadły (Czechy, Węgry, Rzesza niemiecka). Przypomnę wobec tego najpierw, że analogie czerpane były zresztą także skądinąd, n. p. z Francyi, której autor nie zalicza do państw upadających; i właśnie analogią francuską dały się bardzo znamiennie oświetlić tyle ważne zagadnienia, jak krytykowana z wielu stron organizacya sejmikowa, jako też sprawa nadmiernego rzekomo ścieśnienia samorządu miejskiego w Polsce. Co do innych, przytoczonych przez autora państw, uwaga jego przystaje stosunkowo najdokładniej do Czech, których osobowość państwowa, licząc od pogromu białogórskiego i reform Nowego prawa ziemskiego (1620—1627) zatraciła się w istocie na całe dalsze trzy stulecia. Żeby jednak usunąć podstawę mojej argumentacyi, o ile ona oparła się na analogiach czeskich, należałoby, ze stanowiska przeciwnego, stwierdzić w każdym razie, że między dawniejszymi stosunkami ustrojowymi Czech, a upadkiem ich państwowości istnieje związek przyczynowy. Wiadomo zaś, że takiego związku nie było; gdyż samodzielność państwowa Czech padła ofiarą zgoła innych, poza dziedziną porównywanych przezemnie zjawisk działających czynników, a mianowicie dążności koncentracyjnych Habsburgów, dzięki którym »austryacka idea państwowa« wchłonęła w siebie państwowość czeską. Jeszcze mniej zasadnem jest spostrzeżenie autora odnośnie do Węgier; jakkolwiek bowiem i to państwo Habsburgowie przetworzyć zamierzali w zwykłą prowincyę swojej monarchii, to jednak nigdy nie zdołali zamysłu tego przeprowadzić z pełnym skutkiem i na trwałe. Przeciwstawiał się im naród w często powrotnych rokoszach, i wyraźne uznanie odrębnej swojej państwowości wielokrotnie uzyskiwał:

czy to w dekretach sejmowych 1722/3 lub 1791, czy w uchwałach z 1847/8, czy ostatecznie, i bez żadnych już potem wahań, w ugodzie z 1867. Nie ma tedy racyi, żeby zaliczać Węgry do państw, które upadły, a w ślad za tem osłabiać znaczenie analogij, przytoczonych z tej strony odnośnie do współczesnej Polski. Niemiecka Rzesza upadła rzeczywiście w najbliższym czasie po rozbiorach Polski; o ile jednak z tego powodu chcieć usunąć przytoczone przeze mnie podobieństwa, należałoby rzecz zacieśnić conajwyżej do sprawy elekcyjności tronu. Wszystkie inne analogie niemieckie, jakie naprowadziłem, nie zostały zaczerpnięte z ustroju Rzeszy jako takiej, jeno z urządzeń państw terytoryalnych niemieckich, o których upadku nie można mówić, i których żywotności państwowej nie zaprzeczy zapewne także sam autor, mimo nawet teraźniejszy ich pogrom wojenny i związane z tem komplikacye i przewroty wewnętrzne.

Drugi, a zarazem już ostatni, samoistny argument prof. Bobrzyńskiego, to ten, że chcąc drogą zestawień porównawczych udowodnić, iż ustrój Rzpltej nie jest winien jej upadku, musiałbym znaleść państwo, współczesne Polsce upadającej, z takim samym w całości i we wszystkich szczegółach ustrojem, z wszystkiemi temi samemi jego wadami, mimo które jednak nie doszło tu do upadku państwowości; a co większa, wykazać ponadto, że państwo to w takich samych jak Polska znajdowało się w warunkach zewnętrznych. Ma tu autor na myśli poprostu jakiegoś sobowtóra ówczesnej Polski, i tylko pod warunkiem wskazania nań uznaje dopuszczalność czy dowodność zestawień porównawczych. Autor jest zbyt gruntownym znawcą historyi, żeby mógł przypuścić chociażby na chwilę, iż znajdą się dwa państwa, zarówno co do wewnętrznych jak i zewnętrznych warunków życia jak dwie krople wody do siebie podobne. Autor żąda tedy rzeczy niemożliwej. Więc — może na ogół pomysł zestawień porównawczych był niezasadny; i może nawet jest rzeczą wręcz niemożliwą na tej drodze dojść do jakiejkolwiek konkluzyi naukowej? Gdyby

nawet stanąć na takiem stanowisku, trzeba będzie w każdym razie przypomnieć, że po stronie przeciwnej, która nieraz także sięgała do zestawień porównawczych, nie krępowano się zgoła tak daleko sięgającymi wymogami. Wybierano dowolnie jedno, lub w najlepszym razie kilka przeciwieństw ustrojowych między Polską a innemi współczesnemi państwami; przeciwieństwa te wystarczały w pełni do ferowania wyroków potępiających. Jedni wytykali, żeśmy nie stworzyli absolutnego kształtu rządów, jak je miały państwa zachodnie; inni, że w organizacyi stanu włościańskiego przeprowadzone były u nas ograniczenia dalej sięgające, aniżeli na Zachodzie, inni, żeśmy w przeciwieństwie do innych państw ścieśnili zanadto samorząd miejski, czy n. p. przeprowadzili rzekomo dalej sięgające ograniczenia swobód wyznaniowych. Nikt tu nie pytał, czy znajdzie się współczesne państwo, takim defektem obciążone, wykazujące z Polską tożsamość wszystkich innych, zarówno wewnętrznych, jak i zewnętrznych warunków życiowych, któreby z powodu tego defektu upadło. O ile chodzi o potępienie ustroju, wystarczą tedy wyrwane z całości zjawiska szczególne; kiedy jednak podejmuje się próbę sprawdzenia ich zasadności, to się żąda takiego zespołu analogij, który z góry trzeba uznać za niemożliwy. Wykluczając w ten sposób możność sprawdzenia tamtych pomysłów, immunizuje się z góry prawo oskarżania i potępiania, uchylając możność odparcia zarzutów. Zapytam: czy to postępowanie — nie już naukowe, ale chociażby sprawiedliwe?

W związku z końcowemi spostrzeżeniami podkreślę inny jeszcze znamienny brak tamtej argumentacyi. Postulat autora, gdyby go nawet uznać za możliwy do spełnienia, byłby w odniesieniu do moich wywodów zasadniczo usprawiedliwiony w takim chyba wypadku, gdybym był stworzył jakąś nową, treściowo samodzielną syntezę dziejową, dla której udowodnienia czy uprawdopodobnienia należałoby przytoczyć wzór innego, w takich samych pod każdym względem warunkach rozwijającego się państwa współczesnego. Takiej jednak syn-

tezy nie podaje moja praca. Rozpatruje ona tylko krytycznie poglądy, wypowiedziane przez twórców innej syntezy, sprawdza ich zasadność pod względem rzeczowym. Że zaś poglądy te, sięgając do analogij postronnych, poprzestawały same na przytoczeniu wyrwanych z całości szczegółów, więc też dla celów, jakie założyła sobie moja praca, wystarczyć mogło również rozpatrzenie każdego z tych szczegółów, które przez różnych naprzemian autorów zużytkowane zostały dla poparcia tezy, jakoby wady ustrojowe stały się przyczyną upadku Polski. O ile dowodność wszystkich po kolei wspomnianych szczegółów analogicznych została zachwianą czy obaloną, wynik dowodu ujemnego trzeba będzie uznać za wystarczający, chociażby nie udało się odkryć państwa, w całości swych zjawisk życiowych pokrywającego się zupełnie z ówczesną Polską.

Zastanawia, zarówno u autora, jak i u niektórych innych dawniejszych krytyków, nieprzejednane stanowisko, jakie zajęli wobec twierdzenia, że w defektach ustrojowych dawnej Polski, w zestawieniu ich z współczesnymi stosunkami innych państw, nie tkwi istotna przyczyna naszego upadku; skwapliwość, z jaką wzięli się do zbicia tego poglądu, pospiech, z jakim z niektórych stron zszeregowali zaraz, obok momentów ustrojowych, znaczny poczet innych, przedtem niewytaczanych przyczyn upadku (por. str. 120). Wszystko to — przy szczupłym zasobie argumentów rzeczowych, które zresztą, jak omówione co dopiero dwa, po bliższem wglądnięciu w rzecz nie dadzą się utrzymać; zresztą zaś tylko przy spiętrzeniu bezliku nieporozumień i posądzeniu o niewypowiedziane myśli, które w rzeczywistości tworzą urojoną tylko podstawę do polemiki. Skądże ta walka przeciwko poglądowi, który na podstawie zestawień mojej pracy mniemałem mieć prawo wypowiedzieć?

Jasno i z większą otwartością, aniżeli którykolwiek z poprzednich krytyków, określa tu swoje stanowisko autor. Jako mąż nauki stwierdza najzasadniej, że zadaniem historyi jest rozszerzać dalej podstawę źródłową dociekań i pisać nagą

prawdę, a na innem miejscu, że potrzebna tu jest odporność wobec zmiennych politycznych nastrojów i szczera miłość prawdy. Są jednak i inne jeszcze, wielokrotnie i bardzo silnie w artykule autora podkreślone momenty. Na jednem miejscu stwierdza on, że historycy t. z. szkoły krakowskiej postanowili przedstawić narodowi nagą prawdę jego dziejów, chcąc przez to odrodzić naród, i że na badaniach tej szkoły opierała się polityka, podjęta pod hasłem organicznej pracy. Na innem, omawiając kierunki polityczne w społeczeństwie naszem w czasie teraźniejszej wojny światowej, zaznacza, że jeden z nich (t. z. aktywistyczny) opierał się na doktrynach szkoły historycznej krakowskiej, która odkrywała narodowi błędy przeszłości, ażeby się z nich leczył. Gdzieindziej wyraża zdanie, że sprawa upadku Rzpltej nie powinna być przedmiotem apologii, podyktowanej względem na zagranicę, lecz sumiennego rozbioru, który dostarcza nauki nam samym. Gdzieindziej znowuż: »Dziś z naszych dziejów i naszych urządzeń i doświadczeń nauka powinna wydobyć i oświetlić to, co nowemu państwu posłużyć może za podstawę«. Rewizya dotychczasowych poglądów t. z. szkoły krakowskiej, o ile ją uznać za potrzebną, »powinna szerzyć w społeczeństwie nie rozmarzonego ducha wolności, lecz twardego ducha pracy, obowiązku i poświęcenia«.

Podkreślam z głębi przekonania obywatelskie na wskróś stanowisko autora, przebijające z każdego z tych słów, gorącą miłość sprawy ojczystej i troskę o jej przyszłość, jaka z nich wieje. O ile chodzi o wytyczne naszej działalności teraźniejszej czy przyszłej, podpisuję je bez zastrzeżeń; a dodam, że są tu powiedzenia, które nadają się wprost na zasadniczą dewizę czy hasło całej naszej akcyi narodowej. Ale w jaki sposób przedstawia się zestósunkowanie tych wytycznych ze sprawą poglądu na defekty i winy naszej przeszłości? Oto tak, że z defektów tych ma być wysnuta nauka, wskazująca drogi właściwego postępowania na przyszłość. Hi-

storya stać się ma środkiem pedagogii politycznej. W oderwaniu rzecz biorąc, nie byłoby powodu protestować chociażby nawet i przeciwko tej konsekwencyi, o ile rzeczywiście przesłanki takiego poglądu dałyby się naukowo stwierdzić w sposób niewątpliwy. Historyografia może, dla celów nauki, wyświetlając szczerą prawdę, stwierdzić pewne zjawiska w przeszłości; nie ucierpią na tem zgoła jej wyniki, ani nie ubliży się jej przez to w czemkolwiek, jeżeli z spostrzeżeń, jakich dostarczy, wysnute zostaną pewne wskazania dla teraźniejszości. Wzgląd naukowy da się tu pogodzić z potrzebami pedagogii politycznej; maksyma: historia est magistra vitae znajdzie właściwe, zasadne w pełni zastosowanie (por. tutaj str. 95). Ale jeśli tylko przypuścić, że rewizya naukowa przyczyn upadku Polski rzuci jaśniejsze światło na tę sprawę, wskazując, iż przeszłość dziejowa, czy — o co tu z osobna rzecz idzie — dawne nasze urządzenia ustrojowe nie były rozstrzygającą przyczyną upadku, powstanie rozdźwięk między obiema rzeczami: historya nie da się już zużytkować jako podatny środek nauczania w polityce bieżącej. Taki układ rzeczy zachwiałby doszczętnie fundamentalną tezą, do której przyznaje się autor czy jego stronnictwo; dodam jeszcze, znowuż z głębi przeświadczenia, że zapewne budzi się tu patryotyczna troska, iż w braku przykładów odstraszających z przeszłości, społeczeństwo teraźniejsze zejść może na bezdroża. Stąd — w najlepszej zapewne wierze — owo bezwzględne trzymanie się poglądu o pełnem zawinieniu naszem, stąd wyświecanie wszelkich prób odmiennego oświetlenia odnośnych zjawisk, chociażby próby te oparły się na aparacie i wnioskowaniu naukowem. Teza o zawinieniu naszem musi być utrzymana za każdą cenę, jest bowiem potrzebna jako środek pedagogii politycznej. Osobliwe zjawisko przerostu polityki nad nauką — rzecz, którą stwierdzić trzeba, choć stwierdzić przychodzi ciężko, gdyż urodziła się z najczystszych pobudek miłości sprawy ojczystej.

Nie byłoby może doszło do tego, gdyby nie okoliczność,

że ponadto jeszcze na wskazany tu środek pedagogiczny położono nacisk przesadny. Dla czego — nie moją rzeczą dochodzić; może częściowo przynajmniej objaśnimy to zjawisko, pamiętając, że samo powstanie stronnictwa politycznego t. z. krakowskiego sprzęgło się tak ściśle z działalnością kilku naszych najwybitniejszych historyków. Ustalił się pogląd, że możliwie silne podkreślenie zawinień przeszłości jest, jeżeli nie jedynym, to co najmniej głównym i najskuteczniejszym środkiem regeneracyi społeczeństwa i zapewnienia mu pomyślnego rozwoju na przyszłość. Stąd jeszcze i dzisiaj, jeśli się zjawi przygodnie rzucone spostrzeżenie, obciążające przeszłość naszą dalej jeszcze sięgającymi zarzutami, aniżeli je podniosła sama t. z. szkoła krakowska, jak n. p. twierdzenie, że brakło nam silnej i rozumnej woli do utrzymania się przy niepodległości (por. str. 126), rzecz ta określoną zostanie z tamtej strony jako odznaczająca się »jasnością w ujęciu kwestyi«. Wsiąkły w ten sposób w metodę pedagogii politycznej i przepoiły ją wszechstronnie elementy teoryi odstraszenia, na podobieństwo stosowanej czasem wobec wiernych metody nauczania, która, chcąc ich zachęcić do zapracowania sobie na żywot wieczny, nie sięga do innych argumentów, jak tylko do wskazania na bezmiar katuszy piekielnych grzesznika. A jednak — odstraszanie następstwami przewinień dawniejszych, to nie jedyny, ani nie najważniejszy środek politycznego wychowania narodu. Jest jeszcze wiele innych, bardzo skutecznych, poczynając od budzenia patryotyzmu i hartowania ducha do wytrwałej, w potrzebie ofiarnej pracy obywatelskiej, a kończąc chociażby na kalkulacyach narodowego bilansu handlowego. Innym narodom zależy również na wychowaniu politycznem swoich mas, i wiemy, że stoją one pod tym względem nieraz bardzo wysoko; a jednak tam w pedagogii politycznej nie da się spożytkować argument o zawinionym upadku państwowości w jakiejś dobie wcześniejszej — owszem, o ile sięga się tu do historyi, przedstawia się pospolicie najjaśniejsze, podniosłe chwile przeszłości.

Dodam: przesadny nacisk, położony na kategorye historyczne przez jedno stronnictwo, rodzi niebezpieczeństwo, że jego śladem pójdą także inne stronnictwa, sięgając do nich również jako do środka pedagogii politycznej Exempla trahunt; to zaś, co właśnie za wzorem i pod wpływem metod, stosowanych tu przez partyę krakowską, ujawniło się u nas w ostatnich dziesiątkach lat w innych obozach politycznych, jest najlepszą tego spostrzeżenia ilustracyą. Rozumie się, że w innym obozie historya przystosowana zostanie do wytycznych, jakie polityce swojej zakreśliła tamta partya. Sam autor zwraca uwagę na możliwość, że narodowy demokrata, trzymając się programu Dmowskiego z 1908, który zalecał poskromić aspiracye nasze w kierunku wschodnim, mógłby ostatniego na królewskim tronie Piasta, za to, że zapoczątkował politykę ekspanzyi Polski ku wschodowi, nazwać — Kazimierzem Małym. Oczywiście nie utrafiłby w sedno rzeczy. Ale idąc śladem metod, stosowanych w obozie przeciwnym, mógłby podjąć próbę, żeby, ze swojego stanowiska partyjnego, pogląd taki uzasadnić. Mógłby naprzykład powołać bezlik najazdów tatarskich na Ruś halicką, których odparcie paraliżowało niejednokrotnie sprężystość działania machiny państwowej Polski, mógłby także przypomnieć doktrynę, wyznawaną przez niektórych przedstawicieli t. z. szkoły krakowskiej, że ekspanzya nasza ku wschodowi rozluźniła spoistość społeczeństwa i osłabiła państwowość polską. Ustaliwszy zaś takie »winy dziejowe«, mógłby potem głosić, prawie że w dosłownej zgodzie z tamtym obozem, że czyni to dla uleczenia narodu z chorobliwych mrzonek, dla sprowadzenia go na tory polityki realnej i celowo rozumnej..

Na jeden jeszcze moment zwrócę tu uwagę. W okolicznościowem spostrzeżeniu, które z innego punktu widzenia rozpatrzę jeszcze poniżej, stwierdza autor, iż teza, że upadek nasz był zasłużony, a rozbiory uprawnione, jest twierdzeniem, wysuwanem często przez naszych wrogów. Nie co innego jednak głoszą ci, którzy wskazując na zawinienia nasze jako

rozstrzygającą przyczynę upadku, wysnuwają stąd nauki, owiane myślą uzdrowienia teraźniejszych pokoleń narodu. Rzeczowo — stają oni w jednym szeregu z Hüppem czy Kariejewem, czy obecnie także z Leonhardem. Różnią się tylko intencyami takiego postępowania: kiedy tamci, wrogowie, wysnuwają stąd wniosek o trwałej niezdolności narodu polskiego do życia państwowego, u nich przeciwnie stwierdzenie tych rzeczy służyć ma za środek regeneracyi społeczeństwa. Żeby się tu ograniczyć do rozważenia samych tylko praktycznych następstw takiego stanowiska, stwierdzić tedy trzeba, że pogląd ów jest — mieczem obosiecznym. Da się on dostosować do celów pedagogii politycznej, ale da się użyć także — najpoważniej — na naszą szkodę. Nie da się zaś to jego użycie ograniczyć do jednego tylko z wskazanych dwu celów, tego mianowicie, który ma dobro nasze na oku. Zastrzeżenie autora, że przy rozpatrywaniu sprawy naszego upadku nie powinny odgrywać roli jakiekolwiek względy na zagranicę, jeno momenty, dostarczające nauki t y l k o n a m s a m y m — nie da się tedy utrzymać. Cokolwiek rozbiór taki ustali, z tego, ze względu na to, że prawda jest jedna — i dla wszystkich, w równej mierze i pełną dłonią korzystać będą mogli zarówno patryoci, nawracający naród, jaki i zawistni nam wrogowie. Zysk praktyczny z dostosowania tej prawdy do celów pedagogii politycznej zmniejszy się niepomiernie przez wyzyskanie jej w kierunku dla nas nieprzyjaznym, a może nawet nie dorówna szkodzie, jaką stąd poniesiemy. Wystarczy przypomnieć orgie Leonhardów, oparte na założeniu doszczętnego rozkładu Polski w czasie rozbiorów, znajdujące najchętniejszy posłuch u obcych.

Wracając, po tem zboczeniu, na stanowisko postulatów ściśle naukowych, powiemy oczywiście: prawdę, jakakolwiek ona jest, trzeba odkryć i ustalić, niezależnie od następstw, jakie ta rzecz w praktyce pociągnąć może za sobą. Jeśli upadek państwa sprowadziły wyłącznie dawniejsze nasze zawinienia na ogół, czy zwłaszcza wadliwa na wskróś budowa

ustroju Rzpltej, przyznamy tę rzecz bez ogródek. Ale pamiętając o tem, że praktyczna funkcya tezy o wyłącznem zawinieniu naszem nie jest ani do tyla ważną, jak mniemano, ani konieczną dla pedagogii politycznej, i że ponadto przedstawia również strony niebezpieczne, będziemy mogli z większym może spokojem i przedmiotowością przystąpić do rozwiązania samego zagadnienia naukowego. Powiemy sobie: badamy tę sprawę — nie: aby koniecznie znaleść środek odstraszenia i leczyć nim naród, czy dostarczyć mu nauki na przyszłość; nie: aby przez jego tylko pryzmat oświetlić to, co nowemu państwu posłużyć może za podstawę rozwoju, czy też ukrzepić w społeczeństwie twardego ducha pracy, obowiązku i poświęcenia; — jeno, żeby ustalić rzeczywiste, żadnymi ubocznymi względami nieoświetlone zjawisko dziejowe, żeby odkryć prawdę. I wtedy cały nacisk położymy na argumenty ściśle rzeczowe, oparte, nawet w polemicznej części, na wiernem i dokładnem ogarnięciu argumentacyi przeciwnej. Może wtedy zawinienie samo nie wystąpi w tak jaskrawych barwach, jak je dotąd nieraz przedstawiano. Odrodzenie narodu, ukrzepienie w nim ducha pracy, obowiązku i poświęcenia, stworzenie zdrowych podstaw rozwoju teraźniejszej państwowości naszej, pozostanie mimo to najważniejszą troską dzisiejszych naszych poczynań i ośrodkiem naszej akcyi politycznej. Żeby ten cel uzyskać, uciekniemy się do wszystkich, jakie są do rozporządzenia, środków wychowania politycznego; tylko że, skoro się okaże, iż przedmiotowy wgląd w przeszłość nie zdoła już wykrzesać upiora winy w tak odstraszającej postaci, jak się to działo dotychczas, sięgniemy, nie poddając się zwątpieniu, do innych, niemniej skutecznych, czasem nawet skuteczniejszych środków pedagogicznych, których mamy podostatkiem. Fatalne »aby« przestanie być łącznikiem między nauką historyi a polityką; zastąpi je stosowniejsze »o ile«.

Żeby dać miarę, do jakiego stopnia polityczny kąt patrzenia zaciemnia trafne ujęcie rzeczy, stwierdzę jeszcze, że nawet autor nie zdołał uchronić się od posądzeń, jakie mnie

spotkały ze strony niektórych dawniejszych krytyków, jakoby pobudką do napisania mojej pracy stały się jakieś uboczne, pozanaukowe względy. Przypominając datę jej pojawienia się (1915) i stwierdzając, że w czasie tym żadna jeszcze ze stron, prowadzących teraźniejszą wojnę światową, nie wypisała na swym sztandarze idei wskrzeszenia Polski, sądzi on, że podjąłem się napisania tej pracy w zamiarze usłużenia sprawie ojczystej przez odparcie zarzutów wrogiej nam literatury zagranicznej, która głosiła, że upadek nasz był zasłużony, a rozbiory uprawnione. Jak błędnie utrafił tu autor, wskazują poprzednie zestawienia, z których wypływa, iż cała teza przemyślana była dawno przed teraźniejszą wojną, samo zaś pojawienie się pracy w czasie wojny, i to właśnie w początkowem jej stadyum, rzeczą przypadkowego układu stosunków (por. str. 78). Na tym domyśle nie poprzestaje jednak autor. W końcowej części artykułu, rozpatrując ogólnie kierunki polityczne, jakie w czasie wojny ujawniły się w naszym narodzie, przypomina znaną rozbieżność między ideą aktywizmu i pasywizmu, przyczem pierwszą z nich, reprezentowaną przez Naczelny Komitet narodowy i stronnictwo krakowskie, funduje na doktrynach szkoły historycznej t. z. krakowskiej, »która odkrywała narodowi błędy przeszłości, żeby się z nich leczył«; co do drugiej zaś wyraża zdanie, iż chcąc zapobiec gromadnej dezercyi zwolenników, stanęła wobec konieczności wytłómaczenia narodowi, że sprawa jego wskrzeszenia jest naprawą zbrodni, popełnionej przez mocarstwa rozbiorowe na Polsce, która upadku swego nie zawiniła; że więc w ślad za tem w interesie tej idei chodziło o oczyszczenie Polski z wszelkiej winy czy współwiny w upadku. Nie wdaję się w rozbiór, o ile sam ustawiony w ten sposób syllogizm jest zasadny, choć możnaby na ten temat rozprawiać wiele. Biorąc rzecz in crudo, jak ją postawił autor, muszę zarzut wysługiwania się politycznym celom pasywistów, lubo wypowiedziany ogólnie i pod adresem bezimiennym, odnieść także do siebie: bo nie tylko że starałem się zbić zapatrywanie, jakoby w urządzeniach naszych ustro-

jowych tkwiła przyczyna upadku, ale — zdaniem autora — miałem sięgnąć jeszcze dalej, twierdząc rzekomo, że na ogół w całej naszej przeszłości nie można się dopatrzyć zawinienia upadku; przyczem autor wyznacza mi nawet rolę inicyatora całego kierunku, jaki w toku wojny ujawnił się w historyografii naszej w sprawie uniewinnienia Polski z błędów jej przeszłości.

Zostałem tedy pasowany na pisarza, rozpatrującego zagadnienia historyczne z punktu widzenia tegoczesnej polityki partyjnej — i przydzielony tym razem do obozu pasywistów. W jednym szeregu z publicystą Kordyanem i hakatystą-polonofagiem Leonhardem staje wybitny przedstawiciel nauki, prof. Bobrzyński, podsuwając partyjne cele mojej pracy naukowej. Podkreślę jeszcze osobliwą kolejność i zmienność posądzeń. Zaliczył mnie Kordyan do antagonistów Komitetu Narodowego i polityki aktywistycznej; w usługi Komitetu Narodowego i stojącego za nim stronnictwa (zatem przedewszystkiem krakowskiego) wprzągł mnie Leonhard; teraz znowuż, dla odmiany, na podstawie tej samej pracy, śladem domysłów Kordyana, posądza mnie prof. Bobrzyński o wysługiwanie się pasywistom i zamach na szkołę historyczną krakowską, oraz stronnictwo polityczne na jej doktrynach oparte. Że wywody moje nie kierowały się z osobna przeciw t. z. szkole krakowskiej, że zbijały zapatrywania, skądkolwiek indziej także pochodzące, jakoby wady ustrojowe Polski były przyczyną jej upadku, wskazałem już poprzednio (por. str. 90 n.). Że zaś w wywodach tych nie można się dopatrzyć jakiejkolwiek umyślnej kampanii przeciw Komitetowi Narodowemu, czy stojącym poza nim stronnictwom, o tem właśnie autor, bardziej niż ktokolwiek inny, mógł był zdać sobie dokładną sprawę; bo jeśli już nawet przeoczył okoliczność, że pracę moją sam Komitet ogłosił w przekładzie niemieckim celem jej rozpowszechnienia zagranicą (por. str. 80), to może nie wyszło mu z pamięci, że już po jej ogłoszeniu wybierano mnie członkiem Naczelnego Komitetu. Na ogół, cokolwiek już podoba się tu

sądzić o rzekomych ubocznych, politycznych tendencyach tej pracy, trudno dopatrzyć się jakiegokolwiek związku logicznego między faktycznemi przesłankami a wnioskiem autora. Nie zwracam już osobnej uwagi na najważniejszą przesłankę faktyczną: na całość mojej pracy życiowej, świadomie i celowo pod względem partyjnym apolitycznej, obliczonej na to, żeby zdala od wiru walk politycznych zdobyć więcej czasu dla zajęć ściśle naukowych i zapewnić sobie niezależność naukowego sądu.

Szczegół, którego tu dotykam, wybiega znaczeniem daleko poza ramy ściśle indywidualnej sprawy; jest on symptomatyczny, oświetlając cały typ zjawisk, i odsłania jedną z najdotkliwszych bolączek wzajemnego zestosunkowania między nauką historyi a polityką teraźniejszości, jak się ta rzecz ułożyła u nas obecnie. Zabiera się oto ten czy ów pracownik naukowy do rozpatrzenia pewnego zagadnienia dziejowego, które go zajęło jako kwestya ściśle naukowa. Jedyną pobudką jego pracy jest chęć usłużenia nauce, bez jakichkolwiek ubocznych, a zwłaszcza politycznych celów; jedynym środkiem, którym się tu posługuje, to pewne ustalone metody naukowe i argumentacya, na jaką go stać, również naukowa. Że w wynikach, jakie zdobędzie, mogą tkwić błędy, szczegółowe czy zasadnicze, o tem zdaje sobie dokładną sprawę, i musi się liczyć z góry z możliwością ich prostowania, z tem oczywiście zastrzeżeniem, że stanie się to za pomocą metod i argumentacyi, znowuż na naukowych podstawach opartej. Oczekuje — jednem słowem — krytyki naukowej. Czego zaś n i e oczekuje, to krytyki, przeprowadzonej pod kątem widzenia polityki dzisiejszej, zwłaszcza zaś za pomocą klucza, urobionego według wytycznych jakiejkolwiek partyi politycznej. Bo nauka i polityka, to rzeczy istotnie niewspółmierne, a metody działania politycznego zgoła inne od metod badania naukowego; nie nadają się one zgoła do sprawdzenia zasadności wyników naukowych. Cóż jednak dzieje się w rzeczywistości?

Nie każdej naukowej pracy historycznej sądzono, żeby

wzbudziła zainteresowanie w samych tylko kołach naukowych. Zajmą się nią także, w wypadkach bardzo częstych, politycy, i to — jako tacy. Nieszczęsny pomysł zużytkowywania historyi jako głównego środka pedagogii politycznej, przesadny nacisk, jaki na tę rzecz położono, spowodowały, że zakres zagadnień dziejowych, nieobojętnych dla akcyi politycznej, spożytkowywanych dla poparcia czy urzeczywistnienia pewnych zamierzeń partyjnych, niezmiernie się rozszerzył. Można pisać o narocznikach pierwotnej Polski, czy o walkach Konrada mazowieckiego z Henrykiem Brodatym, czy o dacie przywileju Kazimierza W. w przedmiocie urządzenia wyższego sądownictwa niemieckiego w Polsce — z jaką taką jeszcze nadzieją, że w sprawę tę nie wglądną politycy. Ale już inne zagadnienie, mimo że sięga w tę samą odległą dobę rządów Kazimierza: kwestya polityki zewnętrznej tego króla i ocena jej wartości, stać się może, jak wskazał sam prof. Bobrzyński, tematem gorących dysput pomiędzy politykami. A cóż dopiero mówić o czasach późniejszych: o unii jagiellońskiej i zewnętrznej czy wewnętrznej polityce Jagiellonów samych, wreszcie o wszystkich bardziej zasadniczego znaczenia wypadkach czy zjawiskach dziejów naszych XVI—XVIII w.? Wszędzie tu polityka partyjna wietrzy pedagogiczny żer dla siebie, nad wszystkiemi temi zagadnieniami roztacza baczną pieczołowitość z swojej strony.

I to w jakim sposobie! Nie, żeby przyjąć ustalony naukowo wynik, i zastosować go później do celów swojej pedagogii politycznej, o ile on nada się tu do użycia. Polityk, czy — powiedzmy dokładniej — członek partyi, staje tu w charakterze krytyka i sędziego. Nakłada okulary badawcze, i docieka, zgoła nie troszcząc się o metody czy argumenty naukowe, jedynie tego, czy wynik da się użyć na poparcie jego zamierzeń partyjnych. W razie twierdzącym, choćby chodziło o rzecz naukowo podrzędniejszego znaczenia, gotów uznać autora za Archimedesa, który odnalazł δός μοι ποῦ στῶ, żeby świat wyru-

szyć z posad; za to, o ile wynik jego pracy nie idzie po linii poglądów politycznych krytyka, czeka go zarzut ignorancyi, nienaukowości, czasem nawet świadomego wypaczenia prawdy. Rozumie się: krytyk ze stronnictwa przeciwnego zachowa się tu wprost przeciwnie, zmieniając w sądzie poprzednika rzeczy białe na czarne, i na odwrót. Badacz, który miał zamiar usłużyć nauce, i z naukowej tylko strony oczekiwał oceny, dostaje się niespodziewanie między młot i kowadło politycznych przeciwności i sprzecznych ocen partyjnych, które się po nim przewalają bezkarnie.

Nie kończy się zresztą rzecz na tych tylko następstwach. Polityk, właśnie dla tego, że nim jest, podejmuje każdą akcyę dla pewnych pobudek politycznych. Że badacz naukowy, znowuż dla tego, iż służy nauce, działa pod wpływem pobudek wyłącznie naukowych, tego nie zrozumie i nie odczuje polityk. Przez osobliwą kombinacyę obu rzeczy staje syllogizm, że badacz naukowy działał pod wpływem pobudek politycznych. Zwłaszcza wtedy, jeśli wynik, do którego doszedł, jest niewygodny dla polityka pewnej partyi. W wypadku takim, zgoła nie troszcząc się o argumenty rzeczowe, sięga się do wypróbowanych metod walki politycznej. Wystarczy rzucić podejrzenie, że naukowa praca zrodziła się z pobudek polityki partyjnej, oczywiście stronnictwa przeciwnego, ażeby osłabić znaczenie wyników, jakie ustaliła. Taki argument zapewnia politycznie sukces niewątpliwy; bo cokolwiek przeciw niemu przytoczyć pod względem rzeczowym, przecież, z obwinienia takiego — semper aliquid haeret.

Oto psychologiczne i myślowe tło, na którem rodzą się uwłaczające posądzenia o jakieś uboczne, polityczne czy partyjne cele, rzucane tak hojnie odnośnie do prac, których celem jedynym była — naukowa prawda. Takie postępowanie zmierzić może wszelką pracę w służbie nauki, obniżyć jej produkcyę, i skrępować, chociażby bezwiednie, samodzielność i swobodę sądów naukowych. Trzeba przeciwko temu założyć protest

uroczysty. Trzeba powiedzieć sobie, że dziedzina historyi nie może być folwarkiem doświadczalnym polityki, jeno samoistną domeną naukową; inaczej historya, zamiast, w miarę okoliczności, stać się mistrzynią życia, zejdzie na stanowisko marnej służebnicy politycznej.



